



**Mike Resnick**

**Egzekutor**

Przełożyli Katarzyna Rzepka i Jacek Matwiejczuk

(The Widower)

Data wydania oryginalnego 1996

Data wydania polskiego 1999

## Egzekutor

---

*Dla Carol, jak zawsze,  
A także dla Anne Groell  
Oraz Jennifer Hershey,  
Za wsparcie i cierpliwość*

## Spis treści

Strona tytułowa

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Epilog

## Prolog

Miłe poniżej lśniącej powierzchni planety Deluros VIII, stolicy rodzaju ludzkiego i stale rozszerzającej swe granice Oligarchii, dwóch mężczyzn sunęło długim, spowitym w półmrok korytarzem. Ich głosy odbijały się echem od pustych ścian. Jeden był ubrany w białe, drugi w szare ubranie. Minęli pierwsze drzwi, potem czworo kolejnych.

– Ciekawe, jak on wygląda? – zastanawiał się człowiek ubrany na szaro.

– Pewnie jest stary i chory – mężczyzna w bieli wzruszył ramionami.

– Zapewne – zgodził się jego towarzysz. – Widziałem jednak tyle hologramów z czasów, kiedy był... no wiesz.

– Kiedy był najsłynniejszym zabójcą w galaktyce? – spytał ironicznie człowiek w bieli.

– Zabijał w imię prawa.

– Tak mówi legenda.

– Czyżbyś myślał inaczej? – zdziwił się człowiek ubrany na szaro.

– Nie, ale wiem, w jaki sposób powstają legendy.

Ruchomy chodnik zatrzymał się przy punkcie kontrolnym i ruszył w chwili, kiedy ich identyfikatory oraz siatkówki oczu zostały sprawdzone. Pięćdziesiąt jardów dalej stanął ponownie przy kolejnym punkcie kontrolnym.

– Czy to jest naprawdę konieczne? – spytał człowiek w szarym.

– Spoczywają tu najbogatsi ludzie Oligarchii – padła odpowiedź. – Są zupełnie bezbronni, a wierz mi, nikt nie dochodzi do dużych pieniędzy, nie robiąc sobie wrogów.

– Zapewne – zgodził się jego rozmówca. Wskazał na dwa następne punkty kontrolne. – Zastanawiam się po prostu, czy musimy przechodzić kontrolę co pięćdziesiąt jardów.

– Musimy.

– Obawiałem się tego.

– Dopisz do rachunku – odpowiedział człowiek w bieli.

Dwieście jardów dalej korytarz rozgałęział się, mężczyźni poszli w prawo. Było tu znacznie więcej drzwi oraz punktów kontrolnych. W końcu zatrzymali się przy drzwiach nieróżniących się niczym od pozostałych.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił człowiek w bieli, pozwalając jednocześnie, by skaner, który znajdował się tuż nad drzwiami, sprawdził jego siatkówkę oraz odcisk dłoni.

– Jestem trochę podenerwowany – powiedział człowiek w szarym, gdy drzwi wsunęły się w ścianę, ukazując wąskie przejście.

– Procedura jest dość prosta.

– Ale on nie wie, kim jesteśmy.

– Cóż z tego?

– Może jemu jest dobrze, tak jak jest? Może go tylko rozdrażnimy? Może on zabija ludzi za zakłócanie jego spokoju?

– Jeżeli mógłby kogokolwiek zabić, nie byłoby go tutaj – odpowiedział człowiek w bieli. – Światło!

Sala natychmiast wypełniła się bladym, niebieskim światłem.

– Mógłbyś rozjaśnić nieco to miejsce? – spytał człowiek w szarym.

– On nie otwierał oczu od ponad wieku – odparł jego towarzysz. – Jak tylko czujniki uznają, że jego źrenice przystosowały się do światła, rozjaśnia salę. – Przeszedł obok paru wbudowanych w ścianę szuflad sprawdzając ich numery i po chwili zatrzymał się. – Szuflada numer 10 547.

Szuflada wolno wysunęła się ze ściany na pełną długość sześciu stóp. Pod półprzeźroczystym szkłem ukazał się niewyraźny kształt ludzkiego ciała.

– Jefferson Nighthawk – westchnął człowiek w szarym. – Słynny Jefferson Nighthawk – zawiesił na chwilę głos. – Przyznam, że spodziewałem się nieco innego widoku.

– Jakiego?

– Sądziłem, że będzie podłączony do różnych rurk i przewodów.

– To nie średniowiecze – prychnął człowiek w bieli. – Ma wszczepione w ciało trzy urządzenia kontrolne. To wszystko, czego potrzebuje.

– Oddycha?

– Cały czas.

Mężczyzna w szarym pochylił się, by uchwycić jakąkolwiek oznakę ruchu.

– Nic nie widzę.

– Oddycha tak wolno, że tylko komputer może to wyczuć. Głęboki Sen spowalnia w znacznym stopniu metabolizm, ale nie zatrzymuje go, inaczej mielibyśmy tutaj trzydzieści tysięcy trupów.

– Co teraz robimy?

– Właśnie to – odparł człowiek w bieli i podszedł do szuflady, w której leżało ciało, poczekał, aż skaner zidentyfikuje jego odciski palców, po czym wystukał kod na klawiaturze, która nagle pojawiła się obok skanera.

– Ile czasu minie, zanim się obudzi?

– To zależy. Nam zajęłoby to mniej więcej minutę, ludziom znajdującym się tutaj potrzeba czterech, może pięciu minut.

– Dlaczego aż tak długo?

– Nie zapominaj, że są to umierający, chorzy ludzie, inaczej by ich tutaj nie było. Wolniej reagują na bodźce z zewnątrz. – Człowiek w bieli spojrział na towarzysza. – Niejedna osoba zmarła po przebudzeniu wskutek szoku.

– Czy i on może umrzeć?

– Raczej nie. Ma prawie normalny rytm serca, jeżeli można tak powiedzieć, zważywszy na jego stan.

– To dobrze.

– Jednak na twoim miejscu przygotowałbym się na jego przebudzenie.

– Dlaczego? Powiedziałeś przecież, że nie umrze i że jest zbyt słaby, aby zagrozić nam w jakikolwiek sposób, nawet gdyby chciał. Więc w czym problem?

– Widziałeś kiedykolwiek osobę w stanie zaawan-



sowanej eplazji?

- Nie – przyznał człowiek w szarym.
- Mówiąc najogólniej, nie wygląda się zbyt pięknie.

Zamilkli obaj, widząc, że ciało leżące przed nimi zaczyna z wolna nabierać kolorów. Dwie minuty później półprzezroczysta pokrywa wsunęła się w ścianę, ukazując ich oczom wychudzonego człowieka o ciele odrażająco zeszepecionym złośliwą chorobą skóry. Poprzez poszarpaną skórę twarzy wystawały kawałki błyszczących, białych kości policzkowych, skóra na dłoniach poprzecinana była kostkami palców, nawet w miejscach, gdzie pozostała nietknięta, wydawało się, iż jest przesiąknięta czymś złowieszcym.

Człowiek w szarym odwrócił się z obrzydzeniem, po chwili zmusił się, by ponownie spojrzeć. Podświadomie oczekiwał, że poczuje woń gnijącego ciała, powietrze jednak pozostało czyste i nieskażone.

W końcu leżący poruszył powiekami, zamrugął raz, drugi, a potem wolno uniósł je, ukazując jasnoniebieskie, niemal przezroczyste oczy. Przez pełną minutę leżał bez ruchu, następnie zmarszczył brwi.

- Gdzie jest Acosta? – wychrypiał w końcu.
- Kto to jest? – spytał człowiek w szarym.
- Mój lekarz. Był tu przed chwilą.
- Cóż – uśmiechnął się człowiek w bieli. – Doktor Acosta nie żyje od ponad osiemdziesięciu lat, zaś pan, panie Nighthawk, spoczywa tu już sto siedem lat.

Nighthawk z trudem przychodził do siebie.

- Sto ile?

- Sto siedem. Jestem doktor Gilbert Egan.
- Jaki mamy rok?
- 5107 *e.g.* – odparł Egan. – Czy pomóc panu się podnieść?
- Tak.

Doktor uniósł kruche, mizerne ciało do pozycji siedzącej, lecz jak tylko odszedł, opadło ono na bok.

– Spróbujemy ponownie, jak tylko poczuje się pan nieco silniejszy – powiedział Egan, układając Nighthawka tak, by żadna ze schorowanych kończyn nie przeszkadzała mu. – Długo pan spał. Jak pan się czuje?

- Umieram z głodu – odparł Nighthawk.
- Na pewno – uśmiechnął się doktor. – Od ponad stu lat nie miał pan nic w ustach. Nawet z metabolizmem funkcjonującym sto razy wolniej pański żołądek był pusty dziesięć, a może i więcej lat. – Egan podłączył cienką rurkę do lewego ramienia Nighthawka. – Niestety, pański stan nie pozwala na normalne spożywanie pokarmów, w ten sposób dostarczymy pańskiemu organizmowi odpowiednie składniki.

– Równie dobrze mogę ponownie przyzwycząić się do żucia i łykania – powiedział Nighthawk. – Jestem przecież wyleczony. – Przerwał na chwilę. – Sto siedem lat. Do diabła, długo wam to zajęło.

Egan popatrzył na kruche, schorowane ciało z odrobiną współczucia.

– Obawiam się, że lek przeciwko eplazji nie został jeszcze wynaleziony.

Nighthawk skierował wzrok na doktora. Było to

spojrzenie, które sprawiło, iż Egan poczuł się szczęśliwy, że jego pacjent nie ma i broni, i zdrowia.

– Pozostawiłem wyraźne wskazówki, by nie budzić mnie do czasu, aż zostanę wyleczony.

– Niestety, warunki uległy zmianie, panie Nighthawk – powiedział człowiek w szarym, podchodząc bliżej.

– Kim pan, u diabła, jest? – spytał Nighthawk.

– Jestem Marcus Dinnisen, pański prawnik.

– Mój prawnik? – zdziwił się Nighthawk.

Dinnisen kiwnął głową.

– Jestem z zarządu kancelarii adwokackiej Hubbs, Wilkinson, Raith i Jiminez.

– Raith – podchwycił Nighthawk. – On jest moim prawnikiem.

– Morris Raith dołączył do kancelarii Hubbs i Wilkinson na trzy lata przed swoją śmiercią, w roku 5012. Jego prawnuk pracował u nas, w zeszłym roku odszedł na emeryturę.

– W porządku – powiedział Nighthawk. – Jest pan moim prawnikiem. Dlaczego kazał mnie pan obudzić?

– Nie wiem, od czego mam zacząć – powiedział Dinnisen niepewnie.

– Najlepiej od początku.

– Otóż w czasie kiedy zdecydował się pan na Głęboki Sen, przekazał pan zarządzanie swymi finansami mojej firmie.

– To było sześć i pół miliona kredytów.

– Dokładnie – odparł Dinnisen. – Mieliśmy je za-inwestować, zaś pieniądze uzyskane z tej inwestycji

miały służyć pokryciu opłat za poddanie się tej operacji, do czasu, aż zostanie wynaleziony lek na pańską chorobę.

– Potrzebowaliście więc stu siedmiu lat, by roztrwonić moje pieniądze?

– Ależ skąd! – żywo zaprzeczył Dinnisen. – Cała suma jest nietknięta, a dzięki nam od ponad wieku przynosi dochód w wysokości 9,32 procent. Jeśli życzyłby pan sobie przejrzeć rachunki, mogę je panu dostarczyć.

Groteskowa twarz Nighthawka wyrażała zdziwienie.

– Jeśli nie jestem bankrutem ani nie jestem wyleczony, to o co tu do diabła chodzi?

– Pański roczny dochód wynosi trochę powyżej sześćuset tysięcy kredytów – wyjaśnił Dinnisen. – Niestety, z powodu inflacji nękającej gospodarkę planety, roczna opłata za możliwość korzystania z Głębokiego Snu wzrosła do miliona kredytów, brakująca suma wynosi więc prawie czterysta tysięcy kredytów za każdy rok pańskiego pobytu tutaj. Pieniądze z dywidendy nie wystarczają, a jeśli sięgniemy po pański kapitał, to zostałby pan żebrakiem w ciągu dziesięciu lat, bez gwarancji, że w tym czasie zostanie wynaleziony lek przeciw eplazji.

– Innymi słowy mam się stąd wynieść? – spytał Nighthawk.

– Nie.

– Co zatem pan proponuje?

– Musi pan podjąć decyzję – powiedział Dinnisen,

patrząc z fascynacją na zeszpeconą twarz. – Gdyby kto inny mógł to zrobić, nigdy bym pana nie budził, chyba że...

– Chyba że byłbym bankrutem – dokończył sucho Nighthawk. – O co chodzi?

– My, to znaczy pańscy prawnicy, otrzymaliśmy niezwykłą propozycję, która może rozwiązać pańskie kłopoty finansowe, pozwalając panu zostać tutaj do czasu wynalezienia lekarstwa.

– Proszę mówić dalej.

– Czy słyszał pan o planecie Solio II?

– Tak, to na Wewnętrznej Granicy. Czemu pan pyta?

– Sześć dni temu gubernator tej planety został zamordowany.

– Co to ma wspólnego ze mną?

– Wiadomość, że słynny Egzekutor żyje, dotarła w jakiś sposób na Wewnętrzną Granicę, więc rząd planetarny Solio II zaoferował panu nagrodę w wysokości siedmiu milionów kredytów za schwytanie zabójcy. Połowa sumy płatna z góry, druga po wykonaniu zadania.

– Czy to ma być żart? – skrzywił się Nighthawk. – Przecież nie potrafię nawet usiąść.

Dinnisen spojrzał na Egana.

– Doktorze, byłby pan uprzejmy wyjaśnić, o co chodzi.

Egan kiwnął głową.

– Nie potrafiliśmy do tej pory wynaleźć leku przeciwko pańskiej chorobie, niemniej w innych dziedzi-

nach medycyny poczyniliśmy pewne postępy, zwłaszcza w zakresie bioenergetyki. Kiedy panu Dinnisenowi przedłożono tę propozycję, wpadł on na pewien pomysł, na który rząd Solio II zgodził się pod warunkiem, że i pan go zaakceptuje.

– Bioenergetyka? – powtórzył Nighthawk. – Czy zamierzacie mnie sklonować?

– Za pana zgodą.

– Kiedy zdecydowałem się na Głęboki Sen, powiedziano mi, że mam tylko miesiąc życia przed sobą – powiedział Nighthawk.

– Nie oczekujecie więc chyba po mnie, że będę czekał, aż mój klon dorośnie? A nawet jeśli zamierzacie mnie ponownie uśpić i obudzić za kolejne dwadzieścia czy trzydzieści lat, to nie sądzicie chyba, że rząd Solio zgodzi się na zwłokę?

– Nie zrozumiał mnie pan – odparł Egan. – Dysponując obecną wiedzą, nie musimy tak długo czekać. W ciągu ostatnich dwudziestu lat wynaleziono metodę, dzięki której można stworzyć klona w dowolnym przedziale wiekowym: pięciolatka albo sześćdziesięciolatka. Proponujemy stworzenie dwudziestotrzyletniego Jeffersona Nighthawka, pana młodszą wersję, będącą u szczytu pana fizycznych możliwości.

– Czy on będzie chory?

– Gdybyśmy teraz wzięli pana komórki, to miałyby eplazję. Jednakże na planecie Binder X znajduje się muzeum, posiadające na wystawie nóż, którym zraniono pana w młodości. Pamięta pan ten wypadek?

– Wiele razy mnie raniono, panie Egan – odparł

Nighthawk.

– Zapewne – przytaknął lekarz. – W każdym razie jesteśmy w kontakcie z ludźmi z muzeum; oni mogą dostarczyć nam trochę komórek krwi, znajdujących się na nożu. Istnieje prawdopodobieństwo, że są zainfekowane, potrafimy jednak je oczyścić.

– Nadal nie odpowiedział pan na moje pytanie: czy jeśli stworzycie klona z tych komórek, będzie on chory?

– Mało prawdopodobne, gdyż pan nie zachorował w tym wieku. Jednakże klon będzie na nią podatny i prawdopodobnie zachoruje na eplazję w późniejszym wieku, tak jak pan.

– Choroba sprawia, że gnijące ciało odpada od kości – powiedział ponuro Nighthawk. – Wyglądam niczym upiór z jakiegoś koszmaru. Nie życzyłbym takiego losu najgorszemu wrogowi, a wy chcecie, żebym przekazał to osobie, która byłaby mi bliższa nawet od syna!

– On byłby tylko cieniem, kopią oryginału – przekonywał Dinnisen. – Zaistniałby jedynie w tym celu, by pan mógł pozostać przy życiu do czasu wynalezienia leku.

– Niech pan spojrzy na to inaczej – dodał Egan. – Jeśli zgodzi się pan na sklonowanie siebie, da nam pan czas na wynalezienie leku dla was obydwu. W przeciwnym razie jeden z was z pewnością umrze, drugi zaś nigdy się nie urodzi.

– Jeśli tak pan stawia sprawę, decyzja wydaje się prosta – przyznał Nighthawk. Z jego piersi wydobyło

się głębokie westchnienie. – Boże, jaki jestem zmęczony. Po stuletniej drzemce powinno się mieć więcej energii.

– Przewidziałem to – powiedział Dinnisen, wyjmując kieszonkowy komputer. – Mam kopię umowy z rządem Solio II, a także zezwolenie na stworzenie klona. Potrzebny jest tylko odcisk pańskiego kciuka, by te dokumenty stały się legalne i wiążące. – Przerwał na chwilę i uśmiechnął się. – Potem zanurzy się pan ponownie w Głębokim Śnie.

– Kiedy klon będzie gotowy? – spytał Nighthawk, usiłując podnieść rękę. W końcu Egan pomógł umieścić jego kruchy kciuk na monitorze komputera.

– Jeśli przyspieszymy cały proces, być może zajmie to miesiąc.

– Tak szybko?

– Jak panu powiedziałem, osiągnęliśmy ogromny postęp w dziedzinie bioenergetyki.

Nighthawk kiwnął głową, potem spojrzął na lekarza.

– Potrzebuję trochę prowiantu.

– Nic pan nie potrzebuje. Uzyskaliśmy pańską zgodę, powinien pan ponownie zasnąć.

– I znajdźcie mi łóżko – ciągnął dalej Nighthawk.

– Chyba pan mnie nie słucha... – powiedział Egan.

W ciągu miesiąca zamierzacie stworzyć doskonałego, dwudziestotrzyletniego, zdrowego klona, tak?

– Tak.

– Czy pan nauczy go zabijać?



- Nie – odpowiedział zdziwiony Egan.
- Może pan? – Nighthawk zwrócił się do Dinnisena.
- Oczywiście, że nie – odparł Dinnisen.
- Więc ja muszę to zrobić.
- Niestety – powiedział Egan. – Prawdopodobnie nie przeżyłby pan miesiąca, a nie mogę wprowadzić pana w Głęboki Sen i obudzić, jak klon będzie gotowy – proces spowalniania i przyśpieszania metabolizmu znosiłby pan znacznie ciężiej niż pozostanie przytymnym.
- Nie możecie go wysłać bez żadnego treningu – warknął Nighthawk.
- Nie mamy wyboru – powiedział Egan. – Pan nie jest w stanie go trenować.
- W takim razie nie przeżyje tygodnia – wymamrotał Nighthawk, powieki zaczęły mu opadać, mówił coraz niewyraźniej. – Zabiliście nas obu.
- Nagle stracił przytomność. Egan poprawił mu pościel i spojrzał na Dinnisena.
- Oto twój klient – powiedział. – Co o nim myślisz?
- Myślę, że nie chciałbym go spotkać, gdy był w pełni sił.
- To fatalnie – rzekł Egan, naciskając guzik, który zasunął szufladę półprzezroczystą przykrywą. – Ponieważ czeka cię to za miesiąc.
- Spotkam się z duplikatem, nie oryginałem – odparł Dinnisen. – Nie będzie miał żadnych uprzedzeń Nighthawka, tylko jego umiejętności.

– Jego potencjalne umiejętności – zauważył Egan. – Nighthawk miał tu całkowitą rację.

– W zupełności wystarczą – ocenił Dinnisen. – Nie bez powodu Solio życzy sobie właśnie jego, a nie innych zabójców czy łowców nagród, których jest mnóstwo na Granicy. – Spojrzał na schorowane ciało, leżące poniżej. – W wieku dwudziestu trzech lat Jefferson Nighthawk zabił już ponad trzydziestu ludzi – pistoletem, nożem, gołymi rękoma. Nie było takiego człowieka, który by go tknął. Będzie miał jego instynkt.

– Instynkt nie zastąpi umiejętności – powiedział Egan. – A jeśli się mylisz?

– Wypełniliśmy naszą część kontraktu. Wolelibyśmy mieć siedem milionów, ale lepsza połowa niż nic.

Egan przez długą chwilę patrzył na twarz Nighthawka.

– Czy zastanawiałeś się kiedykolwiek, co się stanie, jeśli masz rację?

– Słucham?

– Co będzie, jeśli klon okaże się tak doskonałym zabójcą jak jego poprzednik?

Dinnisen zdziwił się.

– Taką mamy nadzieję.

– W jaki sposób zamierzacie go kontrolować?

– Oryginalny Egzekutor tłumił w sobie wszelkie uczucia, ten nie będzie miał takiej potrzeby – a lojalność ma podłoże emocjonalne.

– Zdajesz sobie sprawę, że w ciągu paru tygodni będziesz musiał zapoznać go z moralnym i etycznym

kodeksem postępowania i jednocześnie nauczyć go zabijać na wiele sposobów?

– Ja nie zamierzam go niczego uczyć – bronił się Dinnisen. – Jestem tylko prawnikiem. Wynajmę odpowiednich specjalistów, nie tylko od zabijania, od etyki także. To nie będzie chyba trudne?

– Założę się, że właśnie te słowa wypowiedziała Pandora przed otwarciem puszki – odparł Egan, patrząc, jak szuflada zawierająca ciało Jeffersona Nighthawka cicho wsunęła się w ścianę.

## Rozdział 1

Tropikalna planeta Karamojo stanowiła istną perłę Gromady Quinellusa. Był to surowy, prymitywny świat pełen ogromnych roślinożerców i okrutnych drapieżców, prawdziwy raj dla łowców.

Po smutnych doświadczeniach nadmiernej eksploatacji planet Peponi i Karimon, Oligarchia zamknęła Karamojo dla kolonizatorów, udzielając praw do niej wyłącznie tym myśliwym, którzy posiadali trudną do zdobycia licencję łowiecką. Trzeba było wydać mnóstwo pieniędzy, wykorzystać wszelkie znajomości lub czasem połączyć te dwie rzeczy, by uzyskać pozwolenie na odwiedzenie planety. By móc tam zapolować, trzeba było zrobić dużo więcej.

Zapaleni wędkarze utrzymywali, że znacznie lepsze łowiska znajdują się na planecie Hemingway, daleko w Ramieniu Galaktyki, lecz wszyscy zgodnie twierdzili, iż były to najdoskonalsze tereny łowieckie, jakie można było znaleźć. Karamojo stanowiła nie lada wyzwanie dla ludzi, którzy ją odwiedzali, wzbudzała chęć zmierzenia się z jej bezwzględną przyrodą: z chmarami śmiertelnie groźnych owadów, z atmosferą tak rzadką, że krew myśliwych musiała być sztucznie dotleniana co pięć dni, z temperaturą, która nawet w nocy nie spadała poniżej trzydziestu stopni Celsjusza, oraz z krajobrazem, sprawiającym, że pigułki z adrenaliną były niezbędne.

Tylko dziewiętnastu myśliwym, w całej historii planety, wydano stałe licencje. Jednym z nich był le-

gendarny Fuentes, uważany przez większość znawców za myśliwego wszech czasów. Drugim był Nicobar Lane, który zapełnił swymi trofeami muzea wzdłuż i wszerz galaktyki.

Taką licencję otrzymał również Jefferson Nighthawk, znany jako Egzekutor.

Prawie cały dzień zajęło Nighthawkowi i towarzyszącemu mu małemu, łysiejącemu mężczyźnie o nazwisku Kinoshita wypełnienie formalności przy odprawie celnej. Sprawdzono jego odciski palców, porównano brzmienie głosu i siatkówkę oka. Wstępne testy DNA także potwierdzały jego tożsamość – zgadzało się wszystko oprócz wieku, człowiek ten musiał więc być klonem.

Jak tylko władze zezwoliły mu na korzystanie z licencji, Nighthawk zaszły się wraz z Kinoshita w niezgłębnym, obcym buszu. Wyszli z niego po czterech dniach, niosąc ze sobą ciała dwóch ogromnych legrysów, trzystupięćdziesięciukilogramowych drapieźców polujących na dużą zwierzynę.

Kinoshita skierował pojazd safari w stronę placówki Pondoro, luksusowej fortecy, znajdującej się w sercu buszu, w której zmęczeniu, bogaci myśliwi mogli odpocząć w komfortowych warunkach. W skład placówki wchodziła restauracja, tawerna, szpital, sklep z bronią, zakład wypychający zwierzęta oraz sto luksusowych domków, mogących pomieścić czterysta osób. Oprócz Pondoro były jeszcze dwie podobne placówki – Corbett i Selous – jednakże na tej dwukrotnie większej od Ziemi planecie nigdy nie przebywało więcej niż stu

pięćdziesięciu ludzi naraz.

Po przybyciu do Pondoro Kinoshita i Nighthawk oddali legrysy do wypchania i udali się do domku. Następnie umyć, ogoleni i w czystych ubraniach spotkali się w restauracji na obiedzie. Menu składało się całkowicie z importowanej dziczyzny, jako że mięso karamojskiej zwierzyny było dla ludzi niemożliwe do strawienia.

Następnie skierowali się do tawerny prowadzonej przez olbrzymiego mutantą, zwanego powszechnie Niebieskawym, gdyż kolor jego skóry miał zadziwiający odcień niebieskiego. Lewa ręka Niebieskawego zakończona była bezkształtną masą, podczas gdy prawa obdarzona została sześcioma długimi, węzowatymi palcami. Przebywał na Karamojo dobre trzydzieści lat i stanowił nieodłączną część jej krajobrazu. Jeśli kiedykolwiek opuszczał planetę, to nikt tego nie pamiętał.

Niebieskawym nie był myśliwym, lecz zadbał, by jego tawerna miała odpowiedni nastrój. Ozdobił więc ściany głowami legrysów, ognistych jaszczurek, czołgorożców, srebrnoskórców i innych przedstawicieli fauny karamojskiej. Dzięki temu lokal przypominał bardziej domek myśliwski niż bar z 52 wieku ery galaktycznej.

Trzymał on także kolorową, niebiesko-czerwonozłotą sowę w olbrzymiej klatce nad barem, klienci zachęcani byli do karmienia jej, słoik z żywymi jaszczurkami znajdował się zawsze pod ręką. Tuż za klatką można było znaleźć wydruk komputerowy, dotyczący bieżącego kursu wymiany kredytów, dolarów Marii Te-

resy, funtów Dalekiego Londynu i sześciu innych walut.

Na jednej ze ścian zamocowany został zestaw ekranów holograficznych połączonych z kamerami, znajdującymi się w różnych punktach planety i rejestrującymi miejsca pobytu wszystkich gatunków zwierząt. Jednodniowi turyści śledzili je uważnie, czekając na wiadomość o upragnionym zwierzęciu, a gdy tylko zjawiało się na ekranie, puszczały się za nim w pogoń. Dawno minęły czasy samotnych myśliwych oraz przewodników, rolę tę odgrywały obecnie samochody safari potrafiące znakomicie odszukać nawet najślabszy trop zwierzyny.

Zbliżywszy się do stolika Kinoshita poprzesuwał krzesła, następnie usiadł i zachęcił swego towarzysza, by uczynił to samo.

– Skończyłeś już to przedstawianie? – spytał go Nighthawk.

– Nigdy nie siadaj plecami do drzwi ani okna – pouczał Kinoshita.

– Przecież nie mam jeszcze żadnych wrogów.

– Przyjaciół także, a tam, gdzie polecisz, to jest znacznie ważniejsze.

Nighthawk wzruszył ramionami i usiadł.

Zbliżył się kelner, obcy o humanoidalnych kształtach i mówiący terrańskim z silnym akcentem, aby spytać, co będą pili.

– Mętna Kokota, dwa razy – powiedział Kinoshita.

Obcy skinął głową i oddalił się.

– Mętna Kokota? – powtórzył Nighthawk.

- Będzie ci smakować – zapewnił go Kinoshita.  
Nighthawk wzruszył ramionami i rozejrzał się dookoła.
- Interesujące miejsce. Wygląda dokładnie tak, jak powinien wyglądać domek myśliwski.
- Zgadza się – przytaknął Kinoshita. – Podobna knajpa znajduje się na Ostatniej Szansie.
- Mylisz się – zaprzeczył Nighthawk. – Jest na Binderze X.
- Masz rację – uśmiechnął się jego towarzysz. – Teraz sobie przypominam.
- Cóż, wygląda na to, że twoja pamięć – lub czyjakolwiek ona jest – funkcjonuje poprawnie, ty biedny sukinsynu.
- Obcy powrócił, przynosząc dwa drinki. Nighthawk patrzył na nie podejrzliwie.
- Są naprawdę dobre – ponownie zapewnił go Kinoshita.
- Są zielone.
- Zaufaj mi, Jeff. Będą ci smakować.
- Nighthawk sięgnął po szklanke, wolno uniósł do ust i pociągnął mały łyk.
- Cynamon – powiedział w końcu. – I rum z Borillanu. I coś jeszcze, czego nie potrafię nazwać.
- Owoc hodowany w Nowej Kenii. Nie jest to ani pomarańcza, ani mandarynka, ale należy do cytrusów – jeżeli można do nich zaliczyć obcą roślinę. Czekają, aż sfermentuje, następnie całość destylują i rozlewają w butelki.
- Dobre – powiedział Nighthawk. – Smakuje mi.



Oczywiście, że ci smakuje. Prawdziwy Egzekutor był praktycznie uzależniony od tych napojów.

Nighthawk opróżnił szklanę i spojrzął na swego towarzysza.

– Wracamy jutro do buszu? – spytał.

– Raczej nie. Chcieliśmy zobaczyć, czy dobrze posługujesz się bronią po miesiącu nauki. I zobaczyliśmy.

– Szkoda – powiedział Nighthawk. – To była niezła zabawa.

– Uważasz polowanie na legrysy za dobrą zabawę?

– Cóż, na pewno nie jest to niebezpieczne – padła odpowiedź. – Przynajmniej kiedy mam strzelbę pod ręką.

– Wypychacz zwierząt pewnie by się z tobą zgodził – zauważył Kinoshita.

– Co masz na myśli?

– Kiedy zaniósłem do niego legrysy, powiedział mi, że zwykle celuje się w oczy, po to, by nie uszkodzić głowy. Ty nie celowałeś w oczy, ty mierzyłeś w źrenice.

– Przecież stale mi powtarzałeś, że strzelanie to niczym wskazywanie palcem.

– Kłamałem – przyznał Kinoshita. – Lecz wygląda na to, że zamieniłeś to kłamstwo w rzeczywistość.

Na twarzy Nighthawka pojawił się rozbijający chłopięcy uśmiech.

– Naprawdę?

– Tak – Kinoshita przytaknął.

– A niech mnie! – zawołał szczęśliwy młodzieniec.

– Trzeba to oblać. – Skinął na kelnera. – Jeszcze raz to samo. – Nighthawk obrócił się do Kinoshity. – Co teraz robimy?

– Nic – padła odpowiedź. – Kurs dobiega końca.

– A egzamin?

Cierpliwości. Zaraz się zacznie.

– Zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, ilu ludzi zabiły legrysy – powiedział Kinoshita. – Miałeś mniej niż połowę sekundy na to, aby złożyć się do strzału i pociągnąć za spust.

– To ty chciałeś się za nimi uganiać – zauważył Nighthawk.

– Dlatego że postanowiłem ciebie sprawdzić w najsurowszych, polowych warunkach – powiedział Kinoshita.

– Często to robisz?

– Czy często uganiam się za legryсами? Nieczęsto, dzięki Bogu.

– Miałem na myśli trenowanie ludzi.

– Jesteś pierwszym.

– Czym się zatem zajmujesz na co dzień?

– Tym i owym – odpowiedział Kinoshita wymijająco.

– Byłeś kiedyś łowcą nagród lub stróżem prawa?  
– Nighthawk nie poddawał się.

– Jednym i drugim.

– A żołnierzem?

– Dawno temu.

– Byłeś kiedykolwiek wyjęty spod prawa? – pytał dalej Nighthawk.

– Poddaję się – powiedział Kinoshita. – Co teraz masz na myśli?

– To, czy kiedykolwiek złamałeś prawo?

– Zależy, jak na to patrzeć – odparł Kinoshita. – Nie zostałem jeszcze za nic skazany.

– Dlaczego zacząłeś pracować dla Marcusa Dinisena?

– On ma dużo pieniędzy do wydania. Ja mam duże potrzeby. Siłą rzeczy musieliśmy się kiedyś spotkać.

– Kiedy skończy się twoja praca?

Kinoshita spojrział w puste oczy ognistej jaszczurki, wiszącej na ścianie.

– Wkrótce.

Młodzieniec zdziwił się nieprzyjemnie.

– Wkrótce?

Kinoshita westchnął ciężko.

– Być może spędzę z tobą tydzień lub dwa na Granicy, pomogę ci się zaadaptować, potem tylko bym przeszkadzał. Nie sądzę, aby człowiek, którego szukasz, zgłosił się do ciebie. Masz przed sobą mnóstwo pracy, im wcześniej zaczniesz, tym lepiej. – Kinoshita wolno sączył swój drink. – Granica jest pusta w porównaniu z Oligarchią, niełatwo jest tam kogokolwiek podejść. Widzą cię z daleka.

– W ogóle mnie nie zobaczą – powiedział Nighthawk. – Będę w statku podczas lądowania.

– Mówiłem to w przerośni. – Nighthawk nie wyglądał na przekonanego. – Posłuchaj – ciągnął Kinoshita – miałem rację odnośnie do drinków, mam rację i

co do tego. Przeszkadzałbym ci tylko.

– Jeżeli mam odwalić brudną robotę, powinienem mieć wpływ na niektóre decyzje.

– Wierz mi, gdy wyruszysz, sam będziesz o wszystkim decydował – zapewnił go Kinoshita.

– W takim razie tylko ode mnie powinno zależeć, czy polecę sam, czy nie.

– Nie chcę się z tobą kłócić – powiedział Kinoshita. – Mieliliśmy całkiem udane polowanie oraz całkiem udany posiłek. Porozmawiamy o tym później. – Jeżeli znajdę sposób, by ci wytłumaczyć, że to ciebie, a nie mnie można poświęcić.

Nighthawk wzruszył ramionami.

– Dobrze. Porozmawiamy później.

Młody człowiek zaczął się właśnie zastanawiać nad zamówieniem następnej kolejki, kiedy do ich stolika zbliżył się Niebieskawy.

– Cześć, Ito! – powiedział przyjemnym, głębokim basem. – Wydawało mi się, że cię zauważyłem, jak wchodziłeś. Gdzie się, u diabła, podziewałeś?

– Tu i ówdzie – odparł Kinoshita.

– Słyszałem, że ostatnio strzelałeś do złych facetów.

– Już się w to nie bawię – odparł Kinoshita. – Postanowiłem dożyć sędziwego wieku.

– To się chwali – powiedział Niebieskawy. Spojrzał na Nighthawka. – Kim jest twój przyjaciel? Jego twarz wydaje mi się znajoma, nie pamiętam tylko, gdzie ją widziałem.

– Nazywa się Jeff – powiedział Kinoshita.

Nighthawk wyciągnął dłoń i Niebieskawy owinał swoje sześć palców wokół niej.

– Jak się masz Jeff. Jesteś pierwszy raz na Granicy?

– Tak – odpowiedział Nighthawk.

– Jeżeli jesteś choć w połowie taki jak twój kumpel, to dasz sobie radę – powiedział Niebieskawy. Ponownie przyjrzał się młodzieńcowi. – Cholera! Mógłbym przysiąc, że gdzieś już cię widziałem.

Kiedy odszedł, by przywitać się z innymi gośćmi, Kinoshita powiedział: – Musiał widzieć jakiś stary hologram. I chyba mogę powiedzieć nawet jaki. W dwudziestym trzecim roku życia nosiłeś olbrzymie, sumiaste wąsy, które dodawały ci co najmniej dziesięć lat.

– To nie był mój hologram – odpowiedział Nighthawk. – Mylisz mnie z nim.

– Jesteś nim, w pewnym sensie – powiedział Kinoshita. – Po moim kursie masz więcej z niego, niż myślisz.

Nighthawk pokręcił głową.

– On jest starym człowiekiem umierającym na straszną chorobę. Ja jestem młody i mam przed sobą całe życie. Zakończę tylko moje sprawy na Solio II i wyruszam w drogę.

– Co zamierzasz potem robić? – spytał Kinoshita.

Nighthawk wskazał na swoją głowę.

– Wspomnienia znajdujące się w niej są być może prawdziwe, ale nie moje. Zamierzam je zastąpić własnymi, bardziej dla mnie realnymi. Mam przed sobą całą galaktykę do zwiedzenia.

– Coś mi się zdaje, że ostatnio często nad tym rozmyślasz.

– Pracowałem całe życie, czas więc odpocząć. – Nighthawk uśmiechnął się nieśmiało ze swego pierwszego żartu. – Nie mogę już się doczekać moich pierwszych wakacji. Choć teraz zadowoliliby mnie jedna noc wolna od tych wszystkich płyt edukacyjnych.

– Były niezbędne – odparł Kinoshita. – Tylko dzięki nim mogliśmy w ciągu miesiąca przekazać ci doświadczenia dwudziestu lat życia. Bez wiedzy i umiejętności nigdzie nie można było cię wysłać.

– Wiem, i jestem za to wdzięczny – powiedział Nighthawk. – Ale kiedy wywiążę się z zadania, chciałbym zacząć żyć własnym życiem. – Młodzieniec rozejrzał się po sali, omiótł spojrzeniem ściany pełne wypchanych głów zwierząt, następnie skierował wzrok na Kinoshitę. – Chciałbym zobaczyć go, zanim wyruszę.

– Może nie przeżyć następnego obudzenia. Trzeba z tym poczekać do czasu, aż zostanie wynaleziony lek na tę chorobę.

– Nie muszę z nim rozmawiać – nie ustępował Nighthawk. – Chciałbym tylko na niego spojrzeć.

– Ponoć nie wygląda najładniej.

– Nie obchodzi mnie to. Jest dla mnie jedyną rodziną.

– Nie zgodzą się na to, Jeff. Dlaczego nie wstrzymasz się z tym do czasu, aż będzie po wszystkim, a medycyna wynajdzie lekarstwo?

– Jeżeli nie wynaleziono go w ciągu wieku, nie sądzisz chyba, że uczynią to teraz?

– Lekarze są już bliscy odkrycia. Okaż trochę cierpliwości.

Nighthawk pokręcił głową.

– Nie mam matki ani ojca. Mam tylko jego.

– A ja sądzę, że coś jeszcze cię nurtuje – powiedział Kinoshita.

– Dlaczego tak myślisz?

– Ponieważ już ci powiedziałem, że nie byłby to najprzyjemniejszy widok. Jaki jest prawdziwy powód, dla którego chcesz go zobaczyć?

– Po prostu chciałbym wiedzieć, co mnie czeka, jeśli lek nie zostanie wynaleziony.

– Masz wystarczająco dużo na głowie, Jeff. Nie musisz dodawać jeszcze wizerunku chorego człowieka i tego, co choroba może z ciebie zrobić.

– Co robi.

– Co może zrobić. Wcale nie musisz jej się nabawić.

– Daj spokój, Ito. Nie jestem jego synem. Jestem jego klonem. Jeśli on jest na nią chory, ja także zachoruję.

– Mogą wynaleźć szczepionkę za dwa lata, może dziesięć czy nawet dwadzieścia. Fizycznie masz dwadzieścia trzy lata. On zachorował na eplazję, kiedy zbliżał się do pięćdziesiątki.

– Nie mam więc dużo czasu.

– Czasu masz aż nadto.

– Zatem nie pozwolisz mi go zobaczyć?

– To nie zależy ode mnie.

Nighthawk westchnął głęboko.

– W porządku. Chyba zamówię jeszcze jedną Mętną Kokotę. Coraz bardziej mi smakuje.

Zbyt łatwo ustąpiłeś. Prawdziwy Nighthawk byłby bardziej nieugięty w swym żądaniu, a jeśli ja bym mu nie pomógł, dotarłby tam sam. Jeśli chciałby zobaczyć zamrożone ciało, to jedynie Bóg mógłby pomóc tym, którzy stanęliby na jego drodze. Dlatego nazwano go Egzekutorem. Musieliśmy stonować twój temperament, inaczej nie dałoby się ciebie kontrolować, teraz jednak zastanawiam się, czy nie przeholowaliśmy, czy jesteś wystarczająco twardy, by podołać temu zadaniu.

Podano dwa kolejne drinki. Kinoshita rozejrzał się po sali. Jego wzrok padł na dwóch krzepkich mężczyzn, stojących przy drugim końcu baru.

Są tutaj tak, jak nas poinformowano. Spojrzał ukradkiem na Nighthawka. Czas na twój końcowy egzamin. Mam nadzieję, że jesteś do niego dobrze przygotowany.

– Widzisz tych dwóch ludzi przy barze? – spytał mały człowiek.

Nighthawk skinął głową.

– Znasz ich?

– Nie osobiście – odparł Kinoshita. – Słyszałem o nich. – Przerwał, by się im przyjrzeć. – Ten z brodą to Grabarz McNair, zabójca z Obrzeża, zaś drugi jest jego ochroniarzem.

– Zabójca potrzebuje ochroniarza?

– Dobrze jest mieć kogoś do chronienia pleców, zwłaszcza przy tak niebezpiecznej profesji jak ta.



– Jeśli ty wiesz, kim on jest, powinny to wiedzieć i władze planety. Dlaczego zezwoliły płatnemu mordercy polować tutaj?

– Ponieważ stać go na to.

– Czy to jedyny powód?

– Posłuchaj, stworzenie i utrzymanie tego miejsca kosztuje mnóstwo pieniędzy. Nieważne, kim on jest, ważne, że płaci.

– Ile myśmy musieli zapłacić za tę przyjemność?

– Nie martw się o to – powiedział Kinoshita. – Zarobisz tyle, że spokojnie pokryjesz koszty.

– Jesteś optymistą. Wiesz dobrze, że zadanie na Solio II może zająć miesiące.

– Nie mówię o Solio. Zarobisz je zaraz.

Nighthawk spojrzał na niego, zdziwiony.

– Jest nagroda za Grabarza McNaira. Pół miliona kredytów, za żywego lub martwego. Wygodniej dostarczyć martwego.

– Przecież nawet go nie znam – powiedział Nighthawk.

– Nie znasz również człowieka z Solio, którego masz zabić.

– To zupełnie inna sprawa. Poza tym, nie mam przy sobie broni.

– Nauczyłem cię czterdziestu trzech sposobów uśmiercenia człowieka bez użycia broni – odparł Kinoshita. – Mamy wyśmienitą okazję przekonać się, czy należycie przyswoiłeś tę wiedzę.

– Przecież nikomu nie przeszkadza – wykręcał się Nighthawk. – Nie mogę podejść do niego i tak po pro-

stu go zabić.

– Zgadzą się. Najpierw zabij ochroniarza.

Nighthawk spojrział na dwóch niczego niepodejrzewających ludzi, potem na swego nauczyciela.

– Nie zmuszaj mnie do tego.

– Do niczego cię nie zmuszam – odparł Kinoshita.

– Co będzie, jeśli odmówię?

Mały człowiek wzruszył ramionami.

– Spakujemy rzeczy i wrócimy na Delurosa.

– A potem?

Kinoshita spojrział Nighthawkowi w oczy.

– Potem zniszczą cię, szybko i bezboleśnie, a następny klon będzie nieco bardziej agresywny.

– Pozwoliłbyś na to?

– Nie mógłbym ich powstrzymać – odparł Kinoshita. – Rozgrywka toczy się o duże pieniądze, i nie zapomnij, że przede wszystkim muszą dbać o interesy prawdziwego Egzekutora, który ich opłaca.

Nighthawk ponownie spojrział na dwóch mężczyzn opartych o bar.

– Co mam im powiedzieć?

– Cokolwiek. Możesz nic nie mówić.

– Są uzbrojeni?

– Nie sądzę, tu nie wolno nosić broni.

– A jeśli są?

– Wtedy będziesz musiał szybko myśleć – odparł Kinoshita.

– Czy to jedyna rada, jakiej mi udzielisz?

– Zostałeś stworzony po to, by zabić jednego człowieka. Pamiętaj, że nie będzie mnie w pobliżu, jak

będziesz go ścigał.

Nighthawk w milczeniu patrzył na Kinoshitę.

Raptownie zapalałeś pragnieniem, by zabić mnie, nie ich. Cóż takiego powiedziałem, że się rozzłościłeś? Nighthawka ogarnęła wściekłość, że jedynym powodem jego istnienia było zadanie śmierci innej osobie. Nie mógł jednak nic zmienić, skierował więc całą złość w stronę swych ofiar.

– Czekaj na mnie – powiedział młody człowiek, zmierzając w stronę baru, przy którym stali Grabarz McNair i jego ochroniarz. Szedł swobodnie, jakby chciał ich minąć, jednak w chwili kiedy znalazł się za plecami mężczyzn, obrócił się błyskawicznie i potężnym uderzeniem dłoni złamał ochroniarzowi kark.

Grabarz McNair miał niezły refleks, dlatego uniknął pierwszego ciosu Nighthawka, wymierzonego w jego głowę. Szarpnął się do tyłu, próbując się bronić i cały impet uderzenia spadł na jego ramię.

– Co tu się do diabła dzieje? – warknął McNair, cofając się i przybierając obronną postawę.

Nighthawk w odpowiedzi wyprowadził z półobrotu cios nogą, który niechybnie skróciłby Grabarza o głowę, gdyby go dosięgnął. McNair zablokował go, po czym zanurzył rękę pod tunikę, skąd wyjął długi, paskudnie wyglądający nóż.

– Kim ty jesteś? – spytał wściekły Grabarz.

Zamachnął się dwukrotnie nożem, następnie usiłował pchnąć Nighthawka w szyję. Ten zablokował cios, chwycił zabójcę za nadgarstek, schylił się, obrócił. McNair przeleciał nad jego głową lądując z hukiem

obok swego ochroniarza.

Po młodzieńcu nie widać było najmniejszego zmęczenia. Wykopał nóż z ręki Grabarza i skinął na zabójcę, każąc mu powstać.

– Czego chcesz? – zachrypiał zabójca. – Jeżeli pieniędzy, to dogadamy się!

Nighthawk zamierzył się na pachwinę McNaira, potężny cios spadł jednak na twarz Grabarza, miażdżąc ją i zabijając go na miejscu.

Słyszając dziwne buczenie za swymi plecami, młodzieniec odwrócił się i ujrzał wymierzony w siebie pistolet laserowy.

– Nie ruszaj się synu – powiedział Niebieskawy, trzymając pewnie pistolet.

– Obaj byli poszukiwani – wyjaśnił Kinoshita, który ani na chwilę nie opuścił stolika.

– Nie obchodzi mnie to – odparł Niebieskawy. – W moim lokalu nie zabija się ludzi.

Nighthawk zerknął spod oka na Kinoshitę. Spojrzenie zdawało się pytać: Jego też?

Kinoshita pokręcił głową, pozwalając młodzieńcowi rozluźnić się.

– Wyjdziemy, jak tylko odłożysz pistolet.

– Nie powiedziałem, że go odłożę – odparł Niebieskawy.

– Pokryjemy też szkody – kontynuował Kinoshita.

– Co ty powiesz? – Twarz Niebieskawego nie wyrażała nic, jednak w jego głosie pojawiła się nutka zainteresowania.

– Obaj są warci sześćset tysięcy kredytów – po-

wiedział mały człowiek. – Pół miliona za Grabarza, reszta za jego kumpla. Powiem władzom, aby pieniądze przekazano tobie.

– A legrysy?

– Są twoje.

Niebieskawy odłożył broń za ladę.

– W porządku. Umowa stoi – oznajmił. – Napijcie się po jednej Mętnej. Na koszt firmy.

– To miłe z twojej strony – powiedział Kinoshita, kiwając w stronę Nighthawka, by przyłączył się do niego.

Nighthawk rzucił monetę na ladę.

– Stać mnie na płacenie za moje drinki – powiedział z odrobiną dziecięcej dumy.

– Dobrze ci poszło, Jeff – pochwalił go Kinoshita.  
– To byli niezli twardziele. Włożyłeś w to minimum wysiłku i nie odniosłeś obrażeń.

– Co z tego?

Kinoshita uśmiechnął się.

– To był właśnie twój końcowy egzamin. Napijemy się teraz, odpoczniemy, a rano odleczysz na Solio II.  
– Mały człowiek przerwał na chwilę. – Kiedy wchodziliśmy tutaj, byłeś tylko klonem, obietnicą, teraz jesteś równie dobry jak inni, a nawet lepszy.

– Zawsze byłem lepszy.

– Wiem, ale...

– Nic nie wiesz – powiedział ostro Nighthawk. – Myślisz, że stworzono mnie w laboratorium po to, bym zabił kogoś na Solio II.

– To prawda, Jeff. Nie ukrywaliśmy tego przed

tobą.

– Sam zdecyduję o tym, do czego mnie stworzono – powiedział cicho Nighthawk. – Jestem takim samym człowiekiem jak ty. – Popatrzył na Kinoshitę. Nie było to przyjemne spojrzenie. – Nie zapominaj o tym. Nigdy.

Teraz wiem, co cię tak rozdrażniło.

– Widziałeś, co zrobiłem z tymi dwoma – ciągnął Nighthawk, wskazując na leżące ciała i opróżniając szklanę jednym haustem. – Zaczynam lubić to zajęcie.

Po tych słowach wstał i udał się do swego domu.

Kinoshita patrzył, jak odchodzi.

Jesteś Egzekutorem. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Musiałem tylko rozgrzać w tobie krew. Kinoshita uśmiechnął się z satysfakcją. I niezły z ciebie twardziel.

## Rozdział 2

Planeta Solio II nie zrobiła wrażenia na młodym mężczyźnie urodzonym dwa miesiące wcześniej na Delurosie VIII, mężczyźnie, którego głowę przepelniały wspomnienia innych olśniewających światów, chociaż nigdy tam nie był. Planeta liczyła nie więcej niż milion mieszkańców: około ośmiuset tysięcy stanowili ludzie, resztę tworzyli obcy różnorakiego pochodzenia.

Jej domeną był handel. Solio należała do garstki przechodnich światów; będąc oficjalnie częścią Granicy, w rzeczywistości służyła jako korytarz gospodarczy pomiędzy rolniczo-górnymi krainami Wewnętrznej Granicy a bogatymi konsumentami z Oligarchii. Mówiono, że Solio II to spichlerz tysięcy światów, choć w istocie planeta była dostawcą, a nie żywicielem, zaś handel prowadziła raczej z trzystoma planetami, nie z tysiącem, co i tak nie było błahą liczbą. Przez ostatnie półwiecze rządili tu dyktatorzy. Ostatni z nich, Winslow Trelaine, sprawował rządy przez prawie osiem lat, do czasu zamachu. W ciągu tego półwiecza był czwartym gubernatorem, który zginął tragicznie. Gubernatorzy Solio II mieli w zwyczaju umierać na długo przed emeryturą.

Pułkownik James Hernandez, szef urzędu bezpieczeństwa, odbył wstępne rozmowy z adwokatami Nighthawka i to właśnie do jego biura młody człowiek zgłosił się po wylądowaniu na Solio II.

Hernandez był wysokim, szczupłym mężczyzną. Miał gęste, ciemne włosy, orli nos, wąską szczękę i

ciemnobrązowe oczy. Na jego piersi połyskiwały rzędy medali, choć system Solio nigdy nie prowadził żadnej wojny. Stos równo ułożonych rozkazów czekał na podpis pułkownika, chociaż jego komputer – unoszący się z prawej strony biurka – mógł skopiować tysiące podpisów w ciągu zaledwie minuty.

Pokój nosił znamiona pedantycznej czystości. Blaty wszystkich szafek i gablotek byty nieskazitelnie czyste, każdy obraz zawieszony pod odpowiednim kątem w stosunku do podłogi, różnorodne holokrany ustawione według rozmiaru. Nighthawk podejrzewał, że najmniejszy pyłek kurzu zostałby potraktowany jak wróg.

Hernandez wstał z krzesła, lustrując oczami młodzieńca, który wszedł do gabinetu.

– Witamy na Sołio, panie Nighthawk. Czego się pan napije?

– Może później.

– Cygaro? Importowane z samego Aldebarana XII.

Nighthawk potrząsnął głową.

– Nie, dziękuję.

– Muszę przyznać, że trudno mi uwierzyć, iż rozmawiam z Egzekutorem we własnej osobie! – wykrzyknął Hernandez entuzjastycznie. – W dzieciństwie należał pan do moich ulubionych bohaterów. Przeczytałem zdaje się wszystko, co o panu napisali. Właściwie – dodał z uśmiechem – można by powiedzieć, że stałem się tym, kim się stałem, dzięki panu.

– Na pewno pochlebiłoby to Egzekutorowi – po-



wiedział Nighthawk, ważąc słowa – ale ja nim nie jestem.

Usiadł na chromowanym krześle naprzeciw Hernandeza. Ten zmarszczył brwi.

– Słucham?

– Egzekutor znajduje się obecnie na Delurosie VIII, oczekując na lekarstwo, które zwalczy zżerającą go chorobę. Ja nazywam się Jefferson Nighthawk i przybyłem tu, aby wykonać zadanie.

– Nonsens – powiedział szczerze rozbawiony Hernandez. – Czy sądzi pan, że nie wiemy nic o wypadkach na Karamojo? Zabił pan Grabarza McNaira gołymi rękami. – Urwał i popatrzył na Nighthawka. – Jest pan bez wątpienia Egzekutorem.

Nighthawk wzruszył ramionami.

– Niech mnie pan nazywa, jak chce, to tylko imię. – Pochylił się ku niemu. – Ale proszę nie zapominać, że ma pan do czynienia ze mną, a nie z nim.

– Oczywiście – odparł Hernandez, przez chwilę uważnie mu się przyglądając. Odwrócił się i zapalił cienkie cygaro. – Panie Nighthawk, czy pozwoli pan, że zadam mu kilka pytań niezwiązanych z pańską misją?

– Jakie to pytania?

– Jest pan pierwszym klonem, jakiego kiedykolwiek dane mi było oglądać – ciągnął Hernandez, wypuszczając raz po raz nowy obłoczek dymu. – Jestem naturalnie niezwykle ciekaw na przykład, jak nauczył się pan tak doskonale języka. Za ledwie dwa miesiące temu nie istniał pan jeszcze.

– To brzmi tak, jakbym był jakimś odmieńcem –

powiedział Nighthawk, wyraźnie rozgniewany. – Jestem takim samym człowiekiem z krwi i kości jak pan.

– Bez obrazy – powiedział Hernandez gładko. – Chodzi o to, że nigdy nie trafi mi się sposobność rozmowy z innym klonem. Mówi się, że w całej galaktyce jest mniej niż pięciuset podobnych panu, Nighthawk. Klonowania zakazano we wszystkich prawie światach Oligarchii. Musieliśmy użyć znajomości, aby móc pana stworzyć. – Urwał. – To naturalne, że wykorzystuję nadarzącą się okazję.

Nighthawk patrzył na niego lodowatym wzrokiem przez dłuższy czas. Wreszcie zmusił się do uśmiechu i postarał rozluźnić.

– Zastosowano u mnie metodę Głębokiego Snu – powiedział w końcu.

– Tak, poczyniliśmy ogromny krok naprzód w stosowaniu i ulepszeniu tej metody – odrzekł Hernandez. – Ale nie pojmuję, jak ktoś w tak krótkim czasie mógł tak świetnie nauczyć się władać potocznym ziemskim. Czy zaczęli pana uczyć, zanim... zanim... był pan już w pełni... ukształtowany?

– Nie wiem – odpowiedział Nighthawk.

– Fascynujące! Czy zastosowali te same metody, wpajając panu owe niezwykle walory fizyczne? – Mały kawałek popiołu spadł na biurko; Hernandez skrupulatnie przejechał po nim mikroskopijnym odkurzaczem.

– Tak sądzę, uczył mnie również Ito Kinoshita.

– Kinoshita – powtórzył Hernandez. – Słyszałem o nim. To niebezpieczny człowiek.

- Przyjaciel – powiedział Nighthawk.
- Lepsze to z pewnością niż mieć go za wroga – zgodził się pułkownik.
- Teraz proszę o wysłuchanie mojego pytania.
- Oczywiście – opowiedział Hernandez. Zauważył, że zgasło mu cygaro, i ponownie je zapalił.
- Dlaczego właśnie ja? – zapytał Nighthawk. – Mogliście wynająć Kinoshitę albo kogoś w jego typie. Dlaczego poruszyliście wszystkie znajomości i daliście forszę, żeby móc stworzyć mnie?
- Myślę, że to oczywiste – odparł Hernandez. – Jest pan największym łowcą ludzi w historii Wewnętrznej Granicy. Większym nawet od Rozjemcy MacDougala, Sebastiana Kaina, większym niż wszyscy znakomici stróże prawa i łowcy nagród. – Urwał. – Winslow Trelaine był dobrym przywódcą i droгим przyjacielem; zasługuje, aby zostać pomszczony przez najlepszego.
- Odrobiłem lekcje, pułkowniku – powiedział Nighthawk. – Trelaine był dyktatorem, który spisał się dorwawszy do koryta władzy.
- Hernandez roześmiał się głośno.
- To brzmi tak, jakby pan mi zaprzeczał.
- A nie jest tak?
- Czy sądzi pan, że jedynie demokratycznie wybrani przywódcy mogą osiągnąć wielkość? Coś panu powiem: to, jak ktoś dochodzi do władzy, nie ma nic wspólnego z tym, jak ją potem sprawuje.
- A ja myślę, że ma.
- Przemawia przez pana idealizm i niedoświad-

czenie młodości, doceniam to.

– Aż tak młody nie jestem.

Rozbawiło to Hernandeza.

– Wrócimy do tej rozmowy, kiedy pożyje pan rok.

– Czy próbuje mnie pan obrazić? – złowrogo zapytał Nighthawk.

– Ależ nie. To mnie zawdzięcza pan istnienie. To ja spośród wielu ludzi wybrałem właśnie pana. Dlaczego miałbym pana teraz obrażać?

– To nie pan mnie stworzył, pułkowniku.

– Och, oczywiście, że to nie ja wziąłem próbki skóry i nie ja hodowałem je w próbkach. Nie ja dobieierałem odpowiednie proporcje substancji odżywczych, ale istnieje pan tylko z tego jedyne go powodu, że ja zagroziłem pewnym politykom, przekupiłem innych, i że to ja zapłaciłem bająnskie sumy pańskim prawnikom, aby stworzyć młodego, zdrowego Jeffersona Nighthawka, który zabiłby zabójców Trelaine'a. – Hernandez wytrzeszczał oczy. – Tylko proszę mi nie mówić, że podczas tego snu karmili pana Księgą Stworzenia.

Nighthawk popatrzył na niego, ale nie odezwał się. W końcu pułkownik potrząsał głową.

– Odeszliśmy od właściwego tematu. Powinniśmy raczej porozmawiać o tym, co zamierza pan teraz zrobić.

Nighthawk czekał, aż napięcie opadnie z niego całkowicie.

– Najpierw wypiję drinka – powiedział w końcu.

Hernandez przeszedł przez pokój, dotarł do zdo-

bionej szafki i wyjął stamtąd butelkę o dziwnym kształcie.

– Cygnijski koniak. Nie ma lepszego.

– Żadnego nigdy nie piłem.

– No więc zaczyna pan od najlepszego – powiedział Hernandez. – Od dziś każdy inny koniak będzie już tylko rozczarowaniem, bo wspomnienie tego trunku nigdy pana nie opuści.

Nighthawk pociągnął łyk, oparł się pokusie poproszenia o Mętną Kokotę, uśmiechnął się z przymusem, po czym stwierdził: – Bardzo dobry.

Hernandez również napił się i powiedział:

– Ma wyborny posmak.

Nighthawk odczekał odpowiednią chwilę, następnie skinął głową.

– A teraz – ciągnął Hernandez – czas porozmawiać o interesach.

– Po to tu jestem.

– Jak panu wiadomo, Winslow Trelaine został zabity dziewięć tygodni temu. – Hernandez skrzywił się. – Zabito go wiązką światła z broni laserowej, z odległości około dwustu metrów.

– Gdzie to się stało? – spytał Nighthawk.

– Jak na ironię, gdy wysiadał z samochodu przed budynkiem opery.

– Jak na ironię?

– Winslow nie cierpiał opery – powiedział Hernandez z uśmiechem. – Pojechał tam, aby zawrzeć pokój pomiędzy dwoma zwaśnionymi odłamami swojej partii.

- Czy mógł to zrobić ktoś z nich?
- Nie ma mowy – odrzekł Hernandez z całkowitą pewnością. – Wszyscy byli pod obserwacją.
- A może któryś z nich zlecił tę robotę? – dociekał Nighthawk.
- Tak, to musiał być jeden z nich. Wiedzieli, że będzie w operze tego wieczoru, chociaż jego niechęć do tej formy spędzania wolnego czasu była ogólnie znana. Wiedzieli nawet, w którym pojeździe rządowym przyjeździe – urwał. – Te informacje mogły pochodzić tylko od kogoś z wewnątrz.
- Czy był to pierwszy zamach na Trelaine’a?
- Trzeci.
- Proszę opowiedzieć mi o poprzednich. Hernandez westchnął.
- Chciałbym móc powiedzieć, że w tamtych przypadkach moi chłopcy ze służby bezpieczeństwa okazali się na tyle bystrzy, by je przewidzieć i zapobiec im. Ale prawda jest taka, że oba zamachy były po prostu sknocone przez samych wykonawców, w przeciwnym razie mogły były się udać.
- Wnioskuje z tego, że złapał pan zamachowców?
- Niedoszłych – poprawił go Hernandez. – Tak, obu złapaliśmy.
- I nie mają związku z tym zamachem?
- Nic takiego nie ustaliliśmy. Obaj należeli do odłamu jakiejś szaleńczej organizacji. Właściwie do dwóch różnych organizacji. Jeden chciał w ten sposób przyczynić się do popularności swojej książki, która okazała się kompletną klapą. Drugiemu zdawało się,

że Trelaine i cały jego gabinet byli marionetkami w rękach jakiejś obcej cywilizacji i przygotowywali planetę na przybycie tamtych, mających jakoby nad nami zapanować.

– Czy któryś z nich żyje? – zapytał Nighthawk.

– Na obu wykonano wyrok śmierci – odpowiedział Hernandez, kiwając głową. – Poza tym, jak już powiedziałem, działali na własny rachunek i obaj byli stuknięci. Ostatni zamach jednak był starannie zaplanowany.

– Jakież poszlaki?

– Żadnych.

– A więc – powiedział Nighthawk w zamyśleniu – przesłuchiwanie członków całego gabinetu oraz przyjaciół nie ma w ogóle sensu. Zaprzeczają wszystkiemu, nie da się ustalić, czy maczali w tym palce, czy nie. Nie sądzę też, żebym miał uprawnienia do... uzyskania tych informacji, jakie są mi potrzebne?

– Obawiam się, że nie.

– Szkoda. – Nighthawk podążył za spojrzeniem Hernandeza; ten popatrzył na jego prawie nietknięty kieliszek koniaku, pociągnął więc niewielki łyk. – Czyli że Trelaine został zamordowany przez najemnika. Kto jest najbardziej podejrzany?

Uśmiech zagościł powtórnie na twarzy Hernandeza.

– Powiedziałem coś śmiesznego? – spytał Nighthawk.

– Nie, ależ skąd. Po prostu miło mi słyszeć, że rozumuje pan jak prawdziwy Egzekutor.

Nighthawk westchnął i postawił kieliszek na biurku.

– No dobrze, kogo mam szukać?

– Zaraz dowie się pan wszystkiego – powiedział Hernandez. – Ale najpierw chcę, żeby było jasne, iż nie oskarżam go o morderstwo. Nie mówię, że to on pociągnął za spust – urwał. – Ale tu mordercy bardzo pilnują swojego terytorium. Jeśli facet nie przyjął sam zlecenia, to z pewnością ten, kto to zrobił, miał jego przyzwolenie.

– Świetnie, a więc kto to zrobił?

– Czy słyszał pan o Markizie Queensbury?

Nighthawk pokręcił głową.

– Nie.

– Jest najniebezpieczniejszym człowiekiem w obrębie setek, może tysięcy lat świetlnych – powiedział Hernandez nie bez nutki podziwu. – Z wyjątkiem obecnego tutaj, mam nadzieję, Tak czy siak, uzbrojony czy nie, nie ma przeciwnika budzącego większą grozę. Co więcej, wzniosłszy potężne mocarstwo, okazał niebywały talent jako władca.

– Czy wiadomo panu, gdzie może się znajdować?

– Wiem to bardzo dokładnie.

Nighthawk zmarszczył brwi.

– W takim razie, dlaczego...?

– To nie takie proste – przerwał Hernandez. – Większość światów Granicy nie tylko buduje swoje systemy prawne na łapu capu, ale na dokładkę brakuje nam prawa o ekstradycji. Dlatego tak bardzo rozpowszechniło się tu zajęcie łowcy nagród.



– A więc jest obecnie w miejscu, z którego go nie wydadzą?

– Jest w miejscu, które nie oglądało stróżów prawa, odkąd pierwszy człowiek postawił tam nogę osiem stuleci temu.

– Jeśli nie mają żadnych praw, nietrudno będzie tam dotrzeć i po prostu zapolować na niego.

– O entuzjazmie młodości! – wykrzyknął Hernandez. – Jak bardzo chciałbym cię mieć!

– W porządku, czego tym razem nie wziąłem pod uwagę?

– Siedem lat świetlnych stąd, o trzy systemy gwiazdne, znajdują się najbliższe zamieszkane planety. I używam tu słowa „zamieszkane” bardzo szczerze. Są to siostrzane planety, światy górnicze o nazwach Jukon i Tundra. Każde z nich to niemal nieprzerwane pasmo lodu. Średnia temperatura w ciągu dnia waha się w granicach minus dwudziestu stopni Celsjusza. I na każdej z owych planet zamieszkują setki osobników wyjętych spod prawa, całkowicie lojalnych w stosunku do Markiza.

– Na której z nich teraz przebywa?

Hernandez wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Dzieli czas pomiędzy jedną a drugą.

– Brzmi to niezbyt optymistycznie – mruknął Nighthawk.

– Niezbyt optymistycznie brzmi to, kiedy nastają dobre czasy – powiedział Hernandez. – Ale kiedy nadejdą złe, jest o wiele gorzej. Są to jego kwatery głów-

ne.

– Czemu po prostu nie zrzucić bomby?  
– Wtedy zginęłyby tysiące niewinnych kobiet i dzieci.

Nighthawk wzruszył ramionami.

– To tylko pomysł.

– Niezbyt praktyczny.

– Rozumiem, że nie można go podejść. Bo jeśli sprawuje kontrolę nad obydwoma planetami, to wie o wszystkich, którzy tam przybywają i wyjeżdżają.

– Pojedzie pan jako górnik – powiedział Hernandez. – To powinno ułatwić sprawę.

– Interesująca sytuacja – ocenił Nighthawk.

– Oburzająca – powiedział Hernandez. – Stąd cały ten oburzający pomysł i dlatego też płacimy oburzającą cenę. – Zapalił cygaro. – Proszę zapamiętać: Markiz jest tak samo niebezpieczny jak pan. Na pańskim miejscu zastrzeliłbym go przy pierwszej nadarzającej się okazji.

– Nie wiem nawet, jak wygląda.

Hernandez sięgnął do szuflady biurka i wyjął stamtąd mały, kolorowy kryształ. Patrzył na niego przez chwilę, następnie odrzucił do Nighthawka.

– Proszę dać to swojemu komputerowi do przeanalizowania. Są tam wszystkie informacje na temat Markiza, jakie zdołaliśmy zebrać, włączając aktualny hologram.

– Dzięki – powiedział Nighthawk i schował przedmiot do kieszeni. – Jeśli zastrzełę go na miejscu, to jak zdołam wyciągnąć z niego, dla kogo pracuje?

– Jeśli wyciągnie pan to z niego, tym lepiej dla nas – powiedział Hernandez. – Ale prawdę mówiąc moje biuro znalazło się pod ogromną presją znalezienia mordercy. Wolałbym, oczywiście, aby był to ten, który go wynajął, istnieją jednak pewne realia polityczne, z którymi muszę się liczyć, chcąc zachować swój urząd.

– Dajcie im kogoś, kogo mogliby powiesić, bo inaczej powieszą nas – podpowiedział Nighthawk z uśmiechem.

– Coś w tym rodzaju.

– Czy jeszcze o czymś powinienem wiedzieć?

– Jeśli zdarzy się coś takiego, czego nie ma w kryształach, prześlę to panu bezpośrednio do komputera pokładowego.

Nighthawk podniósł się. Hernandez również wstał.

– Dzisiejszą noc spędzę na orbicie Solio, na wypadek gdyby miał mi pan coś jeszcze do przekazania. Oczywiście współrzędne i mapy gwiazdne są w komputerze?

Hernandez przytaknął.

– Dziękuję za poświęcenie mi czasu. Złożę raport, jak tylko będzie to możliwe.

– Powodzenia – powiedział Hernandez, gdy Nighthawk wychodził z gabinetu.

Pułkownik usiadł i dopił koniak.

– Słyszałeś wszystko? – zapytał.

Mały, śniady człowiek w mundurze majora wszedł do pomieszczenia przez ukryte drzwi.

– Każde słowo – powiedział.

– Niech ktoś go śledzi – rozkazał Hernandez. – Jeśli nie pójdzie prosto do statku, chcę o tym wiedzieć.

– Naprawdę pan sądzi, że uda mu się schwytać Markiza?

– Mam nadzieję. Jest najlepszy ze wszystkich. A przynajmniej był. – Hernandez urwał i pogrążył się w zadumie. – Tak, myślę, że może mieć szansę.

– Czy zdoła wrócić stamtąd żywy?

– To już inna kwestia. Może być na tyle dobry, żeby dotrzeć tam i zabić Markiza, ale nie ma mowy, aby udało mu się stamtąd powrócić, to nam zaoszczędzi płacenia za usługę. – Rozkoszował się przez chwilę cygarem. – Biedny, głupi kłon. Prawdziwy Egzekutor przejrzałby, o co tu chodzi, w połowie naszej rozmowy; ten jest za głupi, aby wiedzieć nawet, za co umiera.

### **Rozdział 3**

Hernandez nie przesadził, opisując Tundrę. Powierzchnia planety, obszarem dorównująca Ziemi, była całkowicie pokryta śniegiem i lodem. Równiny, góry, doliny śnieżyły się w pogodny dzień bielą tak intensywną, że bez soczewek ochronnych człowiek w ciągu paru minut nabawiłby się śnieżnej ślepoty.

Tundra była niegdyś bazą surowcową Oligarchii, dostarczała jej ogromne ilości złota, diamentów i rozszczepialnych materiałów. Jednak wystarczyły dwa wieki rabunkowej eksploatacji, by olbrzymie bogactwa planety stały się przeszłością, pozostawiając na pamiętkę dawnych czasów powierzchnię zaśmieconą wymarłymi osadami. Monstrualne huty i rafinerie, pokryte grubą warstwą lodu i miejscami prawie całkowicie zasypane śniegiem, straszyły pustką. Gdzieś tam ostały się małe sadyby ludzi, wydobywających ze stuletnich kopalni resztki skarbów, jednak większość górników dawno przeniosła się na młodsze, obfitsze w bogactwa planety.

Resztki towarów trzeba było jakoś oznakować i wysłać, górników należało nakarmić, leczyć i zabawić, a tych nielicznych interesów, jakie były jeszcze do zrobienia, doglądać. Większość osób, które pozostały na Tundrze, przebywała w Klondike, niegdyś świetnie prosperującym.

Po wylądowaniu w Klondike Nighthawk sprawdził temperaturę panującą na zewnątrz. Wynosiła ona czterdzieści sześć stopni Celsjusza poniżej zera. Po-

stanowił więc przebyć dzielące go od miasta pół mili w swoim skafandrze, rezygnując z odzieży ochronnej dostarczonej przez Hernandezę. Przechodząc obok stojących niczym zamarzniete igielki statków, Nighthawk dostrzegł, że dwa z nich pochodziły z Solio II; transportowce, które wozily artykuły żywnościowe i napoje mieszkańcom odosobnionych światów. Pozostałe statki, których było około czterystu, pochodziły z rozmaitych zakątków Wewnętrznej Granicy.

Po przejściu przez odprawę celną Nighthawk wynajął skuter śnieżny. Będąc prawie u bram miasta, zauważył niewyraźny ruch z lewej strony.

Zaciekawiony zawrócił skuter i chwilę później dotarł do leżącego w śniegu małego, chudego człowieka ubranego w grube futro i skórzane rękawice, co najwidoczniej nie stanowiło zbyt dobrej ochrony przed mrozem.

Młodzieniec pochylił się nad leżącym i uniósł go do pozycji siedzącej. Człowieczek spojrział na niego i usiłował coś powiedzieć, lecz Nighthawk nic nie usłyszał, gdyż miał na głowie kask, a nie zamierzał go zdejmować w tej temperaturze.

Za pomocą gestykulacji spytał go, czy może wstać o własnych siłach. Mężczyzna pokręcił głową, więc Nighthawk pomógł mu wstać, wskazał na miasto i usiłował wsadzić do skutera. Człowiek począł słabo opierać się, lecz wkrótce stracił przytomność. Po chwili obaj jechali w stronę miasta.

Kiedy już tam dotarli, Nighthawk zastanawiał się, co z nim zrobić. Po pustych ulicach krążyły roboty, nie

dostrzegł jednak ludzi. Zauważył parę imponujących budynków: operę, teatr, muzeum, lecz były one pokryte lodem i opustoszałe – pozostałości po dawnych czasach prosperity miasta. Zatrzymał się i rozejrzał wokół; widok nie był jednak zachwycający, gdyż wszystkie urzędy, sklepy, bary stały wymarłe i ośnieżone. Nagle poczuł, że dotyka go ręka małego człowieczka, który wskazał na budynek, znajdujący się z prawej strony skutera.

Nighthawk skierował pojazd w tę stronę i zbliżywszy się do niego dostrzegł smugę światła, prześwitującą z niewielkiego okna. Zarzuciwszy człowieczka na ramię, podszedł do głównych drzwi, które rozsunały się na chwilę, wpuszczając go do środka. Po przejściu przez służbę powietrzną znalazł się w małej knajpce. Dwóch pomarańczowoskórych obcych spojrzęło przelotnie na niego, lecz po chwili wrócili do rozmowy. Mężczyzna, który stał przy barze, patrzył na Nighthawka z nieukrywaną ciekawością, nie wykonał jednak najmniejszego ruchu, by podejść i mu pomóc. Barman, wysoki, postawny grubas o złotych oczach, skinął głową na powitanie i powrócił do swojej pracy.

Nighthawk podszedł do stolika, opuścił delikatnie małego mężczyznę na krzesło, a następnie szybko wygrzebał się z kombinezonu i skierował do baru.

– Mętna Kokota dla mnie, a dla przyjaciela coś gorącego – powiedział. – Tylko szybko.

Powrócił do stolika i usiadł przy swoim nowym towarzyszku, który powoli dochodził do siebie. Dopiero teraz w pełnym świetle Nighthawk dostrzegł, że jego

skóra bardziej podobna była do gadziej niż ludzkiej, jakby pokryta rzędami łusek.

– Jak się czujesz? – spytał.

– Okropnie. Gdzie jesteście?

– W Klondike.

– Teraz czuję się jeszcze gorzej – jęknął mały człowiek. – Usiłowałem ci powiedzieć, byś zabrał mnie na swój statek.

– Mam tu sprawę do załatwienia – odpowiedział Nighthawk.

– Ale ja mam gdzie indziej – rzekł jego towarzysz pokaszując. – Usiłowałem wydostać się z Klondike, a ty mi w tym przeszkodziłeś.

– Zamarzyłbyś w ciągu dziesięciu minut, gdybym ci nie pomógł – odparł młodzieniec.

– Dotarłbym do mojego statku.

– Nie doszedłbyś do niego, nawet gdybyś mógł latać.

– Przynajmniej byłoby to bezbolesne – powiedział cicho człowieczek. – Zamarzenie na śmierć nie jest złym sposobem na odejście z tego świata.

– W porównaniu z czym? – spytał Nighthawk.

– W porównaniu z tym, co mnie czeka, jeśli natychmiast nie wyniosę się z tej lodówki.

– Przecież nie możesz nawet wstać o własnych siłach.

– Chyba masz rację – westchnął mały człowiek. – Zdaje się, że nie podziękowałem ci za ocalenie mi życia. – To mówiąc wyciągnął drżącą rękę w stronę Nighthawka, który spojrzał na nią i na wszelki wypadek



nie podał swojej.

– Nie obawiaj się. Sądysz, że wpuściliby mnie na planetę, gdybym roznosił jakieś paskudztwo? – Młodzieniec pomyślał nad tym chwilę, po czym wyciągnął dłoń. – Jestem Malloy, Jaszczur Malloy.

– Jefferson Nighthawk.

– Słyszałem już to nazwisko – powiedział Malloy.  
– Bardzo dawno temu, więc to nie mogłeś być ty.

– Zgadza się. Poza tym nie znałem wcześniej nikogo o nazwisku Jaszczur Malloy.

– Kiedyś brzmiało John Jacob Malloy – odparł mały człowiek. – Byłem górnikiem, kopałem na asteroidach. Kiedyś natrafiłem na żyłę złota w systemie Pręgo, tuż przed tym, jak gwiazda zamieniła się w nową. Ostrzegano nas przed wybuchem, lecz sądziłem, że spokojnie zdążę zabrać się stamtąd następnego dnia. Myliłem się. Zaraz potem słońce wyrzuciło z siebie tryliony świecących cząsteczek, które mnie dokładnie prześwietliły. Gdy wydostałem się z kombinezonu, okazało się, że moja skóra wygląda właśnie tak – pokazał rękę Nighthawkowi. – Żałuj, że nie widziałeś, co pokazywały liczniki Geigera przez następne trzy lata. Doprowadzałem lekarzy do szaleństwa. I oczywiście musiałem sprzedać złoto za dziesiątą część jego wartości; będzie musiało poleżeć w schronie, zanim ktokolwiek zdecyduje się go dotknąć.

– Mam nadzieję, że nie emitujesz już żadnego świństwa?

– Ani trochę. Dziś spokojnie przechodzę przez port kosmiczny i nie włączam żadnych detektorów.

Obudziłem się pewnego dnia i okazało się, że promieniowanie znikło. Lekarze znów byli bliscy szaleństwa! – zachichotał Malloy.

– Czyli nie doszli jeszcze do żadnych konkretnych wniosków?

Malloy pokręcił głową.

– Nie. Powiększyłem grono niewyjaśnionych zjawisk natury. – Przerwał na chwilę. – Znajdziesz sporo ludzi na Granicy z podobnymi tajemnicami. – Wskazał na podchodzącego do stolika barmana. – Nawet Złotooki jest jednym z nas, tyle że się taki urodził.

Barman postawił ich drinki na stole i uśmiechnął się paskudnie do Malloya.

– Ludzie mówią, że cię szuka.

– Lepiej powiedz mi coś, o czym nie wiem.

Złotooki zachichotał i odszedł do baru.

– Muszę się stąd wynosić. – Malloy usiłował powstać, lecz zachwiał się, nogi odmówiły mu posłuszeństwa i opadł z powrotem na krzesło.

– Owszem, ale chyba do szpitala – powiedział Nighthawk.

Mały człowiek pokręcił głową.

– Za chwilę dojdę do siebie.

– To będzie długa chwila – odparł młodzieniec ironicznie.

– Nazywają mnie Jaszczurem nie tylko z powodu łusek – rzekł Malloy. – Ta cholerna nowa obdarowała mnie także metabolizmem jaszczurki. Jak mi zimno, zapadam w letarg, kiedy ogrzeję się, to wracam do formy. – Nagle na jego twarzy pojawił się gadzi

uśmiech. – W saunie miałbym tyle energii, że nie mógłbym usiedzieć spokojnie. – Urwał. – Cóż, wkrótce nabiorę sił i zniknę, zanim się dowie, że tu byłem.

– Kto ma się dowiedzieć?

– Jak to kto? Markiz.

– Markiz Queensbury? – spytał Nighthawk.

– A znasz innego?

– Dlaczego cię szuka?

– To raczej długa i nudna historia – odparł Malloy. – Nie zainteresowałaby cię.

– Interesuje mnie wszystko, co dotyczy Markiza – powiedział Nighthawk.

Malloy popatrzył na niego długo i uważnie.

– Słuchaj przyjacielu, ocaliłeś mi życie, więc pozwól mi się odwdziczyć. Jesteś miłym młodym człowiekiem. Jeśli chcesz być kiedyś miłym starym człowiekiem, to wracaj do domu.

– Rozwiń nieco ten temat.

– Facet może interesować się Markizem tu na Tundrze jedynie z dwóch powodów: albo chce się do niego przyłączyć, albo go sprzątnąć, ty zaś nie wyglądasz na takiego, co chciałby powiększyć szeregi jego armii. Dzieciak jeszcze z ciebie, nie masz najmniejszych szans.

Nighthawk pochłonał Mętą Kokotę jednym haustem.

– Nie mam wyboru.

– Zabije cię.

– Wątpię – powiedział Nighthawk poważnie. – Jestem dość dobry.

– Cmentarze na Granicy są pełne chłopców, którzy byli dość dobrzy – odparł Malloy. – Wracaj do domu.

– Nie mogę. Natomiast mogę uczynić coś innego. Od tej chwili bioreę cię pod moją opiekę.

– O czym ty mówisz? – zdziwił się Malloy.

– To, co słyszysz – odparł Nighthawk. – Nikt cię nie tknie, chyba że po moim trupie.

– Pieprzę taki interes! – krzyknął Malloy, zrywając się na nogi. – Mam coś lepszego do roboty niż służenie za przynętę na Markiza. Zabije nas obu. – Odwrócił się w stronę drzwi. – Zmywam się stąd.

Nie zdążył zrobić kroku, kiedy znalazł się z powrotem w krześle, na wprost lufy paskudnie wyglądającego pistoletu.

– Nie masz nic do gadania – powiedział Nighthawk, a ton jego głosu potwierdzał to, co mówił. – Ocaliłem cię, więc twoje życie należy do mnie. Wykorzystam je tak, jak będę chciał.

Malloy długo spoglądał w oczy Nighthawka, zanim się poruszył.

– Zrobiłbyś to naprawdę? – powiedział w końcu. – Naprawdę byś mnie zabił?

– Wolałbym tego nie robić.

– Lecz zabiłbyś mnie?

– Bez wahania – powiedział Nighthawk, chowając broń.

Malloy milczał przez chwilę.

– Mógłbym spróbować zwać – powiedział. – Drzwi są blisko.

- Mógłbyś – zgodził się Nighthawk.
- Dobrze strzelasz?
- Nieźle.
- Nieźle – powtórzył Malloy ironicznie. – Założę się, że trafiasz w pyłek kurzu z odległości czterystu jardów.
- Może nawet z pięciuset. Napij się i rozluźnij. Ja stawiam.
- Nie potrafię cię rozgryźć – przyznał Malloy. – Najpierw ratujesz mi życie, następnie grozisz, że mnie zabijesz, a teraz stawiasz mi drinka.
- Wszystko jest jasne. Dopóki cię chronię, jesteś bezpieczny.
- A kiedy twoja opieka się skończy?
- Domyślisz się tego. – Nighthawk skinął na barmana, by przyniósł następne drinki.
- Pasuję – powiedział Malloy. – Muszę być na tyle trzeźwy, by w razie potrzeby wleźć pod stół.
- Odpręż się. Nic ci nie grozi.
- Dlaczego masz być lepszy od tych wszystkich młokosów, którzy chcieli zabić Markiza? Oni też byli dobrzy, a teraz są martwi. Trzymasz pewniej broń? Masz lepsze oko? Dlaczego akurat tobie ma się udać?
- Ponieważ nie ma lepszego ode mnie.
- Dzieciak jeszcze z ciebie. Nie masz więcej jak dwadzieścia dwa, może dwadzieścia trzy lata – powiedział Malloy szyderczo. – Zabiłeś kogoś znanego? Dlaczego masz być najlepszy?
- Uwierz mi na słowo.
- Gdybyśmy gawędzili sobie w barze na jakiejś

innej planecie, to uwierzyłbym, ale znajdujemy się na tej planecie i mam posłużyć jako przynęta, więc nie uwierzę ci na żadne słowo. Kogo zabiłeś?

– Cherokee Masona – powiedział Nighthawk. – Zanzibara Brooksa, Billa Przecinaka.

– Chwileczkę – rzekł Malloy. – Masz mnie za idiotę? Przecież ci goście są od dawna w podręcznikach do historii.

– Ja również – wzruszył ramionami Nighthawk.

Malloy patrzył na niego, marszcząc brwi.

– Jefferson Nighthawk, Jefferson Nighthawk – powtórzył. – Twoje nazwisko brzmi znajomo, lecz nie potrafię go umiejscowić. Musi być z książki wydanej rok czy dwa lata temu.

– Może znasz mnie pod innym imieniem – powiedział Nighthawk.

– Może – powątpiewał Malloy. – A jak ono brzmi?

– Egzekutor.

– Chrzanisz! Egzekutor od ponad wieku gryzie ziemię.

– On żyje.

– Jeśliby żył, byłby znacznie starszy od ciebie.

– Leży zamrożony w Głębokim Śnie na Delurosie VIII – odparł Nighthawk.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Jestem jego klonem.

– Nie wierzę ci!

Na okrzyk Malloya dwóch pomarańczowoskórych obcych uniosło głowy, lecz po chwili powrócili do swej rozmowy.

– Mało mnie to obchodzi – wzruszył ramionami Nighthawk.

Malloy, pełen wątpliwości, spojrział na młodzieńca. Co ich skłoniło do sklonowania go? Za samo myślenie o tym można dostać trzydzieści lat czy nawet dożywocie na więziennej planecie. Nagle w jego oku pojawił się błysk zrozumienia.

– Chcesz mi powiedzieć, że sklonowano ciebie, byś zabił Markiza?

– Dokładnie.

– Co się stanie z tobą, jak już wykonasz zadanie? Odeślą cię z powrotem do laboratorium?

– Nie sędzę, by się nad tym zastanawiali – odparł Nighthawk. – W przeciwieństwie do mnie.

– Naprawdę jesteś Egzekutorem?

– Tak.

Malloy pokazał zęby w uśmiechu.

– Napiję się jednak. Hej, Złotooki. Następną kolejkę! – Odwrócił się do Nighthawka i w czasie kiedy barman przygotowywał drinki, szepnął: – Może jeszcze wszyscy na tym zarobimy.

– W jaki sposób?

– Patrz i ucz się.

Do stolika podszedł barman z drinkami.

– Hej, Złotooki, jakie szansę dajesz chłopakowi na to, że dożyje następnego dnia?

Barman wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

– A jeśli zmierzy się dziś z Markizem?

Złotooki przystanął i spojrział uważnie na mło-

dzieńca.

– Trzysta do jednego. Że nie dożyje jutra.

– W porządku. Stawiam dwadzieścia kredytów na chłopaka.

– Gdzie twoje pieniądze?

– Słuchaj, Jefferson – zwrócił się Malloy do Nighthawka. – Pożycz mi dwadzieścia kredytów.

– Stawiam ci drinki – odparł Nighthawk. – Ale nie opłacam twoich zakładów.

Złotooki nie odrywał wzroku od Nighthawka.

– Chcesz zabić Markiza?

– Tego nie powiedziałem – odparł młodzieniec.

– Więc nie chcesz?

– Tego też nie powiedziałem.

– Dam ci pewną radę – powiedział Złotooki.

– Ile za nią chcesz?

– Jest gratis.

– To ją zatrzymaj – odparł Nighthawk. – Pewnie jest warta tyle, ile za nią chcesz.

Złotooki zachichotał.

– Podobasz mi się. Posłuchaj mojej rady i zabieraj się stąd, póki możesz. On już wie, że tu jesteś.

– Gdzie go znajde?

– Tego nikt nie wie – odparł barman. – Lecz on rządzi planetą. Tu nic się nie dzieje bez jego wiedzy. – Złotooki zebrał puste szklanki i wrócił do baru.

– Co się stało z twymi pieniędzmi? – spytał Nighthawk, zwracając się do Malloya. – Kiedy powiedziałeś, że szuka cię Markiz, domyśliłem się, że wyrolowałeś go na jakąś sumkę.



- Nie zaprzeczę – westchnął smutno Malloy.
- W jaki sposób?
- Trzymałem w ręku karty, których nie można było przebić. Były doskonale. Nie do rozpoznania, to znaczy nigdy byś nie poznał, że były znaczone. Zeszłej nocy ograłem Markiza na dwieście siedemdziesiąt pięć tysięcy kredytów.
- Domyślił się, że miałeś znaczone karty?
- Powiedziałem ci, nikt by nie poznał, że były znaczone. Byłbym cholernym trupem, gdyby się wtedy o tym dowiedział.
- Co więc się stało?
- Sprzedałem talię jednemu gościowi za parę tysięcy kredytów, ponieważ zapragnąłem wynieść się stąd. I nie uwierzysz – Malloy uśmiechnął się smutno.
- Przez cały miesiąc niebo było czyściutkie, a akurat jak zechciałem wyjechać, rozpętała się śnieżycyca. Żaden statek nie mógł opuścić portu kosmicznego, wróciłem więc, by się ogrzać, posiedzieć w towarzystwie i przy okazji dowiedzieć się, że ten sukinsyn, któremu sprzedałem talię, wydał mnie za niezłą sumkę Markizowi. Przeczekałem w ukryciu do rana i spróbowałem dostać się do portu.
- Gdzie ukryłeś pieniądze?
- W kasynie, są schowane za muszlą klozetową w męskiej toalecie – odparł Malloy.
- Zatem chodźmy je zabrać – powiedział Nighthawk, rzucając na stół parę kredytów.
- Słucham?
- Twoje pieniądze – wyjaśnił Nighthawk. – Nie

chcesz ich?

Malloy zamrugał gwałtownie niczym jaszczurka wystawiona niespodziewanie na ostre promienie słońca.

– Zamierzasz wejść do kasyna Markiza, wziąć pieniądze i tak po prostu wyjść? – zapytał z niedowierzaniem.

– No, niezupełnie. Zatrzymamy się przy barze na drinka, by upewnić się, że nas spostrzeżono.

Malloy przez długą chwilę przypatrywał się młodzieńcowi.

– Na pewno jesteś Egzekutorem?

Nighthawk pozostawił pytanie bez odpowiedzi i zaczął wkładać skafander. Widząc to Malloy wskoczył szybko w swój płaszcz i buciory.

– Gdzie jest kasyno? – spytał Nighthawk.

– Przy następnej przecznicy – odparł Malloy.

– Dasz sobie radę?

– Czeka tam na mnie dwieście siedemdziesiąt pięć tysięcy – powiedział Malloy. – Poradzę sobie.

Drzwi cicho wsunęły się w ścianę, wypuszczając ich z ciepłego wnętrza na trzaskający mróz.

– Jak ja nie cierpię tej lodowy! – jęknął Malloy, którego dopadły już dreszcze.

Jednakże Nighthawk, mając nałożony kask, nie słyszał narzekań towarzysza. Szli szybko w stronę kasyna i bez wahania weszli do środka. Nighthawk zostawił swój skafander i kask w polu antykradzieżowym, znajdującym się w śluzie powietrznej, zaś Malloy, którego nie było na to stać, po prostu powiesił

swój płaszcz na ścianie.

W przeciwieństwie do wyludnionej tawerny Złotookiego, tutaj panował tłok. Ściany pulsowały kolorami w rytm granej na żywo muzyki, a cały lokal był rześście oświetlony, choć nie było widać źródła światła. Kasyno zostało zbudowane tak, by pomieścić stu pięćdziesięciu gości, jednak obecnie przebywało w nim ponad dwustu ludzi oraz około czterdziestu obcych. Trzy stopy nad ziemią unosiły się stoły do ruletki, bakarata i dziesięciu rodzajów gry w kości (do sześciobocznych, ośmiobocznych i dwunastobocznych kości), były nawet dwa stoły do jaboba, niesłychanie popularnej gry na Wewnętrznej Granicy, wymyślonej przez obcych, a także lśniący, chromowany bar, który ciągnął się wzdłuż jednej ściany, wypełniony trunkami z co najmniej stu światów; parę stóp nad nim unosiła się mała scena, na której tańczyła zmysłowa, półnaga dziewczyna. Dekorację uzupełniały hologramy kobiet, zarówno ludzkich, jak i obcych ras, w większości nagich, jarzące się łagodnie i obracające dookoła.

– Nieźle się urządził – zauważył Nighthawk.

– Dziewięćdziesiąt procent osób znajdujących się tutaj pracuje dla niego – odpowiedział Malloy, którego rysy, w miarę jak się ogrzewał, nabierały żywszego wyrazu. – Bawią się pieniędzmi, które on im daje. – Mały człowieczek rozejrzał się wokół nerwowo. – Nie chcę zadawać kłopotliwych pytań, ale czy myślałeś o tym, jak nas stąd wydostać po zabiciu Markiza? Pamiętaj, że każdy z tych gości nosi przy sobie spluwę. Nawet Egzekutor nie był tak dobry.

Nighthawk rozejrzał się wokół, ignorując zupełnie problemy Malloya, zlokalizował wszystkie możliwe wyjścia, ocenił odległości, a następnie zaczął zastanawiać się nad swoimi szansami.

– Posłuchaj, jeśli ja domyśliłem się celu twego przyjazdu, musieli domyślić się też inni – usłyszał szept Malloya. – Wynośmy się stąd, póki możemy. Pieniądze wezmę następnym razem.

Odwrócił się w stronę drzwi, lecz nim uczynił krok, Nighthawk chwycił go za ramię.

– Zostajemy.

Zrazu Malloy chciał się wyrwać, zmienił jednak zamiar.

– Co dalej? Nie chcesz chyba walczyć z nimi wszystkimi?

– Jeżeli nie będzie innego wyjścia... – mruknął Nighthawk.

– Co zatem planujesz?

– Jeszcze się nad tym zastanawiam.

– Może się zdarzyć tak, że jeden z nich będzie myślał szybciej. I co wtedy?

– Będzie żałował, że był taki szybki.

– Słuchaj – powiedział cicho Malloy. – Może wy, prawdziwe legendy Granicy, jesteście nieustraszeni, ale my, zwykli ludzie, robimy w portki na samą myśl o zmierzeniu się z kilkoma uzbrojonymi drabami, a co dopiero mówić o dwóch setkach. Wymień mi choć jeden powód, dla którego nie powinienem się martwić.

– Zamknij się i myśl o swoich pieniądzach.

– Których ledwie starczy na w miarę przyzwoity

pogrzeb – biadolił dalej Malloy. – Wydaje się, że jesteś przy zdrowych zmysłach, ale nie widać po tobie strachu, a to oznacza, że jesteś szalony albo głupi. – Zastanawiał się przez chwilę. – Może ty naprawdę jesteś szalony. Nie wymyśliłeś przypadkiem tej historyjki o Egzekutorze i całej tej sprawie?

Nighthawk odwrócił się z niesmakiem od Malloya i spojrzał na nową tancerkę, która pojawiła się właśnie na zawieszanej scenie. Wyglądała oszalamiająco, kasztanowe włosy, prawie bezbarwne oczy, figura gibka i smukła. Jednak najbardziej uderzającą cechą jej wyglądu był kolor skóry – jasnoniebieski.

Niebieskoskóra dziewczyna zaczęła tańczyć w rytm dziwacznej muzyki, a małe dzwoneczki umocowane nad kostkami nóg i na rękach dzwoniły w takt tonów, gdy obracała się, wirując z wręcz niewyobrażalnym wdziękiem i lekkością.

– Kto to jest? – spytał Nighthawk.

– Ona? Nie znam jej prawdziwego imienia, nazywają ją Perła z Marakaibo. Pochodzi z jakiejś planety z Grupy Quinellusa.

– Jest mutantem?

Malloy uśmiechnął się na swój gadzi sposób.

– A znasz jeszcze kogoś, kto ma niebieską skórę?

– Pewnego zmutowanego barmana – młodzieniec nie odrywał wzroku od tancerki. – Jest bardzo piękna.

– Wielu ludzi sądzi podobnie, tylko co mądrzejsi nie mówią tego głośno.

– Dlaczego?

– Należy do Markiza.

- Pracuje dla niego? – spytał Nighthawk.
  - Jest jego własnością.
  - Myślałem, że niewolnictwo zostało dawno zniesione.
  - Puste dekryty.
- Nighthawk uśmiechnął się.
- Przyjąłem do wiadomości – urwał na chwilę. – Swoją drogą, interesujący człowiek z tego Markiza.
  - Czy to ma jakieś znaczenie?
  - Może tak, może nie – powiedział Nighthawk, nie odrywając wzroku od Perły z Marakaibo. – Tego się nigdy nie wie.

## Rozdział 4

Muzyka urwała się i dziewczyna o błękitnej skórze znikła za zawieszoną sceną.

– Idź i powiedz, że chcę postawić jej drinka – powiedział Nighthawk.

– Nie wiem, gdzie teraz jest – odpowiedział Malloy z wyraźną ulgą.

– No to każ barmanowi posłać go jej ode mnie z wyrazami podziwu.

– Czy nie niepokoi cię fakt, że siedzisz w samym środku bandy zimnokrwistych morderców całkowicie oddanych Markizowi?

– Jedyna rzecz, która mnie niepokoi, to fakt, że gadasz do mnie zamiast iść do barmana.

Malloy podniósł się i długo, uparczywie popatrzył na Nighthawka.

– Nie jesteś nim – powiedział wreszcie.

– Słucham?

– Wiem, że on dożył czterdziestki. Nie ma mowy, aby tobie się to udało. – I obróciwszy się na pięcie, podążył w stronę baru. Utorował sobie drogę pomiędzy niechlujnymi Lodinitami, dał sygnał barmanowi, powiedział mu coś, wskazał na Nighthawka, a następnie wrócił do stolika.

– Umiesz się modlić? – zapytał Malloy, zajmując swoje miejsce.

– Nie, czemu pytasz?

– Może i tak wyszłoby na jedno. Nie sędzę, żebyś zdążył odmówić choćby krótką modlitwę.

– Jak to jest przez całe życie się bać? – spytał Nighthawk szczerze zaciekawiony.

– Zdrowo – odpowiedział Malloy – a jeśli ty nie odczuwasz strachu, to albo brakuje ci jakiegoś genu albo któraś śrubka się obluźowała. Ci kolesie nie wiedzą, że jesteś przywróconą do życia chodzącą legendą. Myślą, żeś po prostu dzieciak, a jak tylko barman rozpuści gębę, pomyślą, że jesteś dzieciakiem, który myśli rozporkiem zamiast ruszyć głową.

– Nic nie mogę poradzić na to, co sobie pomyślą.

– Ależ możesz – powiedział Malloy z goryczą – lub przynajmniej mogłeś, zanim posłałeś mnie, aby zamówić drinka dla jakiegoś przekłętego mutantu płci żeńskiej, który i tak pewnie nie jest w stanie go strawić.

– Za dużo się martwisz, zobaczysz – przedwcześnie osiwiejesz.

– Czyżby? To ty sprawisz, że przedwcześnie umrę.

– Uratowałem cię, pamiętasz?

– Abym posłużył ci jako przynęta.

– Tylko jeśli byłoby to konieczne. – Nighthawk spojrzał przez ramię Malloya. – A wygląda na to, że nie będzie.

Malloy obrócił się na krześle i zobaczył dwóch mężczyzn oraz olbrzymiego mieszkańca Pellenorath II o szarej skórze, którzy zbliżali się do stolika.

– Nie mam bronii! – krzyknął pośpiesznie.

– Nie będziesz jej potrzebował.

– Nie wiesz, kim oni są! Ten z lewej to Krwawy Ben Masters. Zabił sam ponad dwadzieścia osób, a



Pellenorowie rozrywają ludzi na strzępy.

– Zamknij się i trzymaj z dala od linii ognia – powiedział spokojnie Nighthawk. Podniósł wzrok w chwili, gdy trzech zabójcy zatrzymali się przy stoliku. – Mogę wam w czymś pomóc, przyjaciele?

– Tak, możesz być bardziej ostrożny w doborze osób, którym stawiasz drinki, kiedy jesteś w Klondike.

– Masz na myśli mojego przyjaciela, Jaszczura? – spytał niewinnie, wskazując skórzastego Malloya. – Wyglądał na spragnionego.

– Wiesz dokładnie, kogo mam na myśli – powiedział Masters.

– Aha, mówisz o tej uroczej młodej damie, która tańczyła.

– Zgadłeś.

– Ale ona również wyglądała na spragnioną. Poza tym to cholernie niesprawiedliwe, że Markiz Queensbury ma cały świat i jeszcze ją na dokładkę.

– Przeciągasz strunę – z ciężkim akcentem odezwał się w terrańskim Pellenor.

– Lepiej potraktuj to jak przyjacielskie ostrzeżenie – dokończył Masters.

– Dziękuję za waszą troskliwość – powiedział Nighthawk. – Na przyszłość będę ostrożny, komu stawiam drinka.

– Świetnie.

– Aha, dalej będę je stawiał tej młodej damie – powiedział wstając, kiedy tamci odwracali się, aby wyjść. – Ale nigdy takim szumowinom jak wy i ten wasz ohydny szarak.

Krwawy Ben miał już broń na wierzchu, zanim jeszcze zdążył się odwrócić w kierunku stolika, ale Nighthawk był szybszy. Dał się słyszeć krótki szmer wyzwalanej mocy i Masters wraz z drugim człowiekiem upadli na podłogę. Ich zwęglone ciała dymiły od broni laserowej Nighthawka. Olbrzymi Pellenor wydał z siebie ryk, rzucił się w kierunku napastnika, ale młody mężczyzna był szybszy. Zrobił unik, po czym z potworną siłą uderzył Pellenora lufą w tył głowy. Skóra pękła, uwalniając strumienie purpurowej krwi i obcy padł na ziemię.

– Wszyscy to widzieliście – powiedział Nighthawk, nie podnosząc głosu.

– Jednoznaczny przypadek samoobrony – dodał Malloy, zdumiony, że jeszcze żyje. – Krwawy Ben pierwszy sięgnął po broń. Zaświadczę o tym.

Przez prawie pełną minutę nikt się nie odezwał, podczas gdy Nighthawk trzymał w ręku broń zwieszoną ku ziemi, ale w każdej chwili gotową do strzału, gdyby zaszła taka konieczność. Wreszcie ktoś się odezwał.

– No to kogo to obchodzi? – i parę sekund później wszyscy wrócili do swoich spraw.

– Macie tu jakichś stróżów prawa? – spytał Nighthawk, chowając broń i zajmując z powrotem swoje miejsce.

– To by nie miało sensu – odpowiedział Malloy. – Nie mamy na Tundrze żadnych praw z wyjątkiem tych, które tworzy Markiz.

– No to kto zajmie się ciałami? – ciągnął dalej Ni-

ghthawk, wpatrując się w trzy ciała, które leżały tam, gdzie upadły.

– Są tu gdzieś jakieś roboty porządkowe – odrzekł Malloy. – Kiedy zobaczą bałagan, podjadą i zgarną to.

– A do tego czasu oni będą tu leżeć? – spytał zdziwiony Nighthawk.

– Tak przypuszczam.

Nighthawk potoczył wzrokiem po kasynie; nikt nie zwracał uwagi na ciała.

– To tak, jakby nic się nie wydarzyło. Myślałem, że żartujesz, kiedy powiedziałaś, że nie obowiązują tu żadne prawa.

Nagle zbliżyły się dwa małe roboty z powietrznym wózkiem, na którym umieściły oba ludzkie trupy, a na nich położyły zwłoki obcego. Dał się słyszeć furkot nadmiernie obciążonych silników i wózek delikatnie opadł na podłogę. Roboty przez chwilę rozważały sytuację, po czym zepchnęły Pellenora i oddaliły się z dwoma pozostałymi ciałami.

– Jesteś cholernie dobry – powiedział Malloy z podziwem. – Jestem już prawie przekonany, że masz jakieś szansę przeciwko Markizowi. W uczciwej walce.

– Dzięki.

– Niewiele to jednak zmienia – dodał Malloy. – Markiz nie wierzy w uczciwą walkę.

– Wnoszę z tego, że jest już w drodze.

– Jeśli jest na Tundrze.

– A jeśli nie jest?

– Nie martw się, ktoś się o ciebie zatroszczy. Zabiłeś trzech jego ludzi. Nie może ci tak po prostu po-

zwolnić odejść. Nie służyłoby to jego interesom.

Nighthawk jeszcze raz uważnie zlustrował salę, zastanawiając się, skąd mógłby nadejść kolejny atak. Wreszcie odwrócił się do Malloya.

– Chcę, żebyś znów poszedł do barmana – powiedział.

– Chyba nie zamierzasz stawiać jej następnego drinka? – zapytał człowieczek z niedowierzaniem.

Nighthawk pokręcił głową.

– Chcę, żebyś mu powiedział, że jeśli następną osobą, która po mnie przyjdzie, nie będzie Markiz, potraktuję to jako bezpośredni atak z jego strony, i za parę sekund to miejsce będzie potrzebowało nowego barmana.

– Jesteś pewien? – zapytał Malloy. – Do cholery, on nic nie może poradzić na to, kto chce cię zabić.

– A jak myślisz, kto szepnął słówko tamtym trzem? – odparł z irytacją Nighthawk. – Skończyłem z podwładnymi. Jeśli Markiz jest w pobliżu, ten będzie wiedział, jak się z nim skontaktować.

Dwa roboty powróciły z pustym skuterem, aby zabrać Pellenora. Malloy obserwował, jak ładowały zwłoki, potem podniósł wzrok. Nagle jego skórzasta twarz stężała ze strachu.

– Chy...chyba nie będzie to konieczne – powiedział drżącym głosem.

Nighthawk obrócił się w kierunku, w którym zwrócona była twarz Malloya. Patrzył na niego wysoki mężczyzna. Miał dzikie, rude włosy, bystre niebieskie oczy i najbardziej kwadratową szczękę, jaką Ni-

ghthawk kiedykolwiek widział. Był wysoki – z pewnością mierzył sześć stóp i osiem czy dziewięć cali – o szerokich ramionach i słusznej posturze, ale bez grama tłuszczu. Posiadał jakiś zwierzęcy wdzięk. Przez jego lewy policzek biegła głęboka blizna, poczynając od kącika oka w dół do samej szczęki, ale zamiast go oszpecać, dodawała mu charyzmy.

A miał ją: wydawało się, że wypełnia całe pomieszczenie, po prostu tam będąc; że wszystko w nim jest większe. Nie nosił żadnej widocznej broni. W jednej ręce trzymał butelkę jakiegoś pozaziemskiego trunku, w drugiej pustą szklanę. Nikt nie musiał mówić Nighthawkowi, że oto stoi przed nim Markiz Queensbury. Tłum rozstąpił się, jakby pod wpływem jakiegoś wcześniejszego sygnału, gdy płomiennogłowy mężczyzna zbliżył się do jego stołu.

– Już nie żyjesz – zwrócił się do Malloya, następnie zignorował go niczym nic nie znaczącego robaka i skierował uwagę na Nighthawka. – Nazywasz się Jefferson Nighthawk.

Nighthawk po prostu patrzył na niego.

– Zabiłeś trzech moich ludzi.

Nighthawk nie odpowiedział.

– Niezbyt dużo gadasz, co? – zapytał Markiz Queensbury.

– Nie słyszałem żadnych pytań – odpowiedział Nighthawk.

Markiz pokiwał głową z aprobatą.

– Dobra odpowiedź. – Usiadł przy stoliku i nalał sobie z butelki, którą miał przy sobie. – Chcesz pytań,

no to zadam ci jedno. – Wpatrywał się w oczy młodego mężczyzny. – Kto pozwolił ci zabić trzech moich ludzi w moim własnym kasynie?

– Pierwsi sięgnęli po broń.

– To nic nie zmienia – powiedział Markiz. – Należeli do mnie, a ty ich zabiłeś. – Zamilkł złowieszczo. – Jak chcesz mi to wynagrodzić?

– Cóż, myślę, że mógłbym wyjść i poszukać trzech innych głupców – powiedział Nighthawk.

– Nazywasz moich ludzi głupcami?

– Tak.

Markiz nie odrywał od niego wzroku, w końcu roześmiał się głośno.

– Lubię cię, Jeffersonie Nighthawk! – potrząsnął głową z udawanym smutkiem. – Zasmuca mnie fakt, że będę musiał ukarać cię dla przykładu.

– A więc nie rób tego – powiedział Nighthawk.

– To nieuniknione – odrzekł Markiz. – Jak długo mógłbym robić to, co robię, jeśli pozwalałbym każdemu czynić awanse mojej kobiecie i zabijać moich ludzi?

– Dłużej, niż pozostaniesz przy życiu, jeśli natychmiast nie odejdziesz – powiedział Nighthawk. Przystawił pod stołem lufę swojej broni laserowej do brzucha Markiza, tak aby nikt nie mógł tego zobaczyć.

Markiz wyglądał na skonsternowanego.

– Masz zamiar zabić mnie na oczach dwustu świadków?

– Wolałbym nie.

Markiz zarechotał.

– Jasne, założę się, że wolałbyś nie.  
– Z drugiej strony nie zamierzam także pozwolić tobie zabić mnie na oczach dwustu świadków.

– Odlóż broń – powiedział Markiz. – Nie jestem uzbrojony.

– Powiedziano mi, że dotrzymujesz słowa – powiedział Nighthawk. – Obiecaj, że mnie nie zabijesz, a pozwolę ci odejść.

– Tego nie mogę obiecać – powiedział Markiz. – Kto wie, co zgotuje przyszłość? – Zamilkł na chwilę. – Ale obiecuję, że dzisiaj cię nie zabiję. Wystarczy?

Nighthawk skinął głową.

Markiz wstał, odwrócił się, po czym zaczął się oddalać, ale tak jak przewidywał to Nighthawk, sytuacja była niejasna, przynajmniej do czasu. Poczul, jak ktoś chwyta, a następnie wykręca mu ramiona do tyłu. Szarpnięty boleśnie, został postawiony i trzymany w bezruchu przez pół tuzina mężczyzn.

– Miło jest mieć przyjaciół – powiedział Markiz, odwracając się do Nighthawka. – To z pewnością coś nowego dla ciebie, nieprawdaż?

Nighthawk skrzywił się i na moment jego wzrok spoczął na Malloyu, który nie poruszył się od chwili, gdy Markiz pojawił się na sali.

– On? – powiedział Markiz z pogardliwym uśmiechem. – To nie jest żaden przyjaciel. To pasożyt.

– Puść mnie, a sam zobaczysz, jak niewielu przyjaciół mi trzeba – odparował Nighthawk.

– O, młodzieńcza brawuro! – wykrzyknął rozba-

wiony Markiz. – W połowie adrenalina, w połowie testosteron, a całość durna.

Skinął na dwóch ze swoich ludzi, którzy szybko odebrali Nighthawkowi wszelką widoczną broń, przeszukali go, by zabrać tę ukrytą, i okazało się, że znaleźli dwa noże i mały pistolet dźwiękowy.

– Masz imponującą kolekcję zabawek – zauważył Markiz. – Teraz, gdy już się ich pozbyliśmy, może mi powiesz, dlaczego mnie szukałeś.

Nighthawk rozejrzał się wokół po wrogim tłumie ludzi i obcych, po czym odwrócił się do Markiza.

Myśl szybko. Co on by zrobił?

– Mam dla ciebie propozycję – powiedział wreszcie.

– No, to jestem szczęściarzem, że przyszedłem wtedy, gdy przyszedłem, bo jeszcze byś mi zdziesiątkował klientelę.

– Myślałem, że może cię to zainteresować – przyznał Nighthawk.

– Ależ jestem zainteresowany, młody Jeffersonie – powiedział Markiz. – Stawiasz whisky mojej kobiecie i – zamiast zapowiedzieć swoją wizytę, jak przystało na normalnego gościa – zabijasz trzech moich ludzi. To faktycznie przykuwa moją uwagę. – Urwał i spojrzał na Nighthawka. – Czego ty chcesz?

– Wynajmij mnie.

– Słucham?

– Jestem lepszy niż jakichkolwiek dwudziestu spośród twoich ludzi – powiedział Nighthawk. – A zażądam jedynie zapłaty, jaką dajesz dziesięciu.



Markiz przyglądał mu się z rozbawieniem.

– Nie mogę zdecydować, czy jesteś bardzo młody czy bardzo głupi.

– Jestem bardzo dobry.

– Wiesz, ilu bardzo dobrych ludzi zabiłem?

– Nie mam najmniejszego pojęcia.

– Sześćdziesięciu czterech.

– Ilu z nich kazałeś przedtem unieruchomić? – spytał Nighthawk.

Kolejny grymas, na wpół rozbawienia, na wpół satysfakcji pojawił się na twarzy Markiza.

– Puśćcie go!

W jednej chwili Nighthawk poczuł, jak jego ręce z powrotem luźno zwisają wzdłuż ciała.

– W porządku – powiedział Markiz, zaciskając dłonie w parę potężnych pięści. – Zobaczymy, co potrafisz. A tymczasem zamierzam ci pokazać, co przytrafia się zuchwałym młodzikom, którzy zabijają moich ludzi w moim świecie.

Jego dłoń wyskoczyła do przodu. Nighthawk widział ją, ale nie wykazał się reflekssem i chwilę później poczuł, jak jego chrząstka nosowa ustępuje pod naporem ciosu.

– W porządku? – zapytał Markiz z fałszywą troską. – Wyglądasz okropnie.

– Przeżyję – odparł Nighthawk, robiąc obrót i kopnięcie, które odrzuciłoby Markiza przez połowę sali, gdyby było celne, ale Markiz wykonał unik.

– Jeszcze jedno – powiedział, markując cios z lewej, a następnie chybiając o włos swoim potężnym

prawym.

– Co znowu? – spytał Nighthawk – wykonując dwa krótkie ciosy w szczękę Markiza, później próbując walnąć go w grzbiet nosa; napotkał jednak blok.

Markiz podniósł szklanę pełną cygnijskiego koniaku, po czym chlusnął jej zawartością w twarz Nighthawka.

– Walczymy według reguł Markiza Queensbury.

– A jakież one są do cholery? – spytał Nighthawk, cofając się szybko i mrugając gwałtownie powiekami.

Markiz skrzywił się.

– Myślałem, że już nigdy nie zapytasz – odpowiedział, podnosząc krzesło ponad głowę i ciskając w niego. – Są takie, jakie mi się spodoba wymyślić.

Pośpieszył z kopnięciem z wyskoku, ale Nighthawk uchylił się, sięgnął ramieniem pod nogi Markiza i szarpnął do góry. Ten straciwszy równowagę spadł na plecy z potężnym łomotem.

Nighthawk kopnął go dwa razy i właśnie miał to zrobić po raz trzeci, gdy Markiz podniósł się, schwycił jego stopę i wykręcił. Nighthawk rozciągnął się jak długi, ale natychmiast wstał.

– Wiesz, że nie jesteś wcale taki zły – powiedział Markiz, wyprowadzając jednocześnie cios w brzuch młodzieńca.

Nighthawk pochylił się, napinając mięśnie. Jak tylko Markiz podszedł bliżej, wyprostował się szybko i potężnym wyrzutem głowy rozciął mu podbródek.

– Do diabła! – ryknął Markiz, gdy krew zalała mu koszulę. – To boli.

– O to właśnie chodziło – wychrypiał Nighthawk, zadając jeszcze jeden lewy, który zamknął Markizowi prawe oko.

Markiz upadł na podłogę, ale w tej samej chwili wyrzucił obie nogi naprzód i zakleszczył Nighthawka w uścisku.

– Jesteś dobry, przyznaję – wydyszał wstając.

– Ty też nie jesteś zły – wymamrotał Nighthawk przez pęknięte wargi.

– Wiesz co? – powiedział Markiz. – Pozwól sobie postawić drinka, a później jeszcze jedna rundka.

– Brzmi nieźle – odparł Nighthawk, podążając za nim do baru. Barman pchnął ku nim dwa duże kufle piwa.

– Nie będziesz chyba zbyt dumny, żebym to ja zapłacił, prawda? – zapytał Markiz.

– Lubię, gdy inni płacą – powiedział Nighthawk.

– Świetnie – odparł Markiz. – Idealnie się zgadzamy.

– Zrobiliśmy całkiem niezły początek, nieprawdaż?

Markiz odchylił głowę do tyłu i roześmiał się głośno.

– Masz wspaniałe poczucie humoru, Jeffersonie Nighthawk!

Nagle cisnął kuflem prosto w przeciwnika, rozbijając młodzieńcowi głowę.

Nieomal powalony na kolana, oszołomiony Nighthawk zdołał uczepić się ręką baru. Widział nadchodzącą nogę i ledwie zdołał schwycić stółek barowy,

aby odparować kopnięcie. Markiz ryknął gniewnie, kiedy stołek zachwiał jego równowagą, głowa olbrzyma odbiła się od baru, a jego kolana nagle się zatrzęsły. Nighthawk otarł krew zalewającą mu oczy i ostrożnie zbliżył się, aby zadać ostatni, zabójczy cios. Uderzył Markiza jednym lewym, dwoma prawymi, a potężne grzmotnięcie w ramię sparaliżowało całkowicie rękę tamtego. Tak bardzo skoncentrował się na wykończeniu Markiza, że zauważył potężny kciuk zbliżający się do jego ucha dopiero, gdy było już za późno. Milion dzwonów rozbrzmiało mu w głowie i nagle stracił równowagę. Czuł, że Markiz zbliża się do niego, ale mógł jedynie wykręcić się szaleńczo w lewą stronę, wyciągnąć ręce i mieć nadzieję. Poczul, jak kant jego dłoni uderza Markiza w szyję, a później znów trzymał się kurczowo baru, desperacko próbując stać na własnych nogach. Czekał na ostateczną szarżę Markiza, myśląc, jaką formę przybierze, i zastanawiając się, czy zdąży zauważyć... ale przez moment nic się nie działo. Wtedy Markiz roześmiał się.

– Na Boga, Jeffersonie Nighthawk, wierzę, że jesteś tak twardy, jak myślisz.

Nagle Nighthawk poczuł potężne ramię podtrzymujące go.

– Napijemy się jeszcze jednego drinka, a potem pójdziemy do mojego gabinetu pogadać o interesach. – Markiz urwał i rozejrzał się po sali. – Od tej chwili ten człowiek pracuje dla mnie i jego rozkaz jest moim rozkazem. Znieważając jego, znieważacie mnie, a jeśli ktoś go w jakiś sposób oszuka, to tak jakby oszukał

mnie, czy to jest jasne?

Reakcja tłumu – całkowita cisza i kilka rozgoryczonych spojrzeń – potwierdziła, że jeśli nawet nie było to przyjęte entuzjastycznie, to z całą pewnością wszystko było jasne.

– A co z moim przyjacielem? – spytał Nighthawk, wskazując na Jaszczura Malloya.

– Jestem dziś wspaniałomyślny – powiedział Markiz. Obrócił się w stronę Malloya. – Posłuchaj, ty mały kanciarzu: zwrócisz moje pieniądze, zanim wyjdiesz z kasyna, a może wtedy pozwolę ci żyć. Wyjdiesz choćby jedną nogą poza ten budynek, nie oddając tego, co należy do mnie, i już śmierdzisz. Zrozumiano?

– Co znaczy „może”? – dopytywał się Malloy. – Jeśli oddam ci pieniądze, będę mógł wyjść.

Markiz odwrócił się do krzepkiego mężczyzny z brodą.

– Zabij go.

– Poczekaj chwilę! – zapiszczał Malloy. – Poczekaj, zgoda!

Mężczyzna wycelował broń w Malloya i spojrzał na Markiza.

– Jesteś tego najzupełniej pewien? – spytał Markiz.

– Tak, zgoda – powtórzył Malloy straciwszy pewność siebie.

Markiz skinął głową i brodacz opuścił broń.

– A teraz, mój przyjacielu – odezwał się, odwracając do Nighthawka – skryjmy się w zaciszu mojego ga-

binetu.

– Jeśli twoje meble są coś warte, to może lepiej przestańmy najpierw krwawić – zasugerował Nighthawk.

– Dobry pomysł – odrzekł Markiz. Wyciągnął z kieszeni banknot i rzucił go na bar. – Pięćdziesiąt kredytów, że ja przestanę pierwszy.

Nighthawk przybił zakład.

– Wchodzę.

Markiz wyszczerzył się szeroko.

– Jefferson, mój chłopcze, mam przeczucie, że to początek pięknej przyjaźni.

## Rozdział 5

Gabinet Markiza w pełni odzwierciedlał gust jego właściciela. Stały w nim proste, surowe meble przystosowane dla dużych, muskularnych ludzi oraz dobrze zaopatrzone barek. Jedno z pomieszczeń pokoju, całkowicie oszklone, było wypełnione pudełkami, które zawierały cygara pochodzące z różnych zakątków galaktyki. Muzyka – skomponowana przez ludzi – delikatnie sączyła się z niewiadomego źródła. Wzmocnione okno oferowało widok na krajobraz planety. Obrazy i hologramy nagich kobiet, ludzkich i z innych cywilizacji, w pozach znacznie bardziej prowokujących niż te z baru, wisiały na ścianie lub unosiły się swobodnie w powietrzu. Ponadto w gabinecie znajdowały się trzy gabloty, a w nich wystawione były inkrustowane klejnotami wyroby sztuki rzemieślniczej jakiejś odległej cywilizacji.

Jak tylko usiedli, Markiz zaczął przyglądać się uważnie młodzieńcowi, usiłując przebić się wzrokiem poprzez krew i opuchliznę, które mocno zniekształcały rysy młodzieńca.

– Jesteś klonem, tak? – spytał w końcu.

– Zgadza się.

– Tak myślałem!

– To przez moje imię, mam rację?

Markiz potrząsnął głową.

– Tutaj ludzie zmieniają imiona jak rękawiczki. Sądzę, że na Granicy znalazłoby się z tuzin Jeffersonów Nighthawków.

– Po czym zatem poznałeś?  
– Człowieka można rozpoznać na różne sposoby. Widziałem, na przykład, wiele hologramów Egzekutora. – Urwał. – Nigdy wcześniej nie widziałem klona i bardziej interesuje mnie to, że mam go przed sobą, a nie fakt, czyim jest klonem.

– Naprawdę?  
– Tak. Ile masz lat?  
– Dwadzieścia trzy.  
– Chodzi mi o twój rzeczywisty wiek, nie biologiczny.

Nighthawk westchnął.

– Trzy miesiące.

Markiz uśmiechnął się szeroko.

– Tak myślałem! – Zafascynowany, nie odrywał wzroku od młodzieńca. – Jak się czuje człowiek, który nie ma przeszłości, wspomnień?

– Mam wspomnienia – odparł Nighthawk. – Ale nie własne.

– A czyje?

– Nie mam pojęcia – wzruszył ramionami Nighthawk.

– Kto cię trenował? Twój oryginał?

– Nie, on umiera na jakąś chorobę, której nabył się ponad sto lat temu. Dopadła go, kiedy przekroczył czterdziestkę, a w wieku sześćdziesięciu dwóch okaleczyła całe jego ciało.

– Jest zamrożony?

– Tak – skinął głową Nighthawk. – Na Delurosie VIII.



– Pozwól, że uporządkuję sobie wszystko – powiedział Markiz. – Ktoś miał pracę dla Egzekutora. Dowiedział się, że on nadal żyje, lecz kiedy próbował do niego dotrzeć, okazało się, że jest zamrożony. Najprawdopodobniej ów „ktoś” wiedział o tym od początku, gdyż według biologicznego kalendarza Egzekutor miałby dobrze ponad setkę. Jednak obojętnie, czy stary czy młody, jest on nadal uważany za najlepszego, więc nasz „ktoś” przekupił każdego wysoko postawionego urzędnika, który mógłby mu przeszkodzić w stworzeniu klona.

– Zgadłeś.

– To jeszcze nie wszystko – kontynuował Markiz. – Czemu zjawileś się w tym miejscu, o tej porze? Mógłbyś polować na jednego z mych ludzi, ale wiadomość, którą przesłałeś, była zaadresowana do mnie. Czego zatem chcesz od mojej osoby? Jaka to okropną zbrodnię popełniłem, że musiano sklonować Egzekutora?

– Nieźle ci idzie. Jestem pewien, że znasz odpowiedź.

– To jasne jak słońce. Jesteś tu, by znaleźć zabójcę Winsłowa Trelaine’a.

– Zgadza się.

– Nie zabiłem go – powiedział Markiz. – Do diabła, ja go nawet lubiłem. Poza tym zawarliśmy porozumienie i on nie wtrącał się w moje sprawy, a ja w jego.

– Porozumienie?

– W zamian za kilka przysług on i Hernandez po-

zwalali mi rabować planetę sześć dni w tygodniu, oprócz niedzieli.

– Lecz wiesz, kto go zabił i za czyje pieniądze?

– Całkiem możliwe – odparł Markiz. – Wiem dużo rzeczy.

– Szepnij mi więc słówko.

– Gdybym zdradził ci sekrety innych ludzi, nigdy nie powierzyłbyś mi swoich – zachichotał Markiz.

– Nie zamierzam ci nic mówić – powiedział Nighthawk. – Co teraz?

– Co teraz? – powtórzył Markiz, kołysząc się na krześle, które zawieszono było tuż nad podłogą. – W kasynie wyraziłeś chęć pracy dla mnie, pamiętasz? Teraz omówimy warunki zatrudnienia. Nie obchodzi mnie powód, dla którego się tu zjawiasz. Potrzebuję porucznika, a nie znajdę lepszego od Egzekutora.

– Nie jestem Egzekutorem, jestem sobą.

– Na jedno wychodzi.

– Niezupełnie – sprzeciwił się Nighthawk. – On nie jest już człowiekiem. Jest jego stuletnim wrakiem o ciele toczonym paskudną chorobą. Jest istotą, która kiedyś była Jeffersonem Nighthawkim.

– A ty jesteś tworem laboratorium, powstałym w probówce trzy miesiące temu – odparował Markiz. – Czy coś z tego wynika? Wolę traktować was dwóch jako ludzi.

Nighthawk skrzywił się. Nie lubił, kiedy ktoś poruszał kwestię jego związku z rodzajem ludzkim.

Markiz zapalił cienkie cygaro importowane z odległej Antares III. Popielniczka wyczuła dym i pojawiła

się, unosząc tuż przy jego prawej ręce.

– Zapalisz? – spytał młodzieńca, podsuwając mu cygarnicę.

– Nie pamiętam, czy paliłem.

– Spróbuj, to się dowiesz.

Nighthawk zaciągnął się cygarem i pomyślał, że będzie musiał zapalić jeszcze parę innych, zanim zdecyduje, czy mu smakują.

– Wracając do tematu – powiedział Markiz – czy jesteś coś winien tym ludziom z Delurosa? Nie stworzyli cię bezinteresownie. Poza tym klonowanie ludzi to ciężkie przestępstwo, złamali niejedno prawo, by cię stworzyć. Gdy złapiesz dla nich tego człowieka, może wynajmą cię jeszcze raz, albo zmienią w kupę protoplazmy. Tak czy siak twoja przyszłość nie wygląda różowo.

– A jaką przyszłość ty mi proponujesz? – spytał Nighthawk.

– Najlepszą – uśmiechnął się Markiz. – Przeskocz swoje dzieciństwo, przejdź od próbówki do królestwa. Już teraz kontroluję jedenaście światów, nim skończę swoje dzieło, będę władał imperium składającym się z dwudziestu pięciu, może trzydziestu planet. Będiesz moim majordomusem. Chcesz kilka planet, udowodnij mi, że jesteś dobrym nabytkiem, a są twoje.

– Sądziłem, że Oligarchia niezbyt przychylnie patrzy na ambitnych władców – zauważył drwiąco Nighthawk. – Nawet kiedy cała populacja ich imperiów jest mniejsza od liczby mieszkańców Solio II.

– Wyświadczamy jej przysługę – odparł Markiz. –

Galaktyka jest zbyt ogromna, by mogła ją objąć Oligarchia i rosnące potęgi takich władców Granicy jak ja. Ale to my ją, kawałek po kawałeczku, asymilujemy. Na dłuższą metę dla historii nie jest ważne, czy planety te kontrolowała Oligarchia, czy ja. Liczy się to, że kontroluje je rasa ludzka.

– To jest najbardziej pokrętne tłumaczenie grabieży, plądrowania i masowych mordów, jakie słyszałem – odparł Nighthawk.

– Też tak myślę – zgodził się Markiz, a uśmiech wciąż błakał się po jego twarzy. – Jeśli nie podoba ci się to tłumaczenie, posłuchaj innego: będziesz miał więcej władzy, niż kiedykolwiek śniłeś.

– Nie bądź taki pewny – powiedział Nighthawk. – Mam bujne sny. Jeszcze mi się przyśni coś, co należy do ciebie.

W jednej chwili uśmiech zniknął z twarzy Markiza. Spojrzał zimnym wzrokiem na młodzieńca.

– Spróbuj tknąć choć jedną rzecz należącą do mnie, a staniesz się sześćdziesiątym piątym dodatkiem do mojej biografii, kawałkiem mięsa, czekającym na wywiezienie. – Przerwał na chwilę. – A jeśli będziesz robił to, co ci każę, przekonasz się, że wszystko jest do uzgodnienia.

– Nawet Perła z Marakaibo?

– Prawie wszystko – poprawił się Markiz. – To własność prywatna. Nawet Egzekutor nie ma do niej prawa, więc zapomnij o niej.

– Nie jestem Egzekutorem. A ona ma chyba prawo decydować sama o sobie.

– Nonsens. Nikt nie decyduje o sobie. Ty należysz do ludzi z Deluros, kiedy ich opuścisz, będziesz należał do mnie.

– Do kogo ty należysz?

– Do różnych ludzi rozsianych po Granicy.

– Myślałem, że zabijasz i rabujesz ludzi, a nie jesteście im coś winien.

– Wolałbyś, żebym ciebie zabił i obrabował? – zaśmiał się Markiz. – Wiesz, że mogę to zrobić.

– Spróbuj.

– Chyba udowodniłem to w kasynie.

– Lepszy już nie będziesz – poważnie powiedział Nighthawk. – Ja nadal się uczę.

– Trafna uwaga. Miejmy nadzieję, że nigdy nie sprawdzimy twoich postępów w nauce.

Nighthawk uniósł się z krzesła.

– Wychodzisz? – spytał Markiz.

– Chcę popatrzeć na twoje łupy – odparł młodzieniec, przyglądając się artefaktom wystawionym w gablocie.

– Nie znam się na sztuce – wyznał Markiz. – Zatrzymuję to, co wpadnie mi w oko, reszta idzie pod młotek na czarnym rynku.

– Jak zaczynałeś? Jako złodziej? Zabójca?

– Ja? Byłem detektywem.

– Żartujesz!

– Bynajmniej. Jakies piętnaście lat temu tropiłem gościa podejrzanego o kradzież brylantów, wielkich jak orzechy włoskie. Złodziej zbiegł na Granicę. Chciałem złapać go żywego, ale gnojek zaczął strzelać i

musiałem go zabić. Potem, im dłużej myślałem o oddaniu tych kamieni moim pracodawcom – a wiedziałem, że byli na tyle skorumpowani, iż bez wahania zagarnęliby sobie brylanty i zniszczyli mój raport – tym bardziej wydawało mi się to daremne.

– A warte były fortunę.

– A warte były fortunę – zgodził się Markiz. – Więc zniknęły, a ja wraz z nimi. Zmieniłem nazwisko, wpadłem w kłopoty, z których wybrnąłem, strzelając na lewo i prawo, i tak stałem się Markizem Queensbury.

– Kto to jest markiz? – spytał Nighthawk.

– Cholera tam wie, ale kiedyś pewien facet zwany Markizem Queensbury wymyślił zasady karate czy judo, a że na tej planecie ja też stanowią prawo i zasady, pomyślałem, że to imię w sam raz dla mnie. – Urwał. – Po paru latach zdałem sobie sprawę, że człowiek, który wie, czego chce, może osiągnąć tutaj znacznie więcej niż najlepszy złodziej. Może, na przykład, zostać imperatorem. Zacząłem od Tundry i Jukonu – łatwo jest zająć planety, które liczą razem nie więcej niż dwa tysiące mieszkańców – a potem poszerzałem granice.

– Jakie korzyści płyną z władania planetą?

– Na przykład pobieram podatki.

– Wymuszasz pieniądze za ochronę?

– Nie bądź taki bezpośredni – odparł krzywiąc się Markiz. – Wolę nazywać to pobieraniem wkładu zabezpieczeniowego.

– Byłeś kiedykolwiek zmuszony kogoś chronić?

– Na szczęście, nie – powiedział Markiz. – Posia-

dam jednak wystarczającą liczbę ludzi, by odeprzeć każdy atak, z wyjątkiem floty.

– Jeśli wszyscy są podobni do tych trzech, których zabiłem, znajdziesz się w niezłych tarapatach, gdy ktoś zdecyduje się tu wprowadzić.

– Przesadzasz. Trzech zwykłych cyngli przeciwko Egzekutorowi to zupełnie co innego niż wysłanie trzech setek zabijaków przeciw siłom jakiegoś...

– Dowódcy? – zasugerował Nighthawk.

– Chciałem powiedzieć przedsiębiorcy – odparł Markiz.

– Cóż, nadal nie liczyłbym zbyt wiele na nich.

– Nie zamierzam – powiedział Markiz. – Za to liczę na ciebie.

– Moim pierwszym obowiązkiem jest znalezienie zabójcy Trelaine'a.

– Z tym się też liczę – Markiz uśmiechnął się promiennie. – Wiesz, że nie mógł go zgładzić bez mojej zgody. Wiesz, że nie wydusisz ze mnie jego nazwiska i jeśli nawet niechcący mnie zabijesz, to zlikwidujesz jedyne źródło informacji. Pozostaje ci zatem zdobycie mojego zaufania, sprawienie, bym poczuł się wdzięczny za dobrze wykonywaną pracę, mam rację?

– Może – zgodził się Nighthawk. – Nie wzięłaś pod uwagę innej możliwości. Może cię rozczaruję i znajdę zabójcę bez twojej pomocy.

– Rozczarowano mnie niejednym razem, więc jakoś bym to przeżył. – Ale ty nie – zdawał się sugerować ton głosu Markiza.

– Na razie, zanim znajdę tego gościa, mogę dla

ciebie pracować. Poza tym, będę potrzebował posady, gdy wykonam zlecenie.

– Nawet Egzekutor musi pochylić czoło przed logiką – Markiz uśmiechnął się z satysfakcją.

– Od czasu do czasu – przytaknął Nighthawk. – Od czego mam zacząć? I co robić?

– Na razie odpocznij przez parę dni. Jestem na tyle zarozumiały, by sądzić, że nieźle ci dołożyłem. Rozzejrzyj się po Klondike, poznaj ludzi, którzy dla mnie pracują. Mam apartament na szóstym piętrze, w hotelu przy końcu ulicy, możesz go chwilowo zająć.

– A gdzie ty mieszkasz?

– Na dziesiątym piętrze – odparł Markiz, szczerząc zęby w uśmiechu. – Lubię widok z najwyższego piętra. – Urwał. – Przyślę jakiegoś konowala, by zszył ci rany i wyprostował nos. Gdybyś czegoś potrzebował, zamów to przez portiernię. Jeśli zechcesz zjeść na mieście, wypić, kupić ubranie czy cokolwiek, powiedz, kim jesteś. Rób tak do czasu, aż zaczną cię rozpoznawać. Zanim wyjdiesz, powiem, że pracujesz dla mnie.

– Czy każdy twój pracownik otrzymuje podobne wynagrodzenie? Dziwię się, że handlarze nie wynieśli się stąd w poszukiwaniu lepszych zarobków.

– Jestem człowiekiem interesu, nie filantropem – zaśmiał się Markiz. – Nie mógłbym ściągać z nich podatków, gdyby nie zarabiali pieniędzy. Tylko ty i Melisanda macie wszystko za darmo.

– Melisanda?

– Dziewczyna, której nie wolno ci nigdy dotknąć.

– Perła z Marakaibo?



– Jej imię zawodowe. Tak jak Markiz Queensbury czy Egzekutor.

– W porządku. Ona jest Melisanda, ja Jeffersonem Nighthawkiem. Jak ty się naprawdę nazywasz?

– Moje prawdziwe nazwisko nic ci nie powie.

– Mimo to chciałbym je poznać.

– Nie wątpię – odparł Markiz. – Lecz nie mam zamiaru ci powiedzieć. Niech wszyscy myślą, że nie żyję.

– Jak sobie życzysz – wzruszył ramionami Nighthawk. – Choć jest to mało sprawiedliwe.

– Oczywiście – powiedział Markiz. – Gdyż to ja jestem szefem, nie ty. Sprawiedliwość nie ma tu nic do gadania.

– Chyba masz rację.

– Masz interesujący wyraz twarzy.

– Naprawdę?

Markiz skinął głową.

– Mówi on: pewnego dnia, kiedy się będzie najmniej spodziewał, przypomnę Markizowi jego słowa – prawdopodobnie wcześniej odbiorę mu kobietę i odstrzelę obie nogi. – Przerwał. – Zapomnij o tym. Tak się nigdy nie stanie.

– To twoja fantazja, nie moja – odparł Nighthawk.

– Jaka jest zatem twoja – i ile kobiet się w niej znajduje?

– Nie ma żadnej.

– Żadnej kobiety? Cóż to za fantazja?

– Opowiem ci pewnego dnia, jak się lepiej poznamy – powiedział Nighthawk. – Może nawet popro-

sze cię o pomoc.

– Ulżyło mi.

– Doprawdy?

– Oczywiście – powiedział Markiz z uśmiechem. – Oznacza to, że nie zamierzasz mnie zabić.

– Szczerze powiedziawszy, mam inne zmartwienia na głowie.

Największym jest bardzo stary osobnik, którego muszę zabić, nim jego prawnicy i medycy wydadzą wyrok na mnie.

– Naprawdę? – powiedział Markiz wyraźnie tym zainteresowany. – Więc bardziej kłopotasz się znalezieniem zabójcy niż mną?

– Chcesz znać prawdę?

– Jasna sprawa.

– Sądzę, że ty jesteś zabójcą.

– Powiedziałem ci już, że nie zabiłem Trelaine'a – odparł Markiz.

– Wiem, lecz nie wierzę w to.

– Więc co zrobisz z tym fantem?

– Będę powoli szukał dowodów. Tak wolno, jak to będzie możliwe. I mam nadzieję, że mówisz prawdę.

– Nie rozumiem – powiedział Markiz marszcząc brwi. – Wcześniej powiedziałeś mi, że twoim pierwszym obowiązkiem jest sprowadzenie zabójcy.

– Moim pierwszym obowiązkiem jest wytropienie go. Będę równie zadowolony, jeśli go nie znajdę.

– Miałem rację – powiedział Markiz, uśmiechając się ze zrozumieniem. – Jak tylko spełnisz swoje zadanie, wracasz do laboratorium.

- Nie myślisz chyba, że pójdę tam dobrowolnie.
- Zostań tu, a nigdy cię nie znajdą.
- Mają człowieka, który znajdzie mnie wszędzie – odparł Nighthawk.
- Bzdura! Ty jesteś Egzekutorem.
- On także. Jak tylko go wyleczą, wyruszy za mną.
- Dlaczego tak myślisz?
- Ponieważ ja bym tak zrobił – a ja jestem nim.
- To wszystko nie trzyma się kupy – zaproponował Markiz. – Nie widzę powodu, dla którego Egzekutor miałby zabić swojego klona, zwłaszcza za darmo.
- Powód jest jasny. Nie może istnieć dwóch Egzekutorów. Posiadam rzecz, na którą on pracował całe swoje życie: jego tożsamość. Będzie chciał ją odzyskać.
- Jesteś tego pewien?
- Tak, bo chcę go zabić z tego samego powodu – odparł Nighthawk. – Dopóki on żyje, pozostanę jego cieniem. Moje istnienie nie jest nawet legalne. Cokolwiek zrobię, obojętnie, dobrego czy złego, zostanie przypisane jemu. – Przerwał, by zebrać myśli. – Jefferson Nighthawk to tylko nazwisko, jak każde inne. Lecz Egzekutor jest definicją. Dopóki on żyje, nie będę Egzekutorem.
- Wydaje mi się, że on nie ma takiego problemu – zauważył Markiz. – Jest przecież prawdziwym, przepraszam, oryginalnym Egzekutorem. Jego pieniądze, tożsamość należą do niego.
- Lecz jeśli ktoś zapragnie wynająć Egzekutora, to jak sądzisz, którego wybierze? Starego człowieka,

na którego nie będzie nawet w stanie spojrzeć, czy mnie? On nie może do tego dopuścić. Poza tym, nie było zamiarem Boga, by dwóch Egzekutorów istniało w tym samym czasie.

Markiz długą chwilę przyglądał się młodzieńcowi.

– Za nic nie chciałbym mieć twoich snów – powiedział w końcu.

– Moje sny są całkiem przyjemne – odparł drwiąco Nighthawk. – Tylko na jawie mam takie problemy.

– Począwszy od jutra będziemy się starali temu zaradzić.

– Mam nadzieję – odparł Nighthawk, wstając z zamiarem opuszczenia pokoju. Za sobą usłyszał szum rozsuwanych drzwi i dojrzał w lustrze figurę Perły z Marakaibo wychodzącej z sąsiedniego pokoju, w którym znajdowało się duże, nieposłane łóżko.

Jednak wątpię, czy nam się uda, dokończył w myślach, kierując się w stronę kasyna, w którym zostawił Malloya.

Przez chwilę wydawało się, że tuż za nim, z niestosownym dla jego wieku wigorem, podąża bardzo stary, schorowany człowiek.

Chyba nie sądzisz, że wszystko pójdzie jak z płatka? – spytał stary człowiek. – Myślisz, że zabijesz złych ludzi, zdobędziesz dziewczynę i spędzisz resztę życia, tropiąc złoczyńców na Wewnętrznej Granicy?

Nie wybiegałem tak daleko w przyszłość – przyznał Nighthawk. – Niemniej taki wariant byłby przyjemny.

Możesz sobie pomarzyć. Czy naprawdę sądzisz,

że pozwolę ci żyć, gdy wydostanę się z tego mroźnego grobowca? Bóg stworzył jednego Egzekutora, nie dwóch.

W jaki sposób chcesz mnie powstrzymać? Jesteś starym człowiekiem, a ja u szczytu sił.

To ja jestem prawdziwym Egzekutorem. Ty zaś tylko cieniem, który zniknie w świetle mego dnia. Żyj z myślą: im jesteś lepszy, tym szybciej się ciebie pozbędę.

Obraz starca zniknął, lecz jego słowa brzmiały w głowie młodzieńca długo po tym, jak dotarł do kasyna.

## Rozdział 6

Markiz dowiedział, że jest człowiekiem, który dotrzymuje słowa. Nighthawk dostawał, o cokolwiek poprosił, zapłata nie wchodziła w rachubę.

Jefferson spędził kilka dni, poznając Klondike. Zwiedził wszystkie spośród czterech tamtejszych restauracji, a także liczne bary, kasyna i burdele. Unikał jednak melin z narkotykami; w miarę zdobywania własnych, jego zapożyczone wspomnienia stawały się coraz bardziej niewyraźne, ale te, które pozostały, mówiły mu, że nic dobrego czy pożytecznego nie może wyniknąć z narkotyków i znajomości z tymi, którzy ich używają.

Większość czasu spędzał w kasynie Markiza, gdzie mógł być do jego stałej dyspozycji. Jaszczur Malloy trzymał się blisko niego, jak gdyby Nighthawk był jedyną ochroną małego człowieczka w tym wrogim środowisku, a w zamian za ową ochronę chłopak uczył się imion i dowiadywał o podejrzanych umiejętnościach większości mężczyzn i kobiet pracujących dla Markiza.

Był jeszcze jeden powód owego częstego przesiadywania w kasynie i Malloy szybko zważał, w czym rzecz.

– Nawet o niej nie myśl – powiedział do Nighthawka, gdy ten patrzył, jak Perła z Marakaibo wygina się w tańcu na kręconym podium.

– Ostatni raz, gdy o niej pomyślałem, trafił mi się interes z Markizem – odparł Nighthawk.

– Tym bardziej nie powinieneś przeciągać struny po raz drugi – powiedział Malloy.

– Ciekawe, co ona w nim widzi?

– Oprócz tego, że facet mierzy dziesięć stóp i posiada jakieś czterdzieści czy pięćdziesiąt światów?

– Nie jest aż tak wysoki i ma tylko jedenaście światów.

– Tak, to z pewnością robi różnicę – zauważył Malloy sardonicznie.

– Skąd ona pochodzi?

– Nie wiem.

– Do jutra dowiedz się tego dla mnie – powiedział Nighthawk, posyłając uśmiech Perle z Marakaibo, kiedy skończyła taniec.

– Chyba poważnie życzysz sobie śmierci, wiesz?

– Po prostu zrób to.

Malloy wzruszył ramionami i umilkł. Chwilę później podszedł do nich jeden z ludzi Markiza i zabrał Nighthawka do gabinetu.

– O co chodzi? – spytał Nighthawk, kiedy znalazł się obok Markiza.

– Mamy mały problem na Jukonie i chcę, żebyś tam posprzątał.

– Ach tak?

Markiz skinął głową.

– Wygląda na to, że ktoś założył tam sklep bez mojego pozwolenia. Wysłałem emisariusza gwoli wyjaśnienia, że to naruszenie prawa, ale ona zabiła go na miejscu. Nie możemy pozwolić, aby uszło to jej na sucho. Zbyt wielu ludzi mogłoby zacząć podskakiwać.

- Ona? – powtórzył Nighthawk.
- Nazywa się Hiszpańska Koronka.
- Brzmi intrygująco.
- Nic intrygującego w niej nie ma. Panoszy się na moim terytorium bez pozwolenia. To wbrew prawu.
- Twojemu prawu?
- Znasz jakieś inne?
- Nie na Jukonie i Tundrze – przyznał Nighthawk.
- No więc tak przedstawia się twoja robota.
- Nie całkiem to dla mnie jasne – powiedział Nighthawk. – Chcesz, żebym zawiózł jej pozwolenie czy też wyrzucił ją stamtąd?
- Chcę, żebyś ją zabił – powiedział Markiz. – A później masz zebrać, co z niej zostanie, i przybić do krzyża albo powiesić na drzewie – cokolwiek, byle w otwartej przestrzeni, ku przestrodze innym, którym przychodzą do głowy podobne pomysły.
- Na Jukonie jest jedynie parę tysięcy mieszkańców – zauważył Nighthawk. – Ilu będzie miało szansę zobaczyć ją rozciągniętą na krzyżu czy też powiewającą na wietrze?
- Tam jest zimno. Trochę więc powisi.
- A czemu po prostu nie obciążyć jej grzywną na jakieś parę milionów kredytów i puścić z torbami? – zaproponował Nighthawk.
- Tym razem nie będę ci odpowiadał – powiedział Markiz – ponieważ dopiero zaczynasz robotę i nie wiesz, że we wszystkim, co robię, jest jakiś powód. Musisz się nauczyć, że moich rozkazów nikt nie kwe-



stionuje; to jednoznaczne ze sprzeczką ze mną, a tego nie toleruję u moich podwładnych. – Zmilkł na chwilę. – Jeśli kiedykolwiek jeszcze zakwestionujesz mój rozkaz, lepiej żebyś od razu zarezerwował jakiś miły kącik na cmentarzu. Nie dbam o to, jak dobry jesteś. Zabijesz ją na miejscu, w przeciwnym razie jeśli nie ja, to dwustu ludzi czekających tylko na mój rozkaz dopilnuje, żebyś nie przeżył na tyle długo, aby móc opuścić Klondike.

Nighthawk wpatrywał się w niego bez słowa.

– W porządku – ciągnął Markiz. – Jeśli ją złapiesz, każesz zapłacić grzywnę, a potem puścisz, wyrośnie mi potężny wróg, który będzie mnie obwiniał o niesprawiedliwe upokorzenie i przywłaszczenie sobie jej pieniędzy, chociaż oczywiście jest to moje święte prawo, by kontrolować przepływ gotówki przez moje światy. Jeśli – z drugiej strony – zabijesz ją, będziemy mieli tyle samo forsy, jeśli nie więcej, i nie będzie żadnej rozgoryczonej i zwycięskiej kobiety, spiskującej, by odzyskać pieniądze i ukarać mnie za ich przywłaszczenie.

– Więc tak naprawdę niewiele cię obchodzi, żeby ktoś zobaczył ciało?

– Ależ oczywiście, że obchodzi mnie, ale nie jest to główny cel, dla którego chcę ją zlikwidować – Markiz urwał. – Jeszcze jakieś pytania?

– Jaka jest jej branża i ilu ludzi zabiła?

– Hiszpańska Koronka? To zależy, o jaki świat pytasz. Ona nie wierzy w specjalizację. Okrada banki, jest podpalaczem, para się wymuszaniem, jest także

zabójcą. Zazwyczaj pracuje sama, ale być może ma jakąś ochronę.

– Jest zabójcą, powiadasz?

– Niech cię to zbytnio nie interesuje. Nie ma nic wspólnego z Trelaine'em.

– Skąd wiesz?

– Nic w tym sektorze nie dzieje się bez mojej wiedzy.

– W porządku, kiedy chcesz, żebym wyruszył?

– Natychmiast. Dlaczego bym ci tyle teraz mówił?

– Gdzie ją znajdę?

– Kazałem już podać współrzędne lądowania twojemu komputerowi pokładowemu. Weź ze sobą tego małego łuskowatego drania Malloya. Był już na Jukonie; może ci się tam na coś przydać – Markiz zarechotał. – Przynajmniej nie będzie ci się pętał pod nogami podczas strzelaniny. Nigdy nie widziałem większego tchórza.

– I właśnie dlatego prawdopodobnie obu nas przeżyje – odparł Nighthawk.

– Możliwe, ale pomyśl tylko, co to za życie.

– Malloyowi nie tyle chodzi o jakość życia, ile o doczekanie dobrej śmierci – powiedział Nighthawk z uśmiechem. – Tylko nie udało mu się jeszcze ustalić, jaka powinna ona być w jego przypadku.

– Należałoby mu wytłumaczyć, że tylko nieliczni spośród nas zapieprzą się na śmierć – powiedział Markiz.

– Spróbuję to zapamiętać.

– Zwłaszcza jeśli w pobliżu jest Melisanda – dodał

Markiz znacząco.

– Nie mam zamiaru dać się zabić z powodu jakiegoś niebieskoskórego mutanta – odparł Nighthawk.

– Bez obrazy – powiedział Markiz. – Lubię cię, naprawdę. Ale trzy miesiące temu zostałeś umieszczony w laboratorium. Skąd u licha mam wiedzieć, z jakiego powodu dasz się zabić?

– Jestem takim samym człowiekiem jak ty! – krzyknął Nighthawk.

– Gdybyś nie był, nie bałbym się, że możesz zrobić coś głupiego z powodu Melisandy.

Odpowiedź chyba nieco ostudziła wzburzenie Nighthawka; widoczne było, że się uspokoił.

– Teraz, gdy już zdecydowałeś, że mnie nie zabijesz, wynoś się stąd do jasnej cholery i zabij osobę, za której śmierć ci zapłacono – powiedział Markiz.

Nighthawk skinął głową i podniósł się.

– Cygaro?

– Jeszcze nie jestem pewien, czy je lubię – odpowiedział Nighthawk.

– Z tych samych powodów tak naprawdę nie możesz wiedzieć, czy lubisz damy o niebieskiej skórze, nieprawdaż? – spytał Markiz znacząco.

– Nie zaczynaj od nowa! – krzyknął Nighthawk. – Jestem czymś więcej niż tylko maszyną do zabijania!

– I zabijesz mnie, aby to udowodnić?

Nighthawk popatrzył na niego przez chwilę, następnie odwrócił się i wyszedł z gabinetu. Odszukał Malloya, włożył skafander i znalazł drugiego dla swojego towarzysza. Następnie przebyli drogę do portu ko-

smicznego. Nim minęła godzina, usadowieni w kabinie statku Nighthawk zostawiali za sobą Tundrę, kierując się ku Jukonowi.

– Nie cierpię podróżować w granicach układu słonecznego! – narzekał Malloy, spoglądając w ekran.  
– Podróż z jednego świata na drugi zabiera więcej czasu niż z gwiazdy na gwiazdę.

– W obrębie Układu Słonecznego nie można rozwinąć prędkości światła – odparł Nighthawk – wiesz o tym.

– Tak, ale nie musi mi się to podobać.

– Znajdź sobie jakieś zajęcie. Na przykład opowiedz mi o Melisandzie.

– Dowiedziałem się tego, o co mnie prosiłeś – powiedział Malloy. – Pochodzi z Greenveldt.

– Czy to jeden ze światów należących do Granicy?

– Zgadza się.

– Czy wszyscy koloniści mają niebieską skórę? – zapytał Nighthawk.

Malloy potrząsnął głową.

– W jej przypadku to nie sprawa ewolucji, tylko mutacji.

– Wyjaśnij.

– Prawdziwy z niej odmieniec. Jest dosłownie jedyna w swoim rodzaju.

– Podoba mi się to – powiedział Nighthawk.

– Naprawdę, dlaczego?

– Powiedzmy, że żywie pewną tkliwość do osób, które są pojedynczymi reprezentantami swojego ga-

tunku.

– W takim razie zachwycisz się Hiszpańską Koronką – powiedział Malloy. – Ta jest dopiero oryginalna.

Nighthawk sprawdził komputer nawigacyjny i spostrzegł, że zostało prawie czterdzieści minut do momentu wejścia na orbitę Jukonu.

– Mamy czas – stwierdził. – Postaraj mi się go jakoś wypełnić.

– Markiz nic ci nie powiedział?

– Tylko tyle, że sprowadziła się na jego terytorium i że chce jej się pozbyć.

– Nie powiedział ci, że zabiła ostatnich trzech śmiałków, którzy wykonywali tę robotę dla niego?

– Nie.

– Ani tego, że ona nie jest normalnym człowiekiem?

– Wyjaśnij, o co chodzi.

– Wygląda całkiem jak normalna, ziemską kobieta – powiedział Malloy. – Ale słyszałem o niej różne rzeczy. Posiada nadludzkie umiejętności.

– Na przykład?

– Nie wiem.

– A więc być może to gówno prawda.

– Jeśliby tak było – zapytał Malloy – to czy ci trzech by zginęli?

– No, dalej – powiedział Nighthawk. – Potrzebuję szczegółów.

– Nie wiadomo zbyt dużo. Obrabowała parę banków w Oligarchii, to wiem. I mówią, że zabiła Jumbo

Willoughby'ego gołymi rękami. No i jeszcze ta sprawa na Terrazane...

– Co za sprawa?

– Ktoś wysadził w powietrze cały parlament. Zginęło około trzystu mężczyzn i kobiet. Nikt nigdy niczego nie dowiedział, ale mówią, że to jej robota, że jeśli nawet sama nie podłożyła bomby, to w każdym razie nagrała całą sprawę.

– Interesująca osoba.

– Jest zabójcza, śmiertelnie niebezpieczna – powiedział Malloy z nabożną czcią.

– Nie martw się, nie będziesz musiał jej oglądać.

– Nie ma mowy, będę przy tobie.

Nighthawk przyjrzał mu się.

– Nie musisz.

– Nieważne. Idę z tobą.

– Myślałem, że wolisz trzymać się z dala od linii ognia.

– Mam siedzieć na statku czy w jakimś barze i czekać, kto przyjdzie po mnie: ty czy najstraszliwszy morderca na całej planecie? – powiedział Malloy. – O nie, wielkie dzięki! Ledwo otworzą się drzwi, a będę prawdopodobnie tak ciasno spętany, że eksploduję.

– Do diabła z takim rozumowaniem – powiedział Nighthawk. – Dziękuję ci za lojalność. – Urwał. – Dziwne, ale jesteś jedynym przyjacielem, jakiego mam.

– Nie jestem twoim przyjacielem – powiedział Malloy. Nighthawk zaczął protestować, lecz Malloy uniósł dłoń, żeby się uciszył. – Ale przez chwilę udawajmy, że jestem nim, abym mógł dać ci pewną radę.

Nighthawk patrzył na niego w milczeniu, podczas gdy tamten ciągnął dalej.

– Wiem, że nigdy nie miałeś ani matki, ani jakiegokolwiek rodziny, i że prawdopodobnie nigdy też nie miałeś żadnej kobiety, nie mówiąc o dłuższym z nimi obcowaniu. Zapewne szukasz kogoś, z kim mógłbyś porozmawiać i napić się, a jednocześnie polujesz na swoje ofiary. Więc pozwól, że ci coś powiem, coś co Jefferson Nighthawk musiał wiedzieć, skoro żył tak długo. Tu na Granicy nigdy nie wolno ci mylić dbania o własny interes z przyjaźnią. Tutejsi są twardsi niż ci w Oligarchii. Przybyli tu, bo mieli swoje powody, i mają też powód, żeby tu pozostać, a powodem tym nie jest bynajmniej przyjaźń. A więc bądź tak serdeczny, jak tylko ci się podoba, i tamci też tacy będą, ale niech ci się nigdy nie zdaje, że ta kordialność kiedykolwiek doprowadzi do przyjaźni. Wystarczy, jeśli doprowadzi do kolejnego przeżytego dnia.

Nighthawk rozważał przez chwilę słowa Malloya, potem pokręcił głową.

- Nie kupuję tego. Dla mnie jesteś zbyt cyniczny.
- Stworzono cię, abyś zabijał ludzi, a ja jestem zbyt cyniczny? – powiedział Malloy sarkastycznie.
- Zabijanie jest tym, co wykonuję, a nie tym, czym jestem.
- Jeszcze nie, ale dojrzejesz do tego. Albo zginiesz.

Umilkli na parę chwil, następnie Malloy odezwał się: – Ile ci zapłacił za wykończenie jej?

– Nic.

– Masz zmierzyć się z Hiszpańską Koronką za darmo? – dopytywał się Malloy.

– Niezupełnie – odparł Nighthawk. – Płaci mi całe góry pieniędzy, abym dla niego pracował, a to zadanie jest częścią umowy. Dziś płaci mi pewnie zbyt mało, jutro przepłaci. Koniec końców bilans wychodzi na zero.

– Zależy od tego, kiedy nadejdzie ów koniec – zauważył Malloy.

– Jeśli mi powiesz, na co mam być przygotowany, to może nie nadejdzie tak szybko.

– Nie znam jej możliwości. Wiem po prostu, że kilka razy powinna już była zginąć, a mimo to ma się dobrze, za to wszyscy jej wrogowie nie żyją.

– Może po prostu świetnie włada bronią – powiedział Nighthawk.

Malloy potrząsnął głową.

– Stawiła czoło przeciwnościom, jakim nawet ty, Egzekutorze, nie dałbyś rady.

– Ale ona jest człowiekiem. Ile nadprzyrodzonych talentów może posiadać?

– Wystarczająco dużo – powiedział Malloy, gdy statek wszedł w mroźną atmosferę Jukonu.



## Rozdział 7

Wylądowali w Nowej Syberii, mieście-państwie, różniącym się tym od swojej imienniczki, że było większe, zimniejsze i oddalone od niej o parę tysięcy lat świetlnych. Nighthawk i Malloy zbierali się właśnie do wyjścia, by dotrzeć do wieży portu kosmicznego ogrzewanym tramwajem, kiedy nagle w kabinie statku rozległ się głos: – Proszę pokazać paszporty.

– Gdy dotrzemy do kontroli celnej – odparł Nighthawk, patrząc na twarz młodej kobiety, która nagle pojawiła się na wszystkich ekranach statku.

– To jest właśnie kontrola celna, proszę pana – powiedziała. – Niewiele osób odwiedza naszą planetę, postanowiliśmy więc w ramach udogodnień dokonywać odprawy celnej gości na pokładach ich statków, likwidując obsługę naziemną.

Mężczyźni podnieśli swe tytanowe paszporty, by umożliwić ich zeskanowanie.

– Witamy na Jukonie, panie Nighthawk. Witam ponownie pana Malloya. Jaki jest cel wizyty panów na naszej planecie?

– Przybyliśmy tu w celach turystycznych.

– Nasza planeta nie posiada bazy turystycznej, panie Nighthawk.

– To nie moja wina. Zamierzam zobaczyć wszystkie cuda natury, jakie się u was znajdują.

– Myślę, że przyjechał pan tutaj uprawiać hazard – kontynuowała kobieta, ignorując jego odpowiedź.

– Czyżby było to niezgodne z prawem?

– Wprost przeciwnie. Nasi goście są nawet do tego zachęcani. Widzę, że niedawno otworzył pan konto na planecie Tundra. Możemy wydać panu licencję na uprawianie hazardu, jeśli wyrazi pan zgodę na obciążenie pańskiego konta odpowiednimi kosztami.

– I zapewne nie posiadacie licencji na turystykę, mam rację? – spytał Nighthawk z uśmiechem.

– Ustna zgoda w zupełności wystarczy – kontynuowała kobieta. – Holokopia tej konwersacji znajdzie się w archiwum naszej planety.

– Zgadzam się.

– Życzę panu miłego pobytu i szczęścia przy stole hazardowym. – Przerwa. – Jaki jest cel pańskiej wizyty, panie Malloy?

– Jestem z nim.

– Nie mogę zlokalizować konta posiadającego pańskie nazwisko i kod głosowy, panie Malloy. Nie posiada pan konta ani na Wewnętrznej Granicy, ani w Oligarchii – powiedziała kobieta. – Jak zamierza pan uiścić opłatę za licencję?

– Ja zapłacę – zaofiarował się Nighthawk.

– Jak pan sobie życzy – odparła. – Jednakże prawo planety wymaga, bym poinformowała pana, że nabywca licencji jest odpowiedzialny za wszelkie długi na nią zaciągnięte.

– Rozumiem – powiedział Nighthawk. Zastanowił się przez chwilę. – Czy pan Malloy może nabyć odpowiedzialną licencję za gotówkę w najbliższym kasynie?

– Oczywiście – rzekła kobieta. – Chciałam jeszcze dodać, że dopóki pan Malloy nie złoży minimalnego

depozytu, będzie musiał za wszystko płacić gotówką. Z góry.

– Pan Malloy rozumie.

– Muszę usłyszeć to z jego ust.

– Rozumiem, rozumiem – zamruczał Malloy.

– Doskonale. Otrzymujecie panowie zezwolenie na siedmiodniowy pobyt na Jukonie. Jeśli zażyczycie sobie opuścić granice Nowej Syberii, będziecie musieli uzyskać wpieryw zgodę kraju, który zamierzacie odwiedzić. Gdybyście chcieli przedłużyć pobyt na naszej planecie, proszę o zgłoszenie się tutaj na jeden Standardowy Dzień Galaktyczny przed upływem daty ważności waszej wizy. Czy macie panowie jakieś pytania?

– Tak. Gdzie mogę dostać mapę Nowej Syberii?

– Proszę chwilę poczekać... Mapa została właśnie przesłana do systemu nawigacyjnego pańskiego statku.

– W jaki sposób możemy poruszać się po Nowej Syberii?

– Przy wieży znajduje się wypożyczalnia skuterów śnieżnych – padła odpowiedź. – Są one wyposażone w ogrzewanie, radar z radiem i trzydniowy zapas jedzenia dla sześćoosobowej załogi.

– Muszę mieć sześćoosobową załogę?

– Nie. Jest to po prostu maksymalna ilość osób, jaką może pomieścić skuter.

– Dziękuję – powiedział Nighthawk. – Była pani bardzo pomocna.

Ekran wyłączył się.

– Pokaż mapę i znajdź Hiszpańską Koronkę –

rozkazał Nighthawk komputerowi. – Równie dobrze możemy dokładnie wiedzieć, dokąd, u diabła, zmierzamy.

Komputer po przejrzeniu spisu ludności planety pokazał na ekranie mapę, na której wkrótce pojawił się migający punkt, odległy od ich obecnej pozycji o jakieś czterdzieści mil.

– Gdzie jest najbliższe miasto? – spytał Nighthawk.

Migająca kropka pokazała się tuż przy porcie kosmicznym.

– Gdzie jest najbliższy sąsiad?

Kolejny punkt zaczął mrugać w odległości piętnastu mil od nich.

– Wyłącz się.

Jak tylko ekran zgasł, Malloy zwrócił się do Nighthawka: – Chyba nie lubi tłoku.

– Zdecydowanie.

– Co robimy?

– Wypożyczymy skuter i składowy jej wizytę.

– Pewnie ma jakiś system ostrzegawczy. Będzie wiedziała, że nadchodzisz.

– Być może.

– Czemu nie skontaktujesz się z nią teraz? Moglibyście porozmawiać.

– Markiz nie płaci mi za pogawędki.

– Ale też nie daje ci pieniędzy tylko po to, byś dał się zabić – odparł Malloy.

– Nie mam zamiaru zginać.

– Tak samo myślała trójka twoich poprzedników.

- Słuchaj, jeśli się boisz...
- Pewnie, że się boję! – przerwał mu Malloy. – Tylko szalenieć by się nie bał.
- Zostań więc tutaj.
- Co będzie ze mną, jeśli ciebie zabije?
- Masz większe szansę na wydostanie się stąd, jeśli pozostaniesz tutaj, niż będąc ze mną.
- To byłoby tchórzostwo.
- Przecież jesteś tchórzem.
- Lecz się z tym nie afiszuję.
- Inaczej mówiąc, chcesz tu zostać, tylko potrzebujesz na tyle przekonującego powodu, by nie stracić szacunku dla samego siebie.
- Mniej więcej.
- Rozumiem. Nie wiesz, jakie nadprzyrodzone zdolności posiada Hiszpańska Koronka, tak?
- Zgadza się.
- Czy ktokolwiek inny wie?
- Raczej nie.
- Zostań więc tutaj i utrzymuj ze mną kontakt wizualno-radiowy; jeśli ich użyje, by mnie zabić, poinformuj o tym Markiza. Może wpadnie ci za to jakaś nagroda.
- Tak myślisz?
- Mało prawdopodobne – uśmiechnął się Nighthawk. – Ale kto wie, będziesz przecież w posiadaniu informacji, na którą czeka.
- Tak, to ciągle wystawianie zdrowia na szwank dobrze ci służy – powiedział Malloy. – Poza tym, ty dla niego pracujesz, nie ja.

– Nie wracaj zatem na Tundrę. Zwiewaj najdalej, jak możesz, i wyślij mu wiadomość, w której zaofiarujesz się sprzedać to, co wiesz.

– Brzmi sensownie.

– I bardziej do ciebie pasuje – zauważył sardonicznie Nighthawk.

– Nie wszyscy nadają się na bohaterów czy zabójców – bronił się Malloy. – Niektórzy z nas są po prostu normalnymi ludźmi. – Spojrzawszy na swoje pokryte łuskami ręce i ramiona, uśmiechnął się smutno. – Może nie do końca normalnymi – poprawił się.

Nighthawk ubrał się w kombinezon kosmiczny, po czym zaczął przeglądać schowki znajdujące się na statku.

– Czego szukasz? – spytał Malloy. – Przecież wzięłeś już trzy różne rodzaje broni.

– Cztery – poprawił go Nighthawk. – Szukam oka.

– Nie mów mi, że twoje oczy walają się, ot tak sobie, po statku – zdziwił się Malloy.

– Mam na myśli trzystusześcdziesięciostopniową kamerę – wyjaśnił Nighthawk. Nagle schylił się i podniósł mały, okrągły przedmiot, którego przekątna nie miała nawet cala. – Mam.

– Nigdy nie widziałem czegoś takiego – powiedział Malloy. – Zabawka dla szpiegów.

– Położę to na stole lub krześle – powiedział Nighthawk, puszczając mimo uszu uwagę Malloya. – To urządzenie może przekazać obraz całego pomieszczenia, łącznie ze ścianami, podłogą i sufitem. Komputer odbierze sygnały, ułoży odpowiednio wszystkie nachy-

lenia i zdjęcia, po czym wyświetli obraz, który powinien być czytelny.

– Może ona ma jakiegoś zwierzaka, który to pokłknie.

– Wtedy zobaczysz, jak wygląda jego układ pokarmowy, i prześlesz wiadomość weterynarzowi, a nie Markizowi. – Przerwał na chwilę. – Mój komunikator będzie cały czas włączony. Jeśli nie zagłuszy w jakiś sposób sygnału, usłyszysz wszystko, o czym będziemy mówić.

– Jesteś pewien, że chcesz iść sam?

– Szczerze mówiąc, chciałbym mieć jakieś towarzystwo – odpowiedział Nighthawk, z trudem zachowując powagę. – Przynajmniej miałyby dwa cele zamiast jednego.

– Do diabła! – wybuchnął Malloy. – Miałeś przecież powiedzieć, że wolisz iść sam.

– Żartowałem. Chciałem tylko sprawdzić twoją reakcję.

– Bezlitośni mordercy nie mają poczucia humoru – mruknął mały człowieczek.

– Widocznie jestem litościwym mordercą.

– Miejmy nadzieję, że i długowiecznym.

– Jeden ze mnie jest długowieczny.

Nighthawk opuścił statek i tramwajem udał się do wieży, gdzie wynajął ogrzewany skuter. Był to model, z którym nie miał wcześniej do czynienia, poprosił więc sprzedawczynię, by odpowiednio go zaprogramowała.

– Na pewno podał mi pan właściwe współrzędne?

– spytała kobieta.

– Tak.

– Zatem musi pan wpłacić większą kaucję – powiedziała przepraszającym tonem. – Wielu ludzi wyruszyło do Lodowego Pałacu i prawie nikt nie wrócił.

– Co się z nimi stało?

– Nie wiem – odparła. – I nie chcę wiedzieć. Proszę tylko pana o wpłacenie większej kaucji za skuter.

Nighthawk złożył odcisk kciuka na kontrakcie, który mu podsunęła.

– Jakiej rady udzieliłaby pani osobie udającej się do Lodowego Pałacu? – spytał, czekając na potwierdzenie autentyczności linii papilarnych.

– Niech pan nie ufa swoim oczom.

– Co pani ma na myśli?

– Ona wygląda jak człowiek, ale nim nie jest.

– Kim zatem jest?

– Jeśli zdoła pan przeżyć i wrócić, może właśnie pan odpowie mi na to pytanie – powiedziała kobieta.



## Rozdział 8

Nighthawk widział pałac oddalony o jakieś pięć mil. Rzeczywiście budowla została wykonana ze śniegu i lodu, oślepiająco biała w promieniach południowego słońca. Były tam wysokie wieżyczki, mury zakończone blankami, wieże i rampy, balustrady i dosłownie miliony sopli lodu, zwieszających się z każdej części i każdej konstrukcji. Brakowało jedynie fosy i Nighthawk był pewien, że tylko z powodu zbyt niskiej temperatury nie mogła w niej płynąć woda.

Zbliżył się na około milę, następnie zredukował o połowę dotychczasową prędkość skutera. Był przygotowany na każde niebezpieczeństwo. Tu i ówdzie biegały małe, białe zwierzątka, niektóre z nich nawet ściągając przez jakiś czas skuter, ale gwałtownie się wycofały, kiedy zbliżył się do głównej bramy.

W końcu zatrzymał się przed Lodowym Pałacem. Rozejrzał się w oczekiwaniu na straż i zaskoczyło go, że żadnych nie dostrzegł. Podszedł do bramy. Była zamknięta. Przytknął więc do niej swój pistolet laserowy; zarówno mechanizm zamka jak i sama zasuwastopniały w jednej chwili.

Wszedł ostrożnie do środka. Ściany i podłoga wydawały się wykute z lodu, ale jego kombinezon powiedział mu, że temperatura wynosi dwadzieścia trzy stopnie Celsjusza. Ostrożnie zdjął z głowy hełm, następnie szybko wyślizgnął się ze swojego skafandra. Dotknął kilku sopli, które zwieszały się z sufitu; były z kwarcu, całkiem ciepłe w dotyku. Świetliste kule –

niezbyt duże – pozbawione jakichkolwiek dostrzegalnych źródeł swej poświaty, unosiły się blisko sufitu, rozjaśniając wnętrze.

Przeszedł przez parę komnat w towarzystwie połowy obecnych tam kuł, które wydawały się wyczuwać jego intencje i uprzedzać jego potrzeby, śpiesząc, aby zapewnić światło tam, gdzie tylko obrócił głowę. Ściany i podłoga wyglądem przypominały płaszczyzny wyłożone diamentami. Niektóre komnaty podkreślały piękno całości swoim umeblowaniem, inne świeciły pustką. Nigdzie nie było najmniejszych oznak życia; żadnych ludzi, obcych, zwierząt, strażników. Nikogo.

W końcu dotarł do wyjątkowo dużego pomieszczenia, mającego boki długości może sześćdziesięciu stóp. Melodyjne tony pozaziemskiej muzyki płynęły z maleńkiego głośnika unoszącego się pod sufitem dokładnie nad środkiem komnaty, a kilka świetlistych kuł kręciło się wokoło niego w majestatycznym tańcu, nieco chaotycznie, a jednak prezentował on swoistą formę i wdzięk, które zdawały się znakomicie pasować do melodii. Ściany przyozdobione były przepięknymi figurami z lodu czy też kwarcu, który imitował lód. Nighthawk nie wiedział tego.

Kiedy przeszedł przez komnatę, drzwi zatrzasnęły się za nim. Na ten dźwięk obrócił się, trzymając w ręku broń, następnie szybko zbliżył, do drugiego wyjścia. Lśniące białe drzwi zatrzasnęły się, zanim odbył połowę drogi w ich stronę.

Głośny chichot uświadomił mu, że nie jest sam. Odwrócił się i stanął twarzą w twarz z niewysoką, gib-

ką kobietą o rozwichrzonych, ciemnych włosach i smolistych oczach. Ubrana była w dopasowany do sylwetki czarny strój z delikatnej koronki.

– Jak się tu dostałaś? – spytał Nighthawk.

– To mój dom – odparła. – Wchodzę i wychodzę, kiedy mi się podoba.

– Hiszpańska Koronka, nieprawdaż?

– A ty jesteś Jefferson Nighthawk.

– Kto ci powiedział?

– Mam swoje źródła – odparła. Patrzyła na niego.

– Ze wszystkich sługusów, jakich mi tu przysłał Markiz, ty jesteś najmłodszy. Musisz być bardzo biegły w swoim rzemiośle.

– Nie jestem sługusem.

– Ale jesteś zabójcą?

– To jedna z pomniejszych rzeczy, które umiem robić.

Roześmiała się drwiąco. Patrzył na nią przez chwilę, po czym rozejrzał się po komnacie. Badał zgromadzone w niej rękodzieła, podczas gdy ona stała nieporuszona, intensywnie wpatrując się w niego. Wreszcie odwrócił się do niej.

– Co jest w tobie takiego wyjątkowego? – spytał. – Dlaczego on życzy ci śmierci?

– Ponieważ boi się mnie – powiedziała Hiszpańska Koronka.

– Jakoś nie wygląda na człowieka, który czegośkolwiek by się obawiał.

– Jeśli to prawda, to dlaczego wysłał ciebie, abyś wykonał dla niego tę brudną robotę?

– Bo ja też się ciebie nie boję, a on ma pieniądze  
– oparł Nighthawk z uśmiechem.

– Czy pomyślałeś, jak stąd wrócić?

– Tak samo, jak tu przybyłem.

– Nie sądzę – powiedziała. – A może sam to sprawdzisz?

– Pani pierwsza.

Wzruszyła ramionami i powtórzyła tor jego wcześniejszej wędrówki po pałacu. Drzwi rozszerzały się czy też rozsuwały, kiedy zbliżała się do nich, i w ciągu minuty dotarła do głównej bramy. Kiedy ta rozstała się, Hiszpańska Koronka odsunęła się na bok i Nighthawk zobaczył to, co zostało z jego skutera: pogiętą, zmiażdżoną kupę metalu.

– Co mu się u licha przydarzyło? – mruknął raczej do siebie niż do Koronki.

– Biedny Jeffersonie Nighthawk – powiedziała. – No i jak ty teraz wrócisz do domu?

Nagle zdał sobie sprawę, że panuje przenikliwie zimno, a ostry wiatr smaga jego twarz i całe ciało. Odwrócił się do Hiszpańskiej Koronki, która stała obok niego zupełnie nieczuła na chłód i wiatr. Pierwszą jego myślą było pozostać na zewnątrz, aby pokazać jej, że może tak jak i ona stawić czoło zimnu, szybko jednak zdał sobie sprawę, iż ta męska duma może go zabić; kobieta zdawała się całkowicie odporna na żywioły.

Odwrócił się i ruszył w stronę Lodowego Pałacu. Hiszpańska Koronka podążyła za nim.

– Jakiś czas temu zadałeś pytanie – powiedziała,

kiedy dotarli z powrotem do wielkiej komnaty.

– Tak?

– Myślę, że dokładnie brzmiało ono: „Co mu się u licha przydarzyło?” – Uśmiechnęła się. – Ja się przyda-  
rzyłam.

– Byłaś ze mną.

– Zgadza się.

– A więc zrobiłaś to, zanim przyszałaś do tej kom-  
naty?

– Zrobiłam to podczas pobytu w tej komnacie –  
odparła. – Jak?

– Obiecuję, że dane ci będzie odkryć to samemu,  
zanim ten dzień dobiegnie końca, Jeffersonie Ni-  
ghthawk. – Usiadła na krześle przypominającym rzeź-  
bę z lodu. – Czy już zdecydowałeś, jak mnie zabijesz?  
Będzie to śmierć od gorąca, czy też zabijesz mnie  
dźwiękiem? Zginę od twojej broni, czy też od twoich pię-  
ści? Skończę szybko, czy też będzie to śmierć powol-  
na?

– Wcale nie powiedziałem, że chcę cię zabić – od-  
parł Nighthawk. – Powiedziałem tylko, że wysłano  
mnie, abym to zrobił.

– Ach! – uśmiechnęła się znowu. – Oczekujesz  
kontroferty?

– Niekoniecznie.

Wyglądała na zdziwioną.

– O co więc chodzi?

– Porozmawiajmy przez chwilę.

– Dlaczego mielibyśmy to robić?

– A masz ciekawsze propozycje?

Przez chwilę patrzyła na niego.

– Co z ciebie za zabójca?

– Oporny. Dlaczego on chce, żebyś zginęła?

– Jestem jego rywalką. On ma bardzo rozwinięte poczucie własności, zwłaszcza terytorialnej. Czy potrzeba jeszcze lepszego powodu?

– Bez zbytniego przygotowania mógłbym ci podać setki innych – powiedział Nighthawk. – Dlaczego życie na Granicy ma taki niski kurs?

– Prawdopodobnie dlatego, iż jest to Granica. Życie nigdy nie ma zbyt wielkiej ceny na rubieżach cywilizacji.

– Wy, ludzie, macie przecież swoją przeszłość i przyszłość. Nie chcecie się ich trzymać?

– Ty również masz swoją przeszłość i przyszłość – podkreśliła.

– Dlaczego czyjaś postawa tak cię zadziwia?

Pokręcił głową.

– Ja nie mam przeszłości, a moja przyszłość jest w najlepszym razie niejasna.

– Jak to możliwe, żebyś nie miał przeszłości? – zapytała.

Ledwo na nią spojrział.

Nagle jej ciemne oczy rozszerzyły się.

– Oczywiście! Jesteś klonem!

Potwierdził kiwnięciem głowy.

– Niewiarygodne! Nigdy jeszcze nie widziałam klona. – Wstała i podeszła do niego. – To wyjaśnia, dlaczego jesteś taki młody. – Wyciągnęła rękę. – Mogę cię dotknąć?

Wzruszył ramionami i nie odpowiedział, kiedy przeciągnęła dłonią po jego twarzy i szyi.

– Niewiarygodne! – powtórzyła. – W dotyku zupełnie jak człowiek.

– Ja jestem człowiekiem.

– To znaczy, chciałam powiedzieć, że nie ma w tobie nic sztucznego.

– Co wiąże się z byciem człowiekiem.

Wpatrywała się w niego zafascynowana.

– A kim ty byłeś, Jeffersonie Nighthawk? Seryjnym zabójcą? Malowanym żołnierzem? Znakomitym stróżem prawa?

– Jestem... byłem... Egzekutorem.

– Ach, łowcą nagród?

– I stróżem prawa.

– Być może, ale nie z tego powodu wszyscy o tobie pamiętają. – Wróciła na swoje krzesło. – A więc mam być zabita przez Egzekutora?

– Powiedziałem ci już, że chcę z tobą pogadać.

Zamknęła oczy i skinęła głową.

– Oczywiście, że chcesz. Biedny mały klonie ze wszystkimi umiejętnościami Egzekutora, ale bez jego doświadczenia. On wybrał stanie się zabójcą, był do tego prawdopodobnie zmuszony, wątpliwe, żeby się tym rozkoszował. Ale ty... ciebie stworzono dla zabijania, kazano ci zabijać. Nikt cię nigdy nie pytał, czy tego chcesz, prawda? Nikt nigdy nie pomyślał, że mógłbyś mieć inne cele i ideały.

Nighthawk głęboko odetchnął.

– Rozumiesz to.

– Oczywiście, że tak. Nawet pomiędzy wyrzutkami i odmieńcami zamieszkującymi Granicę ty i ja jesteśmy inni. Dano ci pewne fizyczne atrybuty, o które nie prosiłeś, podobnie ze mną. Czujesz się outsiderem w świecie outsiderów, tak jak i ja. Jak mogłabym nie rozumieć!

– Co masz na myśli? Dla mnie wyglądasz normalnie.

– Nigdy nie ufaj oczom, które widzą zaledwie pozory, a nigdy prawdę. Ty również wydajesz mi się całkowicie normalny, a jednak jesteś Egzekutorem i ilu już ludzi zabiłeś? Dwustu? Trzystu?

– Wielu.

– Ale mniej niż ja – powiedziała z dumą.

Zmarszczył czoło.

– Zabiłaś trzysta osób?

– Więcej. A dziś ta liczba jeszcze się zwiększy.

– Nie powinniśmy walczyć – zauważył Nighthawk.

– Jak sama powiedziałaś, jesteśmy ulepieni z tej samej gliny.

– Nie powiedziałam jeszcze, że mam tak samo silnie rozwinięte poczucie własności terytorialnej jak Markiz, a ty wtargnąłeś do mojego domu.

– Powiem mu, że nie mogłem cię odnaleźć.

– Biedny klonie – powiedziała z drwiącą sympatią – może tobie potrzebny jest przyjaciel i powiernik, ale nie mnie. Nie narzucono mi mojego życia, sama wybrałam swoją drogę. Wybrałam życie zabójcy i wyrzutka. Nie wyjdiesz stąd żywy.

– To idiotyczne! – zaprotestował. – Ofiaruję ci



twoje życie. Mógłbym zabić cię w ciągu dwóch sekund, gdybym tylko chciał.

– Spróbuj – powiedziała z uśmiechem.

– Nie prowokuj mnie!

– Prowokować? – powtórzyła ze śmiechem. – Ja ciebie wyzywam, Egzekutorze!

– Nie chcę cię zabijać.

– Ale ja chcę zabić ciebie.

– Nie masz przy sobie żadnej broni. To morderstwo.

– Czy naprawdę sądzisz, że Markiz chciałby mojej śmierci, gdybym była bezbronna? – odparła Hiszpańska Koronka. – Nie noszę przy sobie broni w przeciwieństwie do was, istot niższych. To ja jestem bronią.

Nighthawk zwrócił się ku niej i sięgnął po swój laser, ale ten wyskoczył mu z kabury i zwodniczo poszybował jakieś cztery stopy w górę, zanim zdołał go złapać.

– Co u licha? – wykrzyknął.

– Cóż znaczy utrata jednego pistoletu dla mężczyzny takiego jak ty? – odpowiedziała wciąż rozbawiona. – Spróbuj innej broni.

Sięgnął po pistolet dźwiękowy. Zacisnął palce na uchwycie i pociągnął. Broń nawet nie ruszyła się z miejsca. Zwiększył uścisk i szarpnął. Okazało się, że nie może wysunąć go nawet na milimetr.

– Czy teraz wiesz już, co przytrafiło się twojemu skuterowi? – spytała.

– Posiadasz umiejętności telekinetyczne?

Kiwnęła głową.

– Zawsze posiadałam moc poruszania i przenoszenia przedmiotów za pomocą woli. Miałam jakieś siedem czy osiem lat, kiedy uzmysłowiłam sobie, że nikt oprócz mnie nie potrafi tego robić. – Wyciągnęła ręce w kierunku broni, a ta pomknęła prosto w jej dłoń.

– Czy teraz widzisz możliwości zabicia biednej, bezbronnej kobiety?

– O wiele lepiej – odparł, sięgając za cholewę; chwycił tkwiący tam nóż i cisnął w nią – wszystko to jednym płynnym ruchem. Nóż poszybował w kierunku serca kobiety, lecz zatrzymał się w powietrzu o sześć stóp od celu.

– Głupcze – powiedziała, a na jej usta wpełzł pogardliwy uśmiech. – Czy nie zdajesz sobie sprawy, że jesteś całkowicie bezbronny?

Nighthawk usłyszał jakiś odgłos i uskoczył na bok; w okamgnieniu cała konstrukcja sufitu zawaliła się tam, gdzie przed chwilą stał.

– Powiedz, możesz wygrać z całym pałacem?

Począł zbliżać się do niej ostrożnie. Napinał właśnie mięśnie przed ostateczną szarżą, gdy małe krzesło uderzyło go w bok, natychmiast zwalając z nóg.

Wstał na tyle szybko, że zdołał uchylić się przed kolejnym krzesłem, które nadleciało znikąd.

– Znakomicie, Egzekutorze – powiedziała. – Odziedzyczyłeś prawidłowe odruchy, jeśli słowo „odziedziczyć” jest tu na miejscu, a myślę, że nie jest. Prawie mi szkoda pozbywać się ciebie.

Obserwował ją, nie chcąc się zbliżać, ale i nie

myśląc o wycofaniu.

– No, jak mam cię zabić? – ciągnęła dalej. – To musi być cholernie zabawne zginać od własnej broni.

Nagle jego trzy pistolety: laserowy, dźwiękowy i konwencjonalny uformowały linię z lewej strony kobiety, około pięciu stóp nad ziemią i obracały się aż do momentu, gdy wszystkie wymierzone były w niego. Uskoczył za kanapę, aby zejść z linii ognia. W chwilę później kanapa odsunęła się gwałtownie w lewą stronę, a on rzucił się na czworakach, aby tylko pozostać pod jej osłoną. Śmiech kobiety rozniósł się szerokim echem po całej komnacie. Zobaczył wyjście, oddalone o jakieś pięćdziesiąt stóp, i skoczył ku niemu. Ogień podążył za nim, ale nic mu się nie stało. Przebiegł przez inne wyjście.

Poruszał się szybko z komnaty do komnaty, świadomy niebezpieczeństwa, które było tuż za nim, starając się nie popaść po drodze w jeszcze większe tarapaty. W pewnej chwili był zbyt powolny i wiązka światła przypaliła mu ucho.

W końcu dotarł do pokoju, z którego nie było wyjścia. Znajdowało się tam ogromne łóże obracające się kilka cali nad podłogą, para połyskujących, srebrnych kufków, olbrzymie zwierciadło i hologram samej Hiszpańskiej Koronki. Mały, okrągły komputer unosił się obok łóżka. Pokój zastawiony był przeróżnego rodzaju zegarami: począwszy od starych zegarów stojących, przez skomplikowane mechanizmy, dające odczyty cyfrowe w trzydziestu sześciu językach, aż po obrotowe hologramy, przedstawiające Jukon z podzia-

łem na strefy czasowe. Nighthawk wyciągnął swoją małą okrągłą kamerę i cisnął ją na łóżko; jeśli miał tu zginać, to niech Malloy widzi, jak to się stało, tak aby następnym razem Markiz wiedział, czego jego ludzie mają się spodziewać.

– A, tutaj jesteś – odezwał się głos od strony wejścia.

Obrócił się i zmierzył wzrokiem z Hiszpańską Koronką. Jego pistolety wciąż unosiły się obok niej.

– Musiałam się za tobą naganiać, Jeffersonie Nighthawk, ale to już koniec.

Obrzucił spojrzeniem całą komnatę w poszukiwaniu najmniejszej nawet szansy obrony.

On przeżył ponad sto bitew. Niektóre z nich toczono z mutantami czy obcymi operującymi większą niż ona mocą. Myśl! Co on zrobiłby na twoim miejscu?

– To są moje nagrody – powiedziała, wskazując na zegary. – Mój łup. Wszystko inne sprzedaję albo wymieniam, ale zegary zatrzymuję, aby wybijały kolejne godziny mego życia, aż do chwili kiedy nie będę już niewolnicą tego przekłętą ciała. – Jej twarz stała się nagle maską furii. – A ty śmiesz stać pomiędzy nimi i obrażać mnie?

Huknął strzał i pocisk rozerwał kawałek ściany tuż za nim. Skoczył za kufer, na którym stały dwie małe figurki obcych. Chwycił jedną z nich i cisnął w nią. Porwał drugą, kiedy tamta odbiła się od niewidocznej bariery, i cisnął ostrożniej. Kobieta wyszczerzyła zęby w pogardliwym uśmiechu, gdy druga figur-

ka śmignęła obok niej nie robiąc jej żadnej krzywdy, uderzyła jednak w to, w co Nighthawk zamierzał uderzyć, roztrzaskując pistolet dźwiękowy i odrzucając konwencjonalny.

– Myślisz, że potrzebuję broni? – powiedziała ostro, gdy kawał sufitu urwał się i spadł na niego.

Poderwał się w jednej chwili i ustawił dokładnie przed samym lustrem. Kiedy wyczuł, że pistolet laserowy zaraz wypali, rzucił się na podłogę, a wiązka odbiła się od powierzchni zwierciadła i chybiła Hiszpańską Koronkę zaledwie o parę cali. Uchyliła się instynktownie, po czym złapała laser i cisnęła nim w kierunku korytarza.

Uchyliłaś się! Nie spodziewałaś się, że wiązka odbije się w twoim kierunku, i musiałaś się uchylić. To znaczy, że zabiera ci jakiś ułamek sekundy stworzenie tych niewidzialnych ścian i tarcz wokół siebie. Gdybym tylko mógł to jakoś wykorzystać.

– Wstawaj, Jeffersonie Nighthawk!

Nie widział sensu w chowaniu się przed nią. Wstał więc i popatrzył jej w oczy.

– Co teraz? – spytał.

– Teraz kończymy tę zabawę – powiedziała.

I nagle wszystkie meble, ściany, sufit, wszystko zaczęło zbliżać się ku niemu. Wazony nadlatywały w kierunku jego głowy, lampy w kierunku piersi, a podłoga zaczęła chwiać mu się pod nogami. Daremnie starał się utrzymać równowagę, upadł ciężko na ziemię, wstał i przyciśnięty do wielkiego zegara stojącego, przylgnął do niego desperacko.

Kolejny kawał sufitu odpadł, przykrywając go sobą. Jęknął raz, potem leżł bez ruchu w gruzach.

Hiszpańska Koronka zbliżyła się do niego ostrożnie, szturchając go w plecy, aby sprawdzić, czy jest jakaś reakcja. Nie było. Uklękła obok niego czujna na wypadek, gdyby nagle się poderwał, ale wciąż leżał bez ruchu.

– W porządku, klonie – mruknęła, obracając go twarzą do góry i sięgając po jego dysk identyfikacyjny.  
– Zobaczmy, czy jesteś tym, za którego się podawałeś.

Zręcznie usunęła dysk i gdy go studiowała, jego dłoń – ukrywająca w swym zagłębieniu jedną ze wskazówek wielkiego stojącego zegara – nagle uniosła się i spadła na nią, wbijając się w czaszkę aż po sam mózg. Upadła na niego martwa, nie wydając żadnego dźwięku.

Nighthawk zrzucił ją z siebie i wstał. Wysunął stopę w kierunku ciała i obrócił ją. Twarz Hiszpańskiej Koronki była pogodna, jak gdyby ciężar, który dźwigała, został z niej zdjęty.

Byłaś takim samym wybrykiem natury jak ja. Mogłaś być moim przyjacielem. Dlaczego zmusiłaś mnie, żebym cię zabił?

Pokręcił głową, jakby chciał otrząsnąć się ze złych myśli. Nie pomogło.

Egzekutor musiał mieć braci. Może krewnych. Może nawet syna czy kilku synów, o których nikt nie wie. Jego krew zapewne płynie w żyłach kilkudziesięciu ludzi. Ale nikt z nich nie jest skazany na zabijanie, na mordowanie. Dlaczego ja?

Tyle że oni mieli w sobie zaledwie cząstkę jego krwi, podczas gdy Nighthawk miał tylko tę samą, ponieważ był Egzekutorem. Nie bratem. Nie synem ani wersją 2.0. Ale Egzekutorem. A on zabijał ludzi. Nawet tych, którzy mogli być jego przyjaciółmi.

Poczuł, że drży, i zdał sobie sprawę, że ciepło w Lodowym Pałacu nie pochodziło od żadnego pieca, ale od samej Hiszpańskiej Koronki, która wykorzystywała maleńką porcję swoich umiejętności, zmuszając cząsteczki powietrza do ciągłego szybkiego ruchu tak, aby temperatura pomieszczeń umożliwiała zamieszkanie w nich.

Zaczął przeszukiwać pokój. Kufry zawierały w sobie jedynie ubrania, ale za lustrem odkrył mały sejf osadzony w kwarcowej ścianie. Nie mógł go stamtąd wyciągnąć, więc użył pistoletu laserowego, a następnie wpakował pod pachę i miał już wracać do statku, gdy coś przyciągnęło jego uwagę.

Podszedł do owej rzeczy i zobaczył, że to mały hologram grupki dziewczynek, dziesięcio – lub jedenastoletnich, trzymających się za ręce i uśmiechających się do obiektywu. Przyglądał się temu przez dłuższą chwilę, próbując znaleźć dziewczynkę, która mogła być Hiszpańską Koronką, ale nie potrafił.

Interesujące. Jedna z was mogła zostać artystką, inna urzędniczką, któraś matką gromadki dzieci, mechanikiem statków kosmicznych czy profesorem języków starożytnych. A jedna mogła być notoryczną morderczynią i złodziejką.

I nagle zrozumiał, dlaczego trzymała właśnie ten

hologram. Jako memento.

To był ostatni raz, gdy mogłaś być uważana za jedną z nich, ostatni raz, kiedy jeszcze pasowałaś do normalnego świata.

Wpatrywał się w hologram, we wszystkie uśmiechnięte dziewczęce buzie.

Zazdroszczę ci, bo miałaś przynajmniej te dziesięć lat.

Wychodząc natknął się na swój pistolet laserowy, odszukał skuter Hiszpańskiej Koronki i miał już skierować go w stronę statku, gdy przyszło mu na myśl, że zasługiwała na pogrzeb. Wrócił do Lodowego Pałacu i przymocował pistolet laserowy do naprędcy skonstruowanego ładunku wybuchowego, który zostawił obok jej ciała. Następnie wrócił do skutera i pomknął przez zamarzłą równinę. Kiedy oddalił się na jakieś pięć mil, zatrzymał się i odwrócił za siebie, osłaniając oczy przed oślepiającym blaskiem słońca i jego śnieżnym odbiciem. Pałac ledwo już było widać. Odczekał pięć sekund, dziesięć, piętnaście i nagle nastąpił wybuch. Po chwili wieże i wieżyczki zaczęły się obsuwać. Pomyślał, że byłoby właściwe odmówić teraz modlitwę, i zaskoczyło go, że żadnej nie zna.

Dołączył do Jaszczura, który pozostał na statku. Maleńki człowieczek o łuskowatej skórze prześledził całą walkę dzięki nadajnikowi i chciał mówić tylko o tym, ale Nighthawk pragnął jedynie wyrzucić całe to zajście z pamięci.

– Co się z tobą dzieje? – narzekał Malloy, kiedy wystartowali w kierunku Tundry. – Zabijasz najnie-



bezpieczniejszą kobietę Wewnętrznej Granicy i nagle zaczniesz się zachowywać jak ktoś, kto stracił przyjaciela.

– Może straciłem.

– Oszalałeś? – wykrzyknął Malloy. – Zrobiła wszystko tymi swoimi diabelskimi sztuczkami, żeby cię zabić.

– Mieliśmy wiele wspólnego, ja i ona – odpowiedział Nighthawk w zamyśleniu.

– Tak sądzisz?

Nighthawk potaknął.

– Była po prostu przyjacielem, z którym nie zdążyłem się zaprzyjaźnić.

– Jesteś szalony, wiesz o tym? – powiedział Malloy.

Nighthawk wzruszył ramionami.

– Masz prawo do swoich opinii.

Malloy wyciągnął z kieszeni małą kostkę.

– Jeśli pokażę to Markizowi i jeśli zobaczy, jak chciałeś oszczędzić tej suce życie, to przeszedłeś do historii. Wyleje cię na zbity pysk, i to tak szybko, że nawet się nie zorientujesz.

– Jakoś to przeżyję.

Malloy wrzucił kostkę do atomizera pokładowego.

– Ja prawdopodobnie nie, bo tylko ty odgradzasz mnie od powolnej i bolesnej śmierci.

– A więc wciąż jesteś mi zobowiązany.

– Jeśli tak to nazywasz – przyznał niewyraźnie Malloy.

– Tak to nazywam.

– Mam dziwne przeczucie, że podnosisz tę kwestię celowo.

– Kiedy wylądujemy, chcę, żebyś zaniósł ode mnie wiadomość dla Perły z Marakaibo.

– Myślałem, że Markiz powiedział ci, że ona jest nieosiągalna.

– Zrobił to.

Malloy gapił się na niego.

– Oszalałeś.

– Zdecydowałem, że życie jest zbyt krótkie, aby przejmować się tym, czego Markiz albo inni mogą chcieć. Teraz muszę się martwić o to, czego ja chcę. Myślę, że to najwyższy czas, bo do tej pory wszyscy, których spotykałem, albo chcieli mnie zabić, albo w jakiś sposób wykorzystać.

– Nie ja! – wykrzyknął Malloy z oddaniem.

– Ty też. A co? Może nie chcesz, żebym cię chronił przed Markizem?

– To układ – powiedział Malloy. – Ja ci wyświadczam przysługę, a ty mnie.

– Racja przyznał Nighthawk. – I właśnie najwyższy czas, abys wywiązał się ze swojej części umowy.

– Co ci się u licha stało w tym Lodowym Pałacu? – dopytywał się Malloy. – Jesteś jakiś inny.

– Uzmysłowiłem sobie, że życie jest krótkie i każdy idzie przez nie samotnie – odparł młody mężczyzna.

– Dziś jest pierwszy dzień mojego nowego życia i odtąd żyję wyłącznie dla siebie.

– I to wszystko przez tę jedną kobietę, którą zabiłeś?

– Nie tylko – powiedział Nighthawk, zastanawiając się, dlaczego teraz, gdy to zadeklarował, wcale nie czuł się bardziej wolny.

## Rozdział 9

– Cóż, Egzekutorze, jesteś tak dobry, jak głosi legenda – powiedział Markiz Queensbury, spoglądając na Nighthawka zza biurka.

– Nie jestem Egzekutorem. I nie ostrzegłeś mnie przed niebezpieczeństwem.

– Jesteś tym, kim powiedziałem, że jesteś – odparł Markiz. – Jeżeli chodzi o resztę, to chcę, by mój zastępca był zaradny. Potraktuj to jako test.

– Myślałem, że testem była walka w kasynie.

– Bo była.

– Więc o co chodzi? – spytał Nighthawk.

Markiz wydawał się rozbawiony.

– Chyba nie sądzisz, że życie składa się tylko z jednego testu?

– Podobno jesteś dobrym biznesmenem – powiedział Nighthawk, usiłując ukryć gniew. – Wysłanie mnie do Hiszpańskiej Koronki, nieświadomego jej niezwykłych zdolności, nie było dobrym interesem. Dlaczego ryzykowałeś, że mnie zabije, zamiast udzielić mi odpowiednich informacji?

– Znacznie gorszym interesem byłoby, gdybym trzymał na tak wysokim stanowisku człowieka, który nie może wysilić swego intelektu na tyle, by ją zabić – odparł Markiz. – A tak z czystej ciekawości, jak ci się to w końcu udało?

– Podstępem i oszustwem. Jeśli był inny sposób, by ją zabić, to nie przyszedł mi do głowy.

– Jesteś jeszcze młody.

– Jak ty byś ją zabił? – spytał Nighthawk.

– Ja? – Markiz roześmiał się głośno. – Zleciłbym to komuś innemu. Jeden z przywilejów bycia szefem.

– Zgadzam się – przyznał młodzieniec. – Tylko taka gadka sprawia, że sam nabieram apetytu na bycie szefem.

– To dobrze. Lubię ludzi ambitnych. – Uśmiech z twarzy Markiza zniknął tak szybko, jak się pojawił. – Lecz nie zapominaj, że w tej organizacji szefem może być tylko jedna osoba, i to ja nią jestem.

Nighthawk patrzył na niego w milczeniu.

– Wiesz co – kontynuował Markiz – takie ponure spojrzenie u większości mych pracowników poczytałbym za niesubordynację, jednak w twoim przypadku przypiszę to młodzieńczej arogancji. Tym razem. Lecz nie kuś szczęścia. Będziesz go potrzebował na rozmowę z naszymi wrogami.

– Twoimi wrogami.

– Pracujesz dla mnie. Są to więc także twoi wrogowie.

– Skoro tak mówisz.

Oczy Markiza zwęziły się.

– Nie wiem, czy próbujesz wyprowadzić mnie z równowagi, czy brak ci towarzyskiego obycia. Muszę wciąż sobie przypominać, że dopiero trzy miesiące temu opuściłeś laboratorium.

– Teraz ty próbujesz wyprowadzić mnie z równowagi – odparł Nighthawk.

Markiz potrząsnął głową.

– Bynajmniej. Po prostu stwierdzam fakty.

– Zatem wybierasz te najmniej przyjemne.  
– Musisz się jeszcze wiele nauczyć – powiedział Markiz. – Jakimikolwiek one się tobie wydają, fakty zawsze pozostaną faktami.

– Gówno prawda, i ty dobrze o tym wiesz. Fakty zawsze można naginać.

– Jesteś w paskudnym nastroju. Powiedziano mi, że to się czasem zdarza trzymiesięczniakom. Jednak na twoim miejscu starałbym się, by nie przeszło to w nałóg, przynajmniej nie wtedy, kiedy ze mną rozmawiasz. Czy wyrażam się jasno?

Cisza.

– Czy wyrażam się jasno? – powtórzył Markiz.

– Tak – skinął Nighthawk.

– Myślę, że znam przyczynę twojej depresji – powiedział Markiz. – Wiesz, co ci powiem? Daj mi trochę czasu na uporządkowanie paru spraw, a za jakiś tydzień czy dwa pojadę na Delurosa i zabiję prawdziwego Nighthawka.

– Ja jestem prawdziwym Nighthawkiem.

– Semantykę zostawmy na boku. Jak go zabiję, pozostaniesz jedynym Nighthawkiem.

– To nie załatwi sprawy.

– Dlaczego?

– Ponieważ to ja muszę go zabić.

– Czasem jesteś gorszy niż wrzód na tyłku – zirytował się Markiz. – Wynocha stąd, zanim się naprawdę pobijemy.

Nighthawk opuścił gabinet nie mówiąc ani słowa i, wciąż zły na Markiza, udał się do kasyna, w którym

panował większy tłok niż zwykle. Większość stołów już oblepili gracze, a dziwki obojga płci starały się naciągnąć naiwniaków na drinka i umówić się na noc. Stół do jaboba otoczony był przez ludzi, których ta gra fascynowała, zaś Lodinici, Kanforyci i sześciorecy Lambidarianie skupili się wyłącznie przy stołach kartianych.

Malloy zajęty był grą w pokera z dwoma ubranymi krzykliwie górnikami oraz zielonobarwnym stworzeniem, należącym do rasy nieznannej Nighthawkowi. Widział, jak mały człowieczek wchodzi do gry z sekwensem i przegrywa z fulem. W końcu skierował się do baru, zamówił Mętną Kokotę i obojętnie przyglądał się różnym tancerkom, do czasu, aż na scenie pojawiła się Perła z Marakaibo.

Stał popijając wolno drinka i przyglądał jej się z uwagą, kiedy nagle mrugnęła do niego i zaśmiała się, widząc jego reakcję. Młodzieniec zaczekał do końca występu i udał się do jej garderoby, niosąc dwa kieliszki. Czujnik nad drzwiami zeskanował go i powiadomił właścicielkę pokoju.

– Wejź – powiedziała i drzwi rozsunęły się, by mógł wejść.

Siedziała na eleganckim, pozłacanym krześle, naga od pasa w górę. Malutkie lustro unosiło się niecałe trzydzieści cali od jej twarzy. Patrząc w nie usuwała starannie makijaż, lecz z chwilą kiedy Nighthawk wszedł do pokoju, przerwała, by na niego spojrzeć.

– Miło cię znowu widzieć. Markiz powiedział mi,

że jesteś bohaterem.

– Przesadza – odparł Nighthawk.

– Skromny bohater – stwierdziła. – To prawdziwa rzadkość tutaj.

– Przyniosłem ci drinka – rzekł Nighthawk, stawiając przy niej szklanę.

– Nie prosiłam o niego.

– Spróbuj – powiedział. – Będzie ci smakować.

– Może za chwilę. – Spojrzała na niego uważnie. – Wiesz, co Markiz z tobą zrobi, jeśli dowie się, że tu byłeś?

– Wiem, co będzie usiłował zrobić – na wspomnienie Markiza młodzieniec ponownie zapalał gniewem.

– Nie boisz się go?

– Nie – powiedział krótko. – Poza tym, zaprosiłaś mnie.

– Naprawdę?

– Mrugnęłaś do mnie – odparł. – Ja uważam to za zaproszenie. I nie wyprosiłaś za drzwi.

– Więc zrobię to teraz.

– Nie musisz się tak spieszyć.

Uśmiechnęła się bez odpowiedzi i zapadło kłopotliwe milczenie. Spoglądała w lustro, a Nighthawk patrzył na nią.

– Bardzo ładnie tańczysz – powiedział w końcu.

Żadnej odpowiedzi.

– Od razu to zauważyłem.

Cisza.

– Nie bój się rozmawiać ze mną – powiedział. –



Chciałbym, żebyśmy zostali przyjaciółmi.

– Po prostu przyjaciółmi? – zaśmiała się z niedowierzaniem.

– Tak.

– Dlaczego?

– Ponieważ czuję się samotny.

– Jest tutaj wiele kobiet. Dlaczego wybrałeś mnie?

Nighthawk patrzył na nią długą chwilę, zanim odpowiedział.

– Ponieważ oboje jesteśmy inni – odparł. – Jestem pewien, że Markiz powiedział ci, kim jestem, zaś ty ze swoją niebieską skórą jesteś także inna niż wszyscy. Oboje wyróżniamy się spośród tego tłumu. Myślałem, że także czujesz się samotna.

– Źle myślałeś.

– Chyba nie do końca. Oprócz chwil spędzanych z Markizem jesteś zawsze sama.

– Nie przyszło ci do głowy, że mogę lubić samotność?

– Nie przyszło.

– Dlaczego? Ponieważ ty nie lubisz?

Nighthawk spojrział w jej jasne, prawie przezroczyste oczy.

– Nasza rozmowa schodzi na niewłaściwe tory – powiedział.

– Wiem – odpowiedziała rozbawiona. – Chcesz być tylko moim przyjacielem.

– Zgadza się.

– Zabawne – powiedziała, nie starając się ukryć

przed jego wzrokiem swych nagich piersi. – Myślałam, że chcesz patrzeć na moje ciało.

– To też.

– Czy twoja definicja przyjaźni obejmuje dzielenie mojej sypialni?

– Jeśli o to poprosisz.

– A jeśli nie?

– Zrobisz to prędzej czy później – odparł. – Tymczasem niech dwie zagubione dusze cieszą się wzajemnie swym towarzystwem.

– Nie spoglądasz na mnie jak na zagubioną duszę – powiedziała, przeciągając się zmysłowo – tylko z pożądaniem.

– Jesteś piękna. Jak więc chciałabyś, bym na ciebie patrzył?

– Może, zważywszy na twoją sytuację, nie powinieneś wcale na mnie patrzeć?

– Markiz powiedział mi, że jego pracownicy muszą przejawiać inicjatywę – odparł Nighthawk z uśmiechem. – Poza tym, gdyby nikt na ciebie nie patrzył, straciłabyś pracę.

– Bardzo sprytne – powiedziała. – Jeżeli się naparzyłeś, to możesz wyjść.

– Wciąż patrzę – odparł. – Może się napijesz?

– Mogłabym zawołać Markiza.

– Wiem, ale tego nie zrobisz – powiedział Nighthawk.

– Dlaczego?

– Ponieważ nie chcesz, bym go zabił.

– Ty miałbyś go zabić? – zaśmiała się.

– Zgadza się – powiedział poważnie młodzieniec.  
– Więc zamiast podwładnego trafił mi się egocentryk – powiedziała. – Nie zostało mi nic innego jak przyjąć przyniesionego drinka, w przeciwnym razie i mnie zabijesz.

– Wyśmiewasz się ze mnie.

Wzruszyła ramionami i odwróciła się do lustra.

– Nie mam zbyt dużego doświadczenia z kobietami – powiedział Nighthawk niezręcznie. – Wierz mi, nie chciałbym zachować się komicznie.

– Nie zachowujesz się komicznie, tylko samobójczo – powiedziała. – A Markiz uprzedził mnie, że nie masz zbyt dużego doświadczenia we wszystkim. – Spojrzała na niego z nieukrywaną ciekawością. – To prawda, że liczysz sobie zaledwie trzy miesiące?

– W pewnym sensie.

– Jakie to uczucie, kiedy nie pamięta się dzieciństwa?

– Posiadam jakieś mgliste wspomnienia – odparł.  
– Nie są tylko moje i z każdym dniem stają się mniej wyraźne.

– Chciałabym nie pamiętać swojego dzieciństwa.

– Nie cieszyłaś się nim?

– Chciałbyś być – jak to nazwałś – odmieńcem?  
– spytała. – Dzieci potrafią być bardzo okrutne. – Przerwała, a jej czoło przecięła głęboka zmarszczka. – Dlatego przybyłam na Wewnętrzzną Granicę. Tutaj nikogo nie obchodzi, że mam niebieską skórę, liczy się wyłącznie to, co robimy i kim jesteśmy.

– Pięknie to ujęłaś – powiedział Nighthawk. –

Lecz sądziłem, że Oligarchia jest oparta właśnie na tej zasadzie.

– Tak tylko mówią, prawdziwą jej wartość poznasz dopiero na Granicy.

– Może nim skończę rok, będę mniej ufny w stosunku do ludzi.

Perła zaśmiała się.

– Wiesz, czasem potrafisz być zabawny.

Na twarzy Nighthawka pojawił się uśmiech.

– Wyglądasz na szczęśliwego – powiedziała.

– Jest mi przyjemnie, kiedy ktoś widzi we mnie coś więcej niż maszynę do zabijania.

– Kim był oryginalny Jefferson Nighthawk?

– Najlepszym łowcą nagród, jaki kiedykolwiek żył – powiedział Nighthawk. – Większość życia spędził na Granicy, gdzie zwano go Egzekutorem.

– Egzekutor? Słyszałam o nim.

– Tak jak większość ludzi.

– Jak zginął?

– On wciąż żyje.

– Myślałam, że żył przeszło sto lat temu – zdziwiła się Perła.

– To prawda. Nabawił się jednak eplazji i kazał zamrozić, zanim choroba go zabiła.

– Musisz się dziwnie czuć, wiedząc, że on żyje.

– Czuję się jak duch.

– Duch?

– Jakby moje życie pozbawione było treści – wyjaśnił Nighthawk. – Mam świadomość, że on jest prawdziwy, zaś ja tylko efemerycznym cieniem, stwo-

rzonym, by wykonać jego polecenie, a potem zniknąć.

– Nie zniosłabym tego! – wykrzyknęła z pasją.

– Nie jest mi łatwo – odparł. – Lecz tańczenie półnago przed wyjąłym tłumem facetów jest równie przygnębiające.

– Nieprawda – zaprzeczyła oburzona. – Jest rzeczą jak najbardziej naturalną, żeby mężczyzna podziwiał moje ciało, zaś to, co przed chwilą opisałeś, jest po prostu chore. – Sięgnęła po drinka, wypijając jednym haustem.

– W jaki sposób zostałaś Perłą z Marakaibo?

– Powinniśmy już zakończyć tę rozmowę.

– Jesteśmy bratnimi duszami – rzekł Nighthawk – mamy ze sobą wiele wspólnego. Opowiedziałem ci, jak stałem się Egzekutorem, teraz twoja kolej.

– Niczego ci nie obiecywałam – powiedziała. – I prędzej twoją bratnią duszą jest Jaszczur Malloy niż ja. Obaj pożądacie rzeczy, których nie możecie mieć. W jego przypadku są to pieniądze.

– A w moim?

– Nie udawaj głupca, który nie wie, po co tu przyszedł. – Wstała i jednym ruchem zrzuciła z siebie materiał opasujący jej talię. – Przypatrz się dobrze, Jeffersonie Nighthawk, bo nigdy tego nie dotkniesz.

– Nie poddaję się łatwo – powiedział, patrząc na jej nagie ciało.

– Podobasz mi się, ale zbyt cenię swoje życie. Należę do Markiza tak samo jak i ty. Zabiłby nas.

– Ochronię cię – powiedział Nighthawk.

– To jest jego świat, nie masz więc żadnych

szans.

– Obiecuj, że zastanowisz się nad tym.

– Obiecuję. A teraz idź. Muszę przygotować się do następnego występu.

– To jest twój ostatni taniec tego wieczoru? – spytał Nighthawk.

– Tak.

– Jak się skończy, chciałbym się z tobą zobaczyć.

– Jesteś głupcem.

– Wiem. Ale nie dałaś mi odpowiedzi. Mogę zatem do ciebie wstąpić?

– Jesteś strasznym zabójcą. Jak mogłabym cię powstrzymać?

Nighthawk uśmiechnął się szeroko i wyszedł, by zająć miejsce przy barze, z którego mógł oglądać jej taniec.

## Rozdział 10

Nighthawk leżał na plecach z głową wspartą na poduszce. Łóżko unosiło się parę cali od podłogi, nieustannie dostosowując swój kształt do dwóch leżących na nim ciał.

– To było wspaniałe! – powiedział. Nagle uśmiechnął się szeroko. – Cieszę się, że nie musiałem na to czekać dwudziestu trzech lat.

– Od tej pory, zawsze kiedy pójdziesz z kobietą do łóżka, będziesz ją porównywał ze mną – powiedziała Melisanda, Perła z Marakaibo.

– Dlaczego przyszło ci do głowy, że mógłbym chcieć kogoś oprócz ciebie?

– Jesteś mężczyzną. Jeśli jeszcze nie wiesz, to już wkrótce się dowiesz.

– Nie – odpowiedział. – Jesteś dla mnie tą kobietą.

Odwróciła się na bok i spojrzała mu w oczy.

– Ale ty nie jesteś tym mężczyzną dla mnie.

Zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem.

– Należę do Markiza. Wiesz o tym doskonale.

– Ale myślałem...

– Myślałeś, że jak raz się z tobą przespałam, to gotowa jestem opuścić go na zawsze? – spytała z uśmiechem. – Naprawdę jesteś jeszcze bardzo młody.

– W takim razie dlaczego poszłaś ze mną do łóżka?

– Ponieważ gapiłeś się na mnie jak zgłodniałe

szczenie – powiedziała. – I ponieważ ciekawa byłam, jak to jest uprawiać seks z klonem.

– I...?

Wzruszyła ramionami.

– Musisz się jeszcze wiele nauczyć.

– Ty możesz być moją nauczycielką.

– Uczenie niezdarnych młodzików to zajęcie nie dla mnie – powiedziała chichocząc.

– Przykro mi, że to doświadczenie było dla ciebie tak przykre – powiedział z goryczą Nighthawk.

– Nie powiedziałam, że było przykre – odrzekła.

– Może niezupełnie w ten sposób ale...

– Było w porządku.

– Ale nic ponadto.

– Zgadza się.

– Z pewnością nie tak dobrze jak z Markizem?

– Nie przejmuj się – powiedziała. – Większość mężczyzn robi to znacznie gorzej po raz pierwszy.

– Wcale nie wydaje mi się to pocieszające.

– Wolałbyś, abym cię okłamywała?

– O wiele bardziej.

– Ale wtedy nalegałbyś, aby to powtórzyć.

– Dlaczego?

Pokręciła głową.

– Mogłam zrobić to raz, tylko przez ciekawość, zrobić dwukrotnie to już niewierność.

– Masz zabawne pojęcie moralności – powiedział Nighthawk.

– Rozwinęłam je w ciągu trzydziestu standardowych lat mojego życia – odparta. – A ile czasu zajęło



tobie poradzenie sobie z tą kwestią?

Nie odpowiedział, lecz przerzucił obie nogi nad krawędzią łóżka, wstał i podszedł do okna, które wychodziło na pokryte mrozem ulice Klondike.

– Notoryczni mordercy nie mogą dąsać się jak małe dzieci – powiedziała.

– Słuchaj – odezwał się, gwałtownie odwracając się do niej – pierwszy raz jestem z kobietą i pierwszy raz zostaje przez nią odrzucony. Być może Egzekutor wiedziałby, jak sobie poradzić, ale ja mam z tym mały problem.

– Ty jesteś Egzekutorem.

– Nazywam się Jefferson Nighthawk.

– Jest jakaś różnica?

– Większa, niż ci się wydaje.

– Cóż, w każdym razie kimkolwiek jesteś, czy wiesz, jak głupio wyglądasz, stojąc tam całkiem goły?

Podszedł do łóżka, odrzucił pościel i cisnął na podłogę.

– Teraz mamy ten sam problem.

– Lepiej się już czujesz?

– Nie za bardzo.

Wstała, spojrzała krytycznie w lustro, przeczesала palcami włosy i zaczęła rozglądać się, szukając ubrania.

– Co robisz? – zapytał.

– Ubieram się i wychodzę – odparła. – Już dawno przestałeś być zabawny. Teraz nie jesteś już nawet interesujący.

– Idziesz do Markiza.

- Tak.
- Podszedł i schwycił ją za ramię.
- A co, jeśli cię nie puszczę?
- Skrzywiła się i oswobodziła rękę.
- To boli! Trzymaj swoje cholerne łapy z daleka!
- Aż tak mocno nie ścisnąłem – powiedział. – Co się dzieje?
- Nic – odpowiedziała, odwracając się i podnosząc z podłogi jakąś część swojej garderoby.
- Pozwól, niech spojrzę na twoją rękę – zażądał i chwycił ją powyżej ramienia.
- Zostaw mnie!
- Przyglądał się jej ręce z uwagą.
- To siniak jak jasna cholera. Jak mogłem go nie zauważyć, kiedy tańczyłaś?
- Ukryłam pod makijażem.
- Jak to się stało?
- Nie twoja sprawa! – powiedziała, próbując wyswobodzić rękę.
- To sprawka Markiza, prawda?
- Upadłam i uderzyłam się.
- Nie, chyba że upadłaś z rękoma szeroko rozłożonymi. To przez niego.
- A jeśli tak, to co? – powiedziała buntowniczo. – Nic ci do tego!
- Jak często cię bije? – pytał Nighthawk.
- Zasłużyłam na to.
- Za co?
- Za coś o wiele bardziej poważnego niż spanie z trzymiesięcznym chłopcem – odpowiedziała.

- Nie zbije cię za to, że spałaś ze mną?
  - A kto mu o tym powie? Ty?
  - Co to za facet, żeby bił bezbronną kobietę?
  - Co to za facet, który zabija kobietę? – ugodziła go celnie. – Nie z takiej właśnie roboty wracasz?
  - Nie pozwolę, aby kiedykolwiek cię jeszcze uderzył.
  - Przestałam się tobą interesować i ty też masz przestać interesować się mną.
  - Nie potrafię.
  - Dlaczegoż to?
- Patrzył na nią długo.
- Chyba się w tobie zakochałem.
  - Chyba?
  - Nie wiem, nigdy nie byłem jeszcze zakochany.
  - Teraz też ci się to nie przydarzyło. Było ci ze mną dobrze w łóżku; tak to wygląda.
  - Nie chcę nawet myśleć, że teraz idziesz do niego.
  - Świetnie, pomyśl o czymś innym. Skończyła się ubierać i podeszła do drzwi.
  - Mam zamiar zapomnieć, co się tu zdarzyło, i tobie również radzę to samo.
  - Nie ma mowy.
  - To już twój problem – odpowiedziała wychodząc, kiedy drzwi automatycznie rozsunęły się przed nią.
- Nighthawk podszedł do okna i długo wyglądał, spoglądając na zamarznięty krajobraz.
- Później ubrał się powoli, odechciało mu się spać.

Wreszcie podszedł do lustra, aby się uczesać, ale gdy w nie spojrział, zdało mu się, że odbicie, jakie w nim zobaczył, należało do starego, zniekształconego mężczyzny o zapadłych oczach i policzkach, o kościach twarzy tak wystających, że przebijały na wylot gnijące ciało.

Egzekutor.

Co ty byś zrobił? – spytał z goryczą Nighthawk.

Nigdy nie dopuściłbym do takiej sytuacji. Nigdy nie pozwalałem, by moje libido zawładnęło moją głową.

Jak możesz tak mówić? Tylko raz zdarzyło mi się być z kobietą.

Nie byłeś zdolny myśleć o niczym innym od momentu, gdy ją zobaczyłeś.

Ty też byś nie mógł.

Nigdy mi nie mów, co bym mógł, a czego nie. To ty jesteś uczniem.

W porządku zatem. Co byś teraz zrobił?

Zapomnij o niej.

Nie potrafię.

Jest tylko kobieta. Ty tylko mężczyzną. Jediną różnicą jest to, że ona ma doświadczenie, dzięki któremu może cię zapomnieć. Prześpij się jeszcze z paroma innymi, a zobaczysz, że za każdym razem trudniej ci będzie przypomnieć sobie jej twarz.

Czy to właśnie uczyniło z ciebie zabójcę? To, że nikt nigdy nic dla ciebie nie znaczył?

Nigdy nie powiedziałem, że nikogo takiego nie było. Powiedziałem, że nie możesz myśleć wyłącznie go-

nadami.

Zmęczyły mnie twoje rady. Powiedz coś innego.

Nie rozkazuj mi synu. Ja jestem Egzekutorem, ty – tylko moim cieniem.

No więc pomóż mi do diabła! Bo ja jestem tu, aby pomóc tobie.

Jak ci się zdaje, dlaczego mnie widzisz? Lepiej zacznij sam sobie pomagać. Nie domagaj się takiej rady, jaką chciałbyś usłyszeć.

O czym mówisz?

Chcesz, żebym ci powiedział, jak pokonać tę niebieskoskórą dziewczynę. Nie zamierzam tego robić. Zapomnij o niej.

Może ty byś mógł, ja nie.

A więc przygotuj się na zabicie Markiza.

Jestem gotów zrobić to dziś wieczorem.

Wiem o tym. A kiedy już to zrobisz, kto wskaże zabójcę Trelaine'a? A może już zapomniałeś, po co dało ci życie?

Markiz musi być wart ponad pięć milionów kredytów. Dlaczego po prostu nie zabić go, skonfiskować jego forszę i przesłać na Deluros?

Ponieważ wszystko, co naprawdę chcesz skonfiskować, to owa dziewczyna. I ponieważ Egzekutor posiada kodeks honorowy. Jeśli powiedział, że wykona zadanie, zawsze dotrzymuje słowa.

Ale ja nie jestem Egzekutorem.

Pewnego dnia staniesz się nim.

Nie! Moje imię brzmi Jefferson Nighthawk.

Moje też – i to ja pierwszy nosiłem to imię.

Należę tylko do siebie. Nie jestem tobą i nie słucham twoich rozkazów.

Jesteś bardziej mną, niż możesz sobie wyobrazić.

Nie! – krzyknął Nighthawk z furia.

Ależ tak, krew z mojej krwi, kość z mojej kości. Tak naprawdę nie sądzisz chyba, iż rzeczywiście tu jestem, w tym lustrze? To tylko sposób, w jaki twój umysł racjonalizuje moją obecność. Jestem twoim sumieniem. Bardziej nawet niż esencją twojej jaźni. Przenikamy się zarówno umysłowo, jak i fizycznie, na wszelkie możliwe sposoby. Ty upadasz, ja odczuwam ból, śmiejesz się – ja się raduję, sięgasz po broń – ja celuję i pociągam za spust. Nie ma ucieczki przed sobą samym, synu, i to właśnie ja tym jestem: po prostu tobą. Walczysz, aby stać się mną. Jestem wzorem, jaki chcesz doścignąć, i zawsze ci się wymykam. Nieważne, jak bardzo się starasz, gdzieś w zakamarkach twojego umysłu czai się ta prawda; że jestem lepszy zarówno w walce, jak i z kobietami.

Jesteś potworem.

Nie jestem nim. Trzydzieści procent mnie to człowiek, a siedemdziesiąt choroba. I zamrożony jestem jak kawał mięsa, ale wciąż się mnie boisz. I wciąż mi zazdrościsz. Nawiedzam twoje sny, młody Jeffersonie; ty nie nawiedzasz moich.

– Nie muszę tego słuchać! – wrzasnął Nighthawk. Wyciągnął pistolet dźwiękowy i nacisnął spust. Strumień dźwięku roztrzaskał lustro na drobne kawałki.

Uspokoił się tak szybko, jak szybko przedtem rozwścieczył i uświadomił, że wciąż nie ma planu dzia-

łania. Wszedł do łazienki i stanął przed lustrem skruszony.

– Przepraszam – powiedział. – Straciłem panowanie nad sobą. Tobie się to zapewne nie przydarzyło podczas wszystkich czterdziestu lat.

Wpatrywał się w niego młody, przystojny mężczyzna.

– Powiedziałem „przepraszam” – powtórzył. – I naprawdę nie wiem, co mam teraz zrobić.

Wydawało się, że twarz z lustra była zniekształcona, kiedy przemówiła: oczywiście, że wiesz, zanim na powrót stała się wizerunkiem młodego mężczyzny, którego niepewność i niezdecydowanie widać było w każdym geście.

## Rozdział 11

Nighthawk jechał ruchomym chodnikiem na niższy poziom rezydencji Markiza, znajdujący się tuż pod kasynem. Minał basen, saunę, by w końcu dotrzeć na strzelnicę, gdzie Markiz właśnie ćwiczył, strzelając do niewielkiej, odległej o pięćdziesiąt metrów, postaci. Figura znajdowała się w ustawicznym ruchu: obracała się, padała, wstawiała i, ku zdziwieniu młodzieńca, odpowiadała ogniem.

Był to hologram oficera floty, który klęczał, trzymając w obu rękach miotacz; co chwilę wybiegały z niego cieniutkie promienie lasera, nieszkodliwe dla zdrowia, lecz na tyle silne, by zadać ból.

Nighthawk przystanął i w milczeniu przyglądał się, jak Markiz, skacząc do przodu i tyłu, kołysząc się niczym bokser umykający przed ciosami, uchylał się przed promieniami lasera, by w końcu nacisnąć spust. Chwilę później Elektroniczny Monitor zasygnalizował strzał między oczy.

– Nieźle – powiedział Nighthawk.

– Dziękuję – odpowiedział Markiz. – Nie byłś jeszcze tutaj?

– Nie – młodzieniec pokręcił głową. – Imponujące.

– Owszem. A przede wszystkim niezbędne.

Nighthawk spojrzał na niego z zaciekawieniem.

– Tam wyżej znajduje się ponad tysiąc uzbrojonych ludzi. Jestem nadal ich przywódcą, gdyż wiedzą, że nie mogą mnie zabić i przejąć władzy. A są tego świadomi, ponieważ przynajmniej raz w miesiącu je-



stem zmuszony to udowodnić. – Przerwał. – Większość z nich wyciąga broń po to, by kogoś zabić, a przynajmniej spróbować to zrobić. Jednak wysiada im refleks, pogarsza się koordynacja ręki z bronią, która na dodatek jest często nienaładowana. Zaś ja codziennie ćwiczę, przynajmniej godzinę, i mam broń w doskonałym stanie. To jest różnica między amatorem a zawodowcem.

– Godne podziwu – przyznał Nighthawk.

– A w jakim stanie jest twoja broń? – spytał Markiz.

Młodzieniec błyskawicznie odwrócił się od Markiza, jednym płynnym ruchem dobył broni i wystrzelił. Kula z pistoletu w prawej dłoni utkwiała w lewym oku oficera floty, który wychylał się znad bariery ochronnej, a chwilę później miotacz trzymany w lewym ręku dokończył dzieła, wypalając dziurę w jego piersi.

– Wydaje się w porządku – odparł Nighthawk, chowając pistolety w kaburach.

– Imponujące – odwdzieczył się Markiz. – Mogłem się jednak spodziewać, że spośród mieszkańców Klondike nikt nie ma broni w lepszym stanie niż ty, jak i tego, że Egzekutor może trafić do celu nawet z zawiązanymi oczyma.

– Nie wezwałeś mnie tutaj na pokaz strzelecki – powiedział Nighthawk. – O co chodzi?

– Widzę, że na Delurosie nie nauczono cię sztuki prowadzenia konwersacji – uśmiechnął się Markiz.

– Nie.

– Rozumiem. Posłałem po ciebie, ponieważ mu-

simy omówić jedną sprawę.

Zaczyna się. Teraz wspomni Perłę z Marakaibo, żądając, bym się z nią więcej nie spotykał, i będę musiał go zabić.

– Słyszałeś kiedyś o Dziadku Mrozie?

– Tym z bajek? – spytał Nighthawk.

– Dobrze – roześmiał się Markiz. – Niestety ten jest z krwi i kości; pracuje na Granicy. A raczej pracował, dopóki nie obrósł w piórka. Wykonał jakąś robotę w Oligarchii i teraz zwiewa tutaj, mając na ogonie tuzin statków policyjnych.

– Dlaczego tak się nazywa?

– Tutaj każdy sam sobie wybiera imię – odparł Markiz. – Lub czasem ono wybiera ciebie. W każdym razie, on okrada wyłącznie kościoły.

– Można z tego wyżyć?

– Jeśli okradasz księży i skrzynki na ofiarę, to nie bardzo. Lecz niektóre kościoły są ozdabiane złotem i innymi kosztownościami, nie mamy ich jednak dużo na Granicy, dlatego Dziadek Mróz postanowił wykonać duży skok w Oligarchii.

– I chyba mu się udało.

– Tak – Markiz skinął głową. – Zdaje się, że ukradł około ćwierć tony złota z kościoła na Darbarze II i parę obrazów religijnych Mority.

– Morita? Nigdy o nim nie słyszałem.

– Nie mogli cię nauczyć wszystkiego w dwa miesiące – powiedział Markiz. – Morita był najsłynniejszym malarzem późnego okresu Demokracji. Jego dzieła sprzedawane są za miliony, zaś złoto, jak ostat-

nio sprawdzałem, warte jest tysiąc siedemset kredytów za uncję. Tak więc Dziadek Mróz na pokładzie statku posiada, jak to kiedyś mówiono, królewski okup. Problemem jest tylko fakt, że ściga go gromada policjantów.

– O ile ich wyprzedza?

– Jakieś siedem, osiem godzin.

– Zgubi ich. Siedem godzin to niemal wieczność przy prędkości światła.

– Prowadzi Golden Streak, model 341. Bardzo szybki, lecz o ograniczonym zasięgu – dodał Markiz, widząc, że Nighthawk nie zna tego typu. – Paliwa starczy mu jeszcze na jakieś sześć godzin lotu, potem będzie musiał zatrzymać się, by je uzupełnić.

– Sądzę, że tutaj ja wejdę do akcji.

– Zgadza się – odparł Markiz. – Mój komputer przeanalizował trajektorię jego lotu i wybrał cztery możliwe planety, na których mógłby wymienić stos atomowy statku. Dwie z nich to placówki wojskowe, nie wylądować więc tam. Trzeci świat prowadzi obecnie wojnę z sąsiednim systemem, wątpię, czy polecą tam ryzykując, że zostanie zestrzelony przez jedną albo drugą stronę.

– Pozwól, że zgadnę: Tundra jest tą czwartą planetą?

– Nie. Lecz ten czwarty świat wchodzi w skład mojego imperium. Jest to mała planetka zwana Aladyn; chcę, byś natychmiast tam poleciał.

– A jeśli tam już dotrę?

– Wszystko opieram na przypuszczeniu, że Dzia-

dek Mróz na niej wyląduje. Jeśli tak się stanie, spotkaj się z nim.

– Co mam mu powiedzieć?

– Przekaż mu moje pozdrowienia i wyrazy uznania, a następnie poinformuj go, delikatnie, lecz stanowczo, że cena za paliwo i bezpieczny przejazd wzrosła.

– Jak bardzo?

– Niebotycznie – powiedział Markiz. – Chcę połowę jego łupu.

– A jeśli odmówi?

– Wtedy postąpisz wedle własnego uznania – powiedział Markiz, wzruszając ramionami. – Chcę mieć tylko pewność, że kiedy odleci, pozostawi połowę swej zdobyczy.

– Ilu ma ludzi?

– Jego statek może pomieścić czteroosobową załogę, więc mogą mu towarzyszyć najwyżej trzy osoby.

Nighthawk skinął głową.

– Czy powinienem jeszcze coś o nim wiedzieć?

– Wiesz już, co trzeba: ma ładunek, który nas interesuje.

– Nie to mam na myśli. Czy posiada on jakieś niesamowite zdolności, talenty?

– Żadnych, chyba że wierzysz, iż jest w zмовie z Chrystusem – odparł Markiz. – Są ludzie, którzy są o tym święcie przekonani.

– Mają ku temu jakiś powód?

– Raz wpadł w pułapkę i wyszedł z niej nietknięty, podczas gdy wszyscy jego ludzie zginęli. Kiedy in-

dziej policja znalazła jego kryjówkę na Roosevelcie III i dosłownie zmiotła ją z powierzchni. W tym czasie Dziadek Mróz siedział w knajpie na sąsiedniej ulicy. Jak tylko usłyszał hałas, ukradł statek i czmychnął, nie oglądając się za siebie.

– Mam wziąć kogoś ze sobą?

– Jesteś Egzekutorem – rzekł Markiz. – Poza tym, wykonując ostatnie zadanie pokazałeś, że doskonale dajesz sobie radę bez pomocy.

– Dlaczego więc utrzymujesz taką armię zabijaków, skoro ich nie używasz? – spytał Nighthawk.

– Dotychczas nie było takiej potrzeby. Lecz nie masz chyba zamiaru przekonywać mnie, że nie dasz rady czterem osobom?

– Doprawdy, wspaniale się dla ciebie pracuje – zauważył uszczypliwie młodzieniec.

– Melisanda podziela twoje zdanie.

Nighthawk spojrział na wykrzywioną uśmiechem twarz Markiza i zrozumiał, że powiedziała mu o minionej nocy.

– Raz na jakiś czas idzie z kimś do łóżka, by przypomnieć sobie, dlaczego wybrała właśnie mnie – kontynuował Markiz. – Nie mam o to pretensji, zwłaszcza że tym chętniej do mnie wraca. Problem polega na tym: czasem mężczyzna, którego akurat wybrała, wbija sobie do głowy, że coś dla niej znaczy. Robi się nieznośny, a wówczas, niestety, jestem zmuszony pozbyć się go. – Mówiąc to, wy dobył szybko pistolet, przerzucił do drugiej ręki i wypalił, trafiając ponownie w dziesiątkę.

- Jesteś bardzo dobry – przyznał Nighthawk.
- Obaj jesteśmy dobrzy – odparł Markiz. – Mam nadzieję, że nie będziemy musieli dowodzić, który z nas jest lepszy.
- Nie mamy żadnego powodu, by to robić – powiedział Nighthawk.

Lecz oczyma wyobraźni zobaczył dłonie i usta Markiza pieścące nagie ciało Melisandy; poczuł ukłucie zazdrości. Powód istniał i obaj o tym wiedzieli.

## Rozdział 12

Aladyn otrzymał kiedyś obietnicę zdobycia wielkich bogactw, stąd nazwa planety. Lecz tak jak w przypadku Jukonu i Tundry, jej kopalnie wyczerpały się w ciągu dwudziestu lat. Górnicy odeszli w kierunku Jądra Galaktyki i nikt nie został oprócz garstki poszukiwaczy, którzy żywili nadzieje znalezienia kolejnych złóż. Było też, jak zwykle w takich miejscach, wielu hazardystów i poszukiwaczy przygód, od jakich roi się na Wewnętrznej Granicy.

Jak to zdarzało się w światach Wewnętrznej Granicy, zwłaszcza w mających niewielką liczbę mieszkańców, Aladyn usiany był licznymi opuszczonymi osadami handlowymi: naprędce wzniesionymi konstrukcjami zaspokajającymi potrzeby tymczasowych mieszkańców. Istniało kilka światów z ponad czterdziestoma funkcjonującymi osadami handlowymi, ale człowiek był zwierzęciem sprawnie działającym i niezwykle wydajnym, więc w ciągu dwóch, trzech dziesiątków lat, kiedy plądrowanie kończyło się z braku surowców, miasta pustoszały, a grabieżcy przenosili się w inne rejony. Do takich planet właśnie należał Aladyn, posiadający siedemnaście miast widm i zaledwie jedną wciąż zamieszkaną osadę.

Trzeba przyznać, że była to pierwsza planeta, na którą wpuszczono Nighthawka bez żądania od niego zezwoleń na lądowanie. Port lotniczy był zrujnowany, bloki startowe popękane lub zniszczone. Większość statków musiała lądować na płaskiej powierzchni po-

bliskiej sawanny, około mili od osady.

Nighthawk, upewniwszy się, że stacja paliwowa jest nieczynna, postawił statek na równinie, uruchomił system alarmowy i rozpoczął wędrówkę poprzez gorącą i jałową przestrzeń w kierunku miasta. Nagle uświadomił sobie, że nie jest sam. Coś kulistego – jasnożółtego i puszystego, bez żadnych widocznych organów zmysłów, toczyło się obok niego, cichutko do siebie mrużąc.

Nighthawk przystanął. Kula również zatrzymała się. Zaczął znów iść, zmieniając co chwila kierunek, kula robiła dokładnie to samo, nie odstępując go ani na krok. Znów się zatrzymał, a owo „coś” potoczyło się w jego kierunku i otarło o jego buty, mrużąc jeszcze głośniej. Na wszelki wypadek Nighthawk trzymał rękę na broni, obawiając się, że może zostać zaatakowany, ale po ceremonii pocierania futerkiem o buty człowieka, „coś” cofnęło się, jakby czekało, aż znów podejmie wędrówkę. Wpatrywał się w stworzenie przez dłuższą chwilę, a później wzruszył ramionami i poszedł dalej.

Wkrótce dotarł do miasta, wciąż w towarzystwie owego „czegoś”. Nie mógł znaleźć nigdzie paliwa, więc zastanowił się, co zrobiłby Dziadek Mróz na jego miejscu. Poszukałby z pewnością kilku miejscowych, a ci wskazałoby miejsce, w którym można dostać paliwo. Trzymałoby się z dala od baru i melin z narkotykami. Zawsze bowiem istniało prawdopodobieństwo, że jeden z tamtejszych bywalców zechciałby się zabawić w łowcę nagród i próbować zabić go dla pieniędzy. Poczta była zamknięta. Pozostawały jeszcze burdel, restaura-



cja i hotel. Jego przypadkowy wybór padł na hotel, skierował tam swe kroki. Zanim wszedł, przebiegł oczyma ulicę, aby upewnić się, że naprawdę nie przegapił żadnego miejsca, gdzie mógłby znaleźć paliwo.

Hotel był tak samo nijaki jak cała planeta. Tak wiele razy zmieniał właściciela, tylu próbowało dostosować jego wnętrze do własnych gustów, że w rezultacie nie miało ono żadnego określonego stylu. Na ścianach wisiały nic nieprzedstawiające prace holograficzne oraz wypchane głowy dawno wymarłych drapieżników z Aladyna.

Z umeblowaniem było podobnie. Kanciaste, chromowane krzesła unosiły się nad podłogą, wciśnięte pomiędzy krzesła dla obcych, o dziwacznych kształtach jak ci, dla których były przeznaczone, oraz krzesła salonowe, przypominające te z męskich klubów z XIX wieku czasu ziemskiego.

Nighthawk zbliżył się do recepcji, nadal w towarzystwie futrzanej kuli. Za kontuarem stał obcy o humanoidalnych kształtach, zielonej skórze, wystających złotych kłach, bulwiastej głowie i wielkich, świecących oczach.

Kiedy Nighthawk zbliżył się, osoba ta przemówiła do aparatu translacyjnego, który nosiła przypięty do tuniki.

– Dzień dobry panu – odezwał się bezbarwny głos.

– Skończyło mi się paliwo – odezwał się Nighthawk. – Zmuszony byłem zboczyć z kursu i wylądować tutaj. Gdzie mógłbym go nabyć?

– Jaki typ statku pan posiada?  
– Golden Streak 341.  
– W takim razie trzeba tylko wymienić stos atomowy.

– Wiem, czego mi trzeba. Gdzie to znajdę?  
– Nigdzie nie musi pan chodzić. Przyślę doświadczonego mechanika i zrobi wszystko, co trzeba.

– Ma tu jakiś warsztat, biuro?  
– Nie, proszę pana. Nie częściej niż raz na tydzień, według czasu standardowego, zjawia się tu jakiś statek, w którym trzeba wymienić stos atomowy. Niezwłocznie skontaktuję się z nim.

– Nie teraz.  
– Ale przecież powiedział pan, że prawie skończyło się mu paliwo.

Nighthawk pochylił się ku hotelarzowi i zniżył głos do szeptu: – Na moim pokładzie przebywa pewna młoda dama. Jej pozycja społeczna nie pozwala, aby ktokolwiek dowiedział się, że ona tu jest. Zaczeka tam do zmierzchu, a później dołączy do mnie w apartamencie, który chcę tu wynająć. – Urwał. – Czy to, co mówię, jest jasne?

– Całkowicie, proszę pana – zapewnił go obcy. – Może pan liczyć na moją dyskrecję.

– Dobrze. Macie wolne pokoje?  
– Apartament narożny na trzecim piętrze, proszę pana.

– Będzie odpowiedni.  
– Czy zabierze pan ze sobą pańskiego Świętego Toczka?

– Słucham?

– Pańskiego Świętego Toczka – odpowiedział obcy. – Muszę wiedzieć, czy zamierza pan go sobie zostawić.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Obcy wskazał na kulę futra, znajdującą się jakieś osiem cali od buta Nighthawka.

– To jest pański Święty Toczek.

– Ciekawa nazwa – odparł Nighthawk. – Jednak nie całkiem jest mój. Po prostu przyszedł tu za mną.

– Widzę, proszę pana, ale tak czy inaczej jest już pański. One spędzają długie lata, żyjąc samotnie. Wtem, nie wiadomo dlaczego, zdarza się, że któryś z nich nagle zaprzyjaźnia się z człowiekiem. Choć znane mi są takie przypadki z opowieści, nigdy, aż do dzisiejszego dnia, nie miałem sposobności przekonać się o tym na własne oczy. Jednak według legendy, gdy raz już zaprzyjaźnią się z człowiekiem, nigdy dobrowolnie go nie opuszczają.

Nighthawk spojrzał na Świętego Toczka, który mruczając ocierał się o jego buty. Zmarszczył brwi.

– Czy to oznacza, że jestem skazany na jego obecność?

– Tak, proszę pana.

– Na jak długo?

– Mówi się, że to wyjątkowo oddani towarzysze – powiedział obcy, przechylając się przez kontuar, aby przyjrzeć się stworzeniu. – Jest to prawie zawsze przyjaźń na śmierć i życie.

Nighthawk zagapił się na kudłate stworzenie.

– Czyje życie i czyją śmierć?  
– Są praktycznie nieśmiertelne.  
– Nie potrzebuję towarzysza na całe życie.  
– Nie jestem pewien, czy pańskie potrzeby mają tu jakiegokolwiek znaczenie.

– Cudownie – powiedział Nighthawk. – Kto je tak nazwał?

– Są tak nazywane, od kiedy przybyłem tu, na Aladyna. Zawsze przypuszczałem, że nazwę tę nadali im ludzie. – Obcy urwał niezręcznie. – Naprawdę, muszę wiedzieć, czy zostaje tu z panem?

– A po co ta informacja?

– Muszę odpowiednio zaprogramować system bezpieczeństwa. Jeśli nie wprowadzę danych dotyczących faktu, że towarzyszy panu Święty Toczek, od razu włączy się alarm.

– Rozumiem.

– Czy chciałby pan obejrzeć apartament?

– Nie teraz. – Położył krążek na blacie. – Proszę uwzględnić go w takim razie w moim rachunku.

– Słucham pana.

Nighthawk pochylił się i podniósł Toczka. Stworzenie nie uczyniło nic, aby się wyswobodzić, a nawet zaczęło jeszcze głośniejsze mruczeć, kiedy pogłaskał je po futerku.

Ty byś go rozwalił, prawda Egzekutorze?

– No cóż, miło jest mieć kogoś lub coś, co nas lubi – powiedział miękko. – Może pozwolę mu trochę ze sobą pobyc?

Postawił stworzenie z powrotem na podłodze i

przeszedł do małej restauracji. Znalazł tam stolik, usiadł, przycisnął kciuk do skanera, aby urządzenie mogło go zidentyfikować i zweryfikować, jaki ma kredyt, a następnie przejrzał kartę, dotykając kciukiem nazwy tych potraw, które chciał zamówić. Zamówił dla siebie kawę i bułkę oraz małą miseczkę mleka dla Toczka. Kiedy nadjechał wózek z posiłkiem, wziął swoją porcję, a miskę ustawił na podłodze.

Toczek zbliżył się do niej, ostrożnie okrążył naczynie, po czym cofnął się, ocierając o but Nighthawka i mruczając przy tym głośno. Nighthawk sięgnął ręką pod stół i delikatnie przysunął zwierzątko do miski. Wydało z siebie wysoki dźwięk podobny do gwizdu, przeskoczyło ponad miską, półobrotem zbliżyło do Nighthawka i ponownie zaczęło ocierać się o jego but.

– Dobra, jak sobie chcesz – powiedział Nighthawk, schyliwszy się, aby zabrać miskę z podłogi i postawić ją na stole.

Nagle Toczek zaczął odbijać się od podłogi, z początku skacząc niezbyt wysoko, ale stopniowo coraz wyżej i wyżej, aż do momentu gdy dosięgnął pułapu stolika. Jeszcze jedno odbicie i wylądował delikatnie na blacie, potoczył się do miejsca, w którym stało naczynie z mlekiem. Zwierzątko nie miało żadnych widocznych organów zmysłów, ale Nighthawk przysięgłby, że wpatruje się ono w miskę.

Skończył pić kawę i pokazał pustą filiżankę Toczki, który dotarł tymczasem do odległego końca sali, a następnie nieśmiało powrócił do stolika i położył się koło buta Nighthawka. Ten zamówił jeszcze

jedną kawę, posiedział następne kilka minut, po czym wyszedł do holu.

– Wyszedł pan, zanim zdążyłem podać numer pańskiego apartamentu – oznajmił obcy. – Ma pan numer 302B. Pokój został odpowiednio zmodyfikowany, by rozpoznać pana na podstawie odcisku kciuka, głosu oraz analizy siatkówki oka.

– Dziękuję, ale zostanę tu na dole.

– Ależ dlaczego? Tu nigdy nic się nie dzieje. W pańskim apartamencie ma pan do dyspozycji wideo, barek z alkoholami, Imaginarium i...

– Będę miał więc na co oczekiwać.

Obcy patrzył tylko na niego, jakby zastanawiając się, czy kiedykolwiek zrozumie ten gatunek, z jakim los postanowił go zetknąć.

Nighthawk podszedł do unoszącego się kilka cali nad ziemią krzesła, które wyglądało na wygodne, i usiadł na nim.

– Wolny obrót – rozkazał, a krzesło zaczęło się lekko obracać. Nie był to ruch na tyle silny, aby mogło zakręcić mu się w głowie i dzięki niemu mógł obserwować cały hol bez konieczności nieustannego rozglądania się, czym z pewnością zwróciłby na siebie uwagę.

Dwie kobiety weszły do hotelu i od razy skierowały się do windy powietrznej. Z restauracji wyszedł jakiś górnik w nieskazitelnym kombinezonie, gotów skierować swoje roboty do codziennej pracy przy szukaniu bogactw, jakie mógł jeszcze kryć w sobie Aladyn.

Następnie, jakieś dwie godziny później, do hotelu wszedł mały, krzepki człowiek pocący się obficie. Zlustrował pośpiesznie wnętrze i podszedł wprost do recepcji.

– W czym mogę panu pomóc? – spytał obcy.

– Mój Golden Streak 341 jest głodny, czy jest tu ktoś, kto zająłby się jego stosem?

– Zapewne zatrzymał się pan na zachód od miasta, na sawannie?

– Tak jest.

– Jeśli poda mi pan numer rejestracyjny statku, pošlę tam za piętnaście minut wykwalifikowanego mechanika.

– R-3201-TY-4-J – brzmiała odpowiedź małego człowieka. – Rzucił na blat zwitek kredytów. – A wyślij go tam za dziesięć minut.

– Służę panu – odezwał się obcy, chowając zwitek do kieszeni. Spojrzał na mapkę Tradertown na holokranie swojego komputera, zaznaczył miejsca, w których mógł znajdować się mechanik, i polecił komputerowi założyć wideofoniczne połączenia z tymi miejscami.

Nighthawk wstał z krzesła i podszedł do człowieka.

– Postawić ci drinka, kiedy już tu czekasz?

– Brzmi zachęcająco – odrzekł tamten. – Dobrosąsiedzkie stosunki przede wszystkim.

Nighthawk odwrócił się do recepcjonisty.

– Bar jest zamknięty – powiedział.

– Och nie, proszę pana. Bar jest czynny, tylko nie

ma zbyt wielu klientów.

Nighthawk wręczył mu kilka kredytów.

– Bar jest zamknięty – powtórzył.

– Tak, proszę pana. Bar jest zamknięty.

– Nighthawk przeszedł wraz z towarzyszem do baru, który usytuowany był po przeciwnej stronie holu, naprzeciwko restauracji. Tak jak i pozostała część hotelu zdradzał on wpływy zbyt wielu różnych stylów. Hologramy, przedstawiające atletycznie zbudowanych ludzi i obcych, pomieszane z aktami przedstawicielek różnych ras, wielkie akwarium z dziwnymi rybami innych systemów i kilka gier Imaginarium.

– Na co masz ochotę? – zapytał Nighthawk.

– W taki gorący dzień na cokolwiek, co tylko ugasi pragnienie.

– Powinieneś uważać na to, co mówisz – powiedział Nighthawk. – Ktoś mógłby zrozumieć to opacznie i posłać ci kulkę, co z pewnością ugasiłoby twoje pragnienie na zawsze.

– Słuszna uwaga – odezwał się towarzysz. – Napiję się piwa.

– W takim razie dwa piwa – powiedział Nighthawk, wbijając zamówienie do komputera. – Przy okazji, nazywam się Jefferson Nighthawk.

– Brzmi dumnie – odrzekł człowiek, ściskając podaną mu rękę.

– Słyszałeś je już kiedyś?

– Myślę, że wszyscy je słyszeli. Jesteś krewnym czy następcą...?

– Po trosze i tym, i tym. A ty...?



– Wiesz cholernie dobrze, kim jestem, Jeffersonie Nighthawk – powiedział człowiek. – Nie siedziałeś w tym holu, mając przy sobie cały arsenał, dla zabawy. A ja nie zatrzymałem się na Aladynie tylko po to, aby się napić. Czekaleś na mnie. W końcu, mam nadzieję, dowiem się po co. A tymczasem proponuję spróbować piwa.

– Ten świat jest pod opieką Markiza Queensbury – odezwał się Nighthawk. – Nie ma on zamiaru utrudniać ci ucieczki przed policją.

– To doprawdy bardzo troskliwie z jego strony.

– Prosi jedynie, abys uznał jego władzę na Aladynie...

– Chętnie.

–...i zapłacił mu niewielką sumę za możliwość dostarczenia paliwa.

– Jak niewielka ma być ta suma?

– Połowę – powiedział Nighthawk.

Dziadek Mróz odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

– Wiesz, co posiadam?

– Wiem.

– A Markiz myśli, że dam mu równowartość dwudziestu milionów kredytów za możliwość uzupełnienia stosu atomowego w moim statku?

– Ma nadzieję, że tak się stanie.

– Więc może sobie ją mieć. Wnioskuje, że ty jesteś alternatywą.

– Tak jest.

Zjawilo się piwo i obaj sięgnęli po kufle.

– No cóż, jeśli jesteś w połowie tak dobry jak twój imiennik, jesteś dwa razy lepszy ode mnie. Szczerze to przyznaję. A więc, może odłożyć strzelanie i pogadać najpierw o interesach?

– Myślałem, że właśnie to robimy.

– Nie – odparł Dziadek Mróz. – To były same groźby, wymuszanie i Markiz. Może po prostu ty i ja ubijemy interes. Zgoda?

Nighthawk popijał piwo, rozważając propozycję starszego mężczyzny. W końcu kiwnął głową.

– Słuchanie nic nie kosztuje.

– A tak na marginesie... Co to za stworzenie na twoim kolanie?

– Powinno ci się spodobać. To jest Święty Toczek.

– I co ono robi?

– Mogę na to odpowiedzieć tylko, że niezbyt wiele.

– To doprawdy robi z niego świętego.

– Widzę, że nie jesteś szczególnie religijny – zauważył Nighthawk.

– Tak, to całkiem niezła ocena.

– Zawsze nienawidziłeś kościołów?

– Prawdę mówiąc byłem kiedyś duchownym – powiedział Dziadek Mróz z uśmiechem. – Spędziłem siedemnaście lat zbawiając dusze, czcząc Boga i unikając pokus ciała. Można byłoby być ze mnie naprawdę dumnym; byłem tym, czym każda mama chciałaby, żeby stał się jej dobry synek.

– Więc co się stało?

– Był w naszym kościele młody mężczyzna. Bardzo podobny do ciebie, tyle że nie zabójca. Ale został

zatrzymany za gwałt i morderstwo na dwóch siostrach ze zgromadzenia. Mnóstwo dowodów wskazywało na niego, ale on przysiągł na Biblię, że jest niewinny, a ja mu uwierzyłem. Więc poniuchałem tu i ówdzie, po czym odkryłem, że zrobił to chirurg, jeden z naszych najbardziej poważanych parafian. Jedynym problemem było to, że nie miałem żadnych wystarczających dowodów, abym mógł tego dowieść w sądzie.

Dziadek Mróz przerwał na chwilę, wysuszając do dna swój kufel.

– A więc wykombinowałem, że może i nie mam tych dowodów dla sądu, ale gdyby tak wynająć dobrego prawnika, z pewnością on mógłby chociaż podważyć oskarżenie, które ciążyło na tym młodym człowieku.

– No i co, udało się?

– Nie. Następnego dnia skontaktowali się ze mną moi przełożeni i oznajmili, abym raczej doglądał spraw duchowych, a te ziemskie pozostawił ludziom, którzy się lepiej na tym znają. Biskup wyjaśnił mi, że gdybyśmy zbrukali dobre imię chirurga, przestałby hojnie sypać datki na kościół. Inni mówili, że ten młody człowiek kilka lat temu był aresztowany za kradzież i strata kogoś takiego niewiele by znaczyła. Później, kiedy zobaczyli, że mnie nie zniechęca, chirurg wynajął najdroższego adwokata na całej planecie i w ciągu kilku dni wnieśli kilka pozwów przeciwko mnie. Nie mogłem mówić o tym, nie mogłem mówić o tamtym, nie mogłem pojawiać się tu, nie mogłem pojawiać się tam. Miałem całkowicie związane ręce.

– Faktycznie – przytaknął Nighthawk.

– Pojechałem do samego zwierzchnika kościoła, na Ziemię, i wyjaśniłem sytuację. Obiecał, że mi pomoże, więc pojechałem do domu. Ale kiedy mój statek wylądował, okazało się, że jego pomoc oznacza wysłanie mnie na Obrzeże. A od przyjaciela, którego miałem u niego w biurze, dowiedziałem się, że chirurg dał duży datek na kościół niecałą godzinę przed tym, jak napisano polecenie odnośnie do mojego przeniesienia.

– I co zrobiłeś?

– Kupiłem pistolet laserowy i wypaliłem chirurgowi dziurę w brzuchu. Następnie zabiłem swojego przełożonego, włamałem się do więzienia i uwolniłem młodego człowieka. Później zabrałem co do jednego wszystkie kredyty, jakie ten kościół miał w banku, splądrowałem z pół tuzina kościołów na Ziemi i wypowiedziałem na przyszłość wojnę wszystkim innym. To tylko jedna wielka banda chciwych hipokrytów, którzy zasługują na to, co im zgotowałem.

– Skąd twoje imię?

– Dziadek Mróz – uśmiechnął się. – Wypowiedziałem swoją wojnę dwudziestego piątego grudnia, według ziemskiego kalendarza.

– Co z tego?

– Dawno, dawno temu, zanim jeszcze przeszliśmy na Standardowy Kalendarz Galaktyczny, była to data, kiedy obchodziło się Boże Narodzenie – urwał. – Jestem już czternaście lat Dziadkiem Mrozem. Święty Mikołaj byłoby zbyt pobożnie, to imię bardziej pasuje do mojej sytuacji. Nigdy nie zabiłem nikogo, kto nie

byłby związany z kościołem, nigdy nie zrabowałem niczego, co by nie należało do kościoła. Nic ci do mnie, Nighthawk.

– Kto tu mówi o sprzeczności interesów?

– Przecież chcesz, żebym płacił lenno – odrzekł Dziadek Mróz. – Ma to jakiś kościelny posmak.

– A mnie wydaje się, że wszystko, co ci się nie podoba, ma dla ciebie, jak ty to mówisz, religijny posmak.

– Dobrze to wyłożyłeś – powiedział Dziadek Mróz z uśmiechem. – Markiz chce połowę z tego, co mam w ręku, zgadza się?

– Zgadza.

– No, a ile ty z tego dostaniesz?

Nighthawk wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Zapewne nic.

– Zapewne, akurat! – odparł Dziadek Mróz. – Doskonale wiesz, że nic nie dostaniesz, nie uświadczysz z tego ani kredytu.

– W porządku, nie uświadczę z tego ani kredytu.

– Pozwól mi odlecieć w spokoju, a dam ci dziesięć procent. Nie będziesz mu musiał składać żadnego raportu. Powiesz po prostu, że nie było mnie na Aladynie.

– Będzie wiedział, że byłeś.

– To powiedz mu, cholera, co ci przyjdzie do głowy – zirytował się Dziadek Mróz. – Wiesz, ile to jest dziesięć procent od sumy, którą posiadam?

– Bardzo dużo.

– Tak, możesz założyć się o swój własny tyłek. No

więc jak, umowa stoi?

– Dowiedziałby się.

– W porządku. Zgódź się pracować dla mnie i potraktuj to jako zadatek.

– Rabowanie kościołów i mordowanie pastorów?

– I księży – dodał Dziadek Mróz. – Nie chciałbym, aby posądzano mnie o bigoterię.

– Bóg nie jest moim wrogiem.

– Ależ jest wrogiem wszystkich! – warknął Dziadek Mróz, a jego oczy rozbłysły gniewem, który w sobie nosił. – Ludzie przeżywają życie i nie wiedzą o tym.

Nighthawk pokręcił głową.

– Twój bóg jest biblijnym mędrcom z długą, siwą brodą. Ja spotkałem swojego. Nosi biały fartuch laboratoryjny i podstrzyżoną ciemną brodę. Nie mam najmniejszego zamiaru zabijać go. Poluję na diabła.

– Jak zamierzasz namierzyć swojego diabła? – zapytał Dziadek Mróz. – Jeśli nie ma ani rogów, ani ogona, jak w takim razie wygląda?

– Tak jak ja – powiedział Nighthawk. Zamyślił się. – Masz kogoś do pomocy na statku?

– Nie.

– Na pewno?

– Nigdy nie planuję pracować samotnie, ale zawsze tak to w końcu wychodzi.

– Opuszczają cię?

– Lub ja ich, zależy od okoliczności.

– Więc dlaczego w ogóle mam brać pod uwagę pracę z tobą?

– Bo proponując ci tak dużo, będę musiał trzy-

mać cię blisko. Nie można wypuścić takiej forsy z rąk; jeszcze wylądowałyby w jakimś kościele.

Święty Toczek zdołał jakimś sposobem podskoczyć i wtoczył się na ramię Nighthawka, po czym, usadowiwszy się tam, zamruczał cichutko. Ten pogłaskał go delikatnie.

– Wiesz co? Nie będę pracował dla ciebie – powiedział po chwili zastanowienia. – Ale powiem ci, co zrobię. Puszczę cię wolno.

– To znaczy, że mogę uzupełnić paliwo i odlecieć?

– Tak.

– Dlaczego?

– Może dobrze jest spotkać człowieka oddanego jakiejś idei, a ja nie dbam, co to za idea?

– Może, ale wątpię, czy naprawdę o to chodzi – powiedział Dziadek Mróz. – Jak sam zauważyłeś, Markiz dowie się, że się spotkaliśmy. Jeśli pozwolisz mi odejść z całą moją nienaruszoną zdobyczą, prawdopodobnie cię zabije.

– I tak próbowaliby to zrobić.

– Chcesz tego?

Ona nigdy ze mną nie ucieknie, jeśli go wyzwę i zabiję. Ale jeśli zrobię to w samoobronie...

– Mam swoje powody.

– Szkoda, że nie jedziesz ze mną – powiedział Dziadek Mróz, wyciągając rękę. – Przydałby mi się ktoś taki jak ty.

Kiedy Nighthawk uścisnął rękę Dziadka Mroza, zbliżył się do nich recepcjonista. W jednej dłoni trzymał miotacz, w drugiej miniaturową słuchawkę.

– Przykro mi panów poinformować, że Markiz przewidział taki rozwój wydarzeń i polecił mi szpiegowanie was oraz powzięcie odpowiednich środków bezpieczeństwa, jeśli się okazało, że pan Nighthawk za-  
lega ze swoimi obowiązkami.

Nie spiesząc się wycelował broń prosto między oczy Nighthawka. Nim jednak nacisnął spust, Święty Toczyk wpadł w szal.



## Rozdział 13

Dźwięk wydawany przez zwierzątko, który Nighthawk wziął początkowo za ostry gwizd, stawał się głośniejszy, wyższy i coraz bardziej przeszywający; młodzieniec zgiął się wpół i z całej siły przycisnął ręce do uszu, zaś Dziadek Mróz, także zasłaniając uszy, stoczył się z krzesła na podłogę. Obcy zdołał dwukrotnie wystrzelić, jednak promienie miotacza wypaliły tylko dziurę w suficie. Straszliwie zapiszczał i strużki krwi pojawiły się w jego uszach oraz nosie.

Mimo przeszywającego bólu Nighthawk zdał sobie sprawę, że Toczek potrafił kontrolować kierunek swego gwizdu i że impet uderzenia nie był skierowany przeciwko jemu i Dziadkowi. Hałas pękających szklanek i butelek towarzyszył wyciu obcego, który wkrótce z zakrwawioną twarzą zwałił się bezwładnie na podłogę. Święty Toczek natychmiast znalazł się z powrotem przy Nighthawku, mrucząc i ocierając się o niego.

– To ci dopiero przyjemniaczek – powiedział Dziadek Mróz, usiłując stanąć na nogach. – Potrafi nieźle dolożyć.

– Owszem – zgodził się Nighthawk. Począł, aż wszystkie jego zmysły zaczęły poprawnie funkcjonować, i powstał, by przyrzeć się recepcjoniście. Był martwy.

– To cię chyba wpakuje w niezłe tarapaty. Pewnie niedługo zjawia się tu jakieś władze.

– Podejrzewam, że jedynym przedstawicielem prawa był ten obcy – odparł Nighthawk.

Nagle do sali weszły dwa roboty porządkowe.

– Posprzątajcie rozbite szkło – rozkazał Nighthawk. – Ciało zostawcie, aż zdecyduję, co z nim zrobić.

Roboty zabrały się natychmiast do sprzątania, zwracając szczególną uwagę na kawałki szkła.

– Markiz zbytnio ci nie ufa – rzekł Dziadek Mróz – a jeśli jego sługus nie zgłosi się, to pomyśli, że go zabiłeś.

– To Święty Toczek go zabił.

– Na jedno wychodzi. Jak myślisz, kogo pociągnie do odpowiedzialności – ciebie czy tego dziwnego zwierzaka, który wygląda niczym zabawka dla dzieciaka i mruczy cały czas? – Dziadek Mróz uśmiechnął się. – Na twoim miejscu spakowałbym manatki i poszukał pracy gdzie indziej. Moja oferta jest nadal aktualna, a gdy rozejdzie się, że Markiz cię szuka, to zostanie niewiele chętnych, by cię zatrudnić.

– Nie będzie musiał mnie szukać – odparł młodzieniec. – Wracam na Tundrę.

– Bez połowy mego ładunku?

– Powiedziałem ci – jesteś wolny.

– Nie sądzisz, że okoliczności nieco się zmieniły? – zauważył Dziadek Mróz. – Zostawisz za sobą martwego szpiega.

– Powiem, że ty go zabiłeś.

– A ty spokojnie przyglądałeś się temu? I pozwoliłeś mi odejść? – spytał Dziadek Mróz.

Święty Toczek, nie przerywając mruczenia, zaczął podskakiwać i w końcu odbił się tak mocno, że wyla-

dował na ramieniu Nighthawka. Młodzieniec odruchowo wyciągnął rękę i pogłaskał swego puszystego przyjaciela, który zaczął mrużyć jeszcze głośniej.

– Masz rację – przyznał Nighthawk. – Chyba będę zmuszony powiedzieć mu prawdę.

– Zabije cię.

– Na pewno będzie próbował. Stanie się to wcześniej, niż planowałem, lecz nie szkodzi. Równie dobrze do naszej konfrontacji może dojść i teraz. – Roboty skończyły sprzątanie odłamków szkła i stanęły w oczekiwaniu na dalsze rozkazy. – Zabierzcie ciało do biura, pozamykajcie drzwi i wyłączcie się – powiedział Nighthawk. – Roboty opuściły bar, by powrócić za chwilę z wózkiem, na który wrzuciły obcego, i wyszły.

– To nie jest konieczne – rzekł Dziadek Mróz. – Pojedź ze mną i zapomnij o Markizie.

– Nie chodzi mi o Markiza – odparł sucho Nighthawk. – On jest tylko przeszkodą.

– Więc jakaś kobieta załazła ci za skórę – powiedział Dziadek Mróz z uśmiechem. – Tak to jest w tym wieku.

– Kobieta – westchnął Nighthawk.

– Należy do niego?

– Człowiek nie może być własnością drugiego.

– Całkowicie się z tobą zgadzam – przyznał Dziadek Mróz. – To wbrew wszelkim prawom, zarówno boskim jak i ludzkim. Spojrzał surowo na młodzieńca. – A ty byś pewnie chciał, by należała do ciebie.

– W pewnym sensie – Nighthawk skinął głową.

– I potrzebujesz pretekstu do zabicia Markiza?

- Tak, ale...
- Ale co?
- Był wobec mnie uczciwy, uczynił swoim zastępcą, zaufał mi...
- Nie do końca. Nie wierzył, że mnie zabijesz – zauważył Dziadek Mróz. – Gdybyś to zrobił, nie byłoby tego trupa.
- Rzeczywiście – przyznał Nighthawk. – Lecz wie, kim jestem, a mimo to traktuje jak normalnego człowieka.
- Przecież wyglądasz jak normalny człowiek – rzekł Dziadek Mróz. – Kim masz być?
- Jestem klonem.
- Rozumiem. Jesteś nowym wcieleniem Egzekutora, powstałym z popiołów.
- On żyje.
- Nie może żyć. Miałby sto pięćdziesiąt lat.
- Od ponad wieku jest zamrożony.
- Pozwól, że się zastanowię – powiedział Dziadek Mróz. – Żyje, lecz jest zamrożony. Oni wydają kupę pieniędzy i nadstawiają głowę, żeby go sklonować. Dlaczego kazał się zamrozić? Z wielu powodów. Choroba. Albo wróg, z którym nie mógł sobie poradzić. Za-inwestował mnóstwo pieniędzy z myślą o pokaźnym zysku, kiedy zostanie obudzony. – Przerwał, by zastanowić się nad wszelkimi możliwościami. – Jeśli chodziło o wroga, to mógłby już zostać obudzony, nie potrzebowałby klona. Pieniądze także nie wchodzi w rachubę, gdyż stworzyłby tylko ewentualnego pretendenta do nich. Jeśli to była choroba... – zmarszczył brwi –

to po co mu klon?

– Inflacja.

– Oczywiście! – wykrzyknął Dziadek Mróz. – Opłatę za Głęboki Sen pokrywał z odsetek otrzymanych z inwestycji, a kiedy ceny poszły w górę, musieli by ruszyć jego kapitał. W ten sposób straciłby wszystkie pieniądze i możliwość płacenia za swoje miejsce. Stworzono więc ciebie... – głęboka zmarszczka przecięła mu czoło. – Lecz dlaczego pracujesz dla Markiza? Jeżeli oni potrzebują pieniędzy, to powinieneś wykonywać swoje zadanie. Sprzątnąć jakiegoś zabójcę, zainkasować nagrodę i powrócić tam, gdzie trzymają oryginalnego Egzekutora.

– Właśnie nad tym pracuję. W pewnym sensie, gdyż sytuacja się bardzo skomplikowała.

– Czy zabicie Markiza ją uprości? To jego szukasz?

– Nie, ale on wie, kim jest zabójca. Nie chciał mi jednak wyjawić jego nazwiska.

– Po tym, jak go zabijesz, też raczej ci nie powie.

– Jest pewien problem, lecz wiem, co zrobię. Oznajmię, że Markiz jest człowiekiem, którego szukałem, wezmę nagrodę i... – chłopak zamyślił się.

– Odeślesz ją Egzekutorowi? – zasugerował Dziadek Mróz.

– Nie. Polecę tam.

– Na Delurosa? To kawał drogi. Przecież możesz ją wysłać?

– Muszę dostarczyć ją osobiście.

– Dlaczego?

– Ponieważ jestem jedynym człowiekiem, który może go zabić.

– Powiedziałeś przecież, że jest chory.

– Jak wyzdrowieje, mogę nie dać mu rady. On jest zabójcą z wyboru, jaz konieczności.

– Na jedno wychodzi – odparł Dziadek Mróz.

Konwersację przerwał im obwieszony bagażami mężczyzna w średnim wieku, który nagle wszedł do środka. Ponieważ nikt do niego nie podszedł, skierował się w stronę baru, przystając raptownie, kiedy dostrzegł świeże plamy krwi na podłodze. Nighthawk i Dziadek Mróz spojrzeli na niego chłodno, zmuszając do natychmiastowego odwrotu.

– Cóż, synu – rzekł starszy mężczyzna. – Pora się stąd zbierać.

Kiedy Nighthawk skierował się w stronę drzwi, Święty Toczek zamruczał radośnie i zsunął się na podłogę, zatrzymując się paręnaście cali od lewej nogi młodzieńca.

– Dokąd się udasz?

– Nie mam pojęcia – wzruszył ramionami Dziadek Mróz. – Chyba zrobię wypad na Tundrę, by zobaczyć, czy są tam kościoły warte oczyszczenia.

Nighthawk skierował na niego pełen zdziwienia wzrok.

– Polubiłem cię – kontynuował Dziadek Mróz. – Markiza się nie boję. Poza tym, złodzieje powinni trzymać się razem, a nie wymuszać ostatni grosz za odrobinę paliwa.

– Ściga cię policja – zauważył Nighthawk. – Nie-

długo tu będą, a ty chcesz robić sobie wycieczkę?

– I tak nie znajdę nikogo, kto by wymienił mi stos atomowy, więc mój Golden Streak jest bezużyteczny. Będziemy tylko musieli przenieść ładunek na twój statek.

– Nie chcę być odpowiedzialny za twój łup – powiedział Nighthawk.

– Nikt cię o to nie prosi – odparł Dziadek Mróz. – Czułbym się nawet urażony. – Urwał. – Czas nas goni przyjacielu, mogę więc skorzystać z twego statku, czy nie?

Młodzieniec zastanawiał się przez chwilę, po czym skinął głową.

– Weźmiemy także Toczka.

– Mądra decyzja. Ten zwierzak jest bardziej skuteczny niż jakakolwiek znana mi broń.

– Nie wiem tylko, co on je – powiedział Nighthawk w drodze do statku. – Wziąłbym tego trochę.

– Nie widać, żeby miał gdzieś pyszczek – przyjrzał mu się Dziadek Mróz. – Może odżywia się przez osmozę. Pociera się o jakieś miłe rzeczy i wszystko będzie w porządku.

– Co masz na myśli mówiąc miłe rzeczy?

– W tym przypadku ciebie.

– Słucham?

– Włóczęc się po różnych światach, widziałem zwierzęta nie posiadające jamy gębowej. Odżywiały się właśnie przez osmozę. Może zabija on mniejsze istoty, wysysając z nich energię. Być może jesteś zbyt duży, by odczuwać ból, zaś on, kiedy zgłodnieje, czerpie z

twojej energii. Jednocześnie stara się utrzymać cię przy życiu, zabijając twoich wrogów, z myślą o przyszłych posiłkach twoim kosztem.

– Może masz rację – Nighthawk spojrział na Tocza. – Lecz bardziej podobała mi się myśl, że chroni mnie z czystej sympatii.

– Niewykluczone, że tak właśnie jest. To są wszystko moje domysły.

– Ciekaw jestem, czy zdecyduje się wejść na pokład statku – zastanawiał się młodzieniec. – Może będzie wolał zostać tutaj.

– Nie sądzę – odparł Dziadek Mróz.

– Dlaczego?

– Gdybyśmy przenieśli się w czasy, kiedy byłem kaznodzieją, powiedziałbym, że Święty Toczek – jego imię jeszcze to podkreśla – jest znakiem od Boga.

– Znakiem?

– Tak. Oznaczającym, że jesteś pod Jego ochroną. Gdyby nie zesłał tego niemego zwierzęcia, leżałbyś martwy na hotelowej podłodze. Jednak tak się nie stało, zatem Bóg ma inne plany wobec ciebie.

– Na przykład zabicie Markiza?

– Kto wie?

Lub spędzenie życia z Perłą z Marakaibo?

– Skoro jesteś kaznodzieją, powiedz mi, w jaki sposób dowiem się, że wykonałem zadanie wyznaczone mi przez Boga?

– To proste. Kiedy już to uczynisz, twój mały przyjaciel przestanie cię ochraniać.

Jakby na znak, że tak się jeszcze nie stało, Świę-



ty Toczek zamruczał głośno i wskoczył na ramię Nighthawka.

## Rozdział 14

Jaszczur Malloy podniósł oczy znad pasjansa i zobaczył zbliżających się do niego Nighthawka i Dziadka Mrozą.

– Witaj z powrotem – powiedział łuskowaty człowieczek. – Kim jest twój przyjaciel?

– Mów mi Kris – powiedział Dziadek Mróz.

Malloy zagapił się na Świętego Toczka.

– Wiesz, że lezie za tobą coś okrągłego i żółtego?

– Tak.

– Wydaje mi się, że to jest żywe, ale nie mogę dostrzec żadnych oczu czy uszu czy czegoś w tym rodzaju.

– Tak, zgadza się, to coś jest żywe – odparł Nighthawk. – Gdzie jest Markiz?

– Jest już dość późno – powiedział Malloy. – Myślę, że on i Perła poszli spać.

Twarz Nighthawka stężała na moment, ale się nie odezwał.

– Napiłbym się czegoś – powiedział Dziadek Mróz.

– Nie masz nic przeciwko temu, abyśmy do ciebie dołączyli?

– Zapytaj jego – odpowiedział Malloy. – On tu jest szefem.

– Siad – powiedział Nighthawk, biorąc krzesło i samemu siadając na nim. Święty Toczek ćwierknął radośnie i wskoczył mu na ramię, gdzie usadowił się, wydając z siebie serię poważnych mruknięć.

– Co to u licha jest? – zapytał Malloy.

- Po prostu pupilek.
- Wygląda na nieszkodliwego – podsunął Dziadek Mróz, powstrzymując uśmiech.
- Najzupełniej – potwierdził Nighthawk.
- Malloy popatrzył na zwierzątko podejrzliwie, potem wzruszył ramionami.
- Kiedy możemy liczyć na spotkanie z Markizem?
- zapytał Dziadek Mróz.
- Znasz go, Kris? – spytał Malloy.
- Słyszałem co nieco o nim – odparł Dziadek Mróz. – Chciałbym go poznać i coś mi mówi, że z wzajemnością.
- Hm... Kiedy już jego pani jest w łóżku, on zwykle przychodzi tu na jednego głębszego przed snem – poinformował Malloy. – Trzymajcie się tego miejsca, a wcześniej czy później spotkacie się.
- W porządku, jeśli o mnie chodzi – powiedział Dziadek Mróz.
- A od ciebie zapewne zażąda raportu – dodał Malloy, patrząc na Nighthawka. – Czy wszystko poszło gładko?
- W pewnym sensie.
- Dostałeś forszę czy też zabiłeś go?
- Mam cały jego łup.
- A więc zabiłeś go?
- Nie.
- Malloy wyglądał na całkowicie zbitego z tropu.
- Myślałem, że ten cały Dziadek Mróz to zły koleś w wielkim stylu. Jaki oszust da ci swoją forszę, od tak?
- Taki, który chce dożyć jutra – odpowiedział Ni-

ghthawk.

– Tak się składa, że znam dobrze Dziadka Mrozą – odezwał się Dziadek Mróz. – Gwarantuję, że zrobiłby wszystko, aby tylko uniknąć fizycznego kontaktu z obecnym tu młodym człowiekiem. Czy na przykład z Markizem.

– Szkoda – powiedział Malloy. – Imię jest tak interesujące, że miałem nadzieję, iż kryje się za nim prawdę interesujący oszust.

– Och, on jest niezwykle interesujący – potwierdził Dziadek Mróz. – Mógłbym o nim opowiadać bez przerwy.

– Tak, będziesz mi musiał opowiedzieć wszystkie historyjki, tylko później.

– Z przyjemnością zrobię to teraz.

– Nie sędzę – powiedział Malloy, a jego wzrok powędrował przez całe kasyno w stronę potężnego mężczyzny, który zbliżał się do nich. – Nadchodzi nasz pan i władca. Twoja opowieść będzie musiała poczekać.

– To jest Markiz?

– Duży, prawda?

Markiz Queensbury podszedł do stołu.

– Witaj Egzekutorze – powiedział. – Słyszałem, że miałeś mały problem.

– Żadnego – odpowiedział Nighthawk.

– Ty dupku, zastrzeliłeś nie tego człowieka! – ryknął Markiz.

– Nikogo nie zastrzeliłem – a poza tym, on nie był człowiekiem, tylko obcym.

– Mnie interesuje tylko fakt, że kazałem mu mieć

cię na oku, i nagle on jest martwy, a statek Dziadka Mrozą całkiem pusty, ty zaś siedzisz tu z kimś, kogo nie znam, a także z jakimś idiotycznym zwierzakiem i mówisz, że wszystko jest w porządku!

– Mam całutki skarb Dziadka Mrozą na moim statku – powiedział Nighthawk.

– O? – powiedział tylko Markiz, zdumiony. – Zabiłeś go?

– Prawdę mówiąc, nie.

– Chcesz powiedzieć, że pozwolił ci opróżnić swój statek i przenieść wszystko na twój?

– Nie – odezwał się Nighthawk.

– Wiedziałem.

– Pomógł mi to zrobić – dokończył Nighthawk.

Markiz spojrział na Nighthawka i jego towarzysza.

– Dziadek Mróz, jak sądzę?

– Dobrze sądzisz, wyobraź sobie: pięćdziesiąt procent za przywilej kupienia paliwa.

– Co tu robisz?

– Chciałem się przekonać, co za złodziej okrada swych braci złodziei.

– Patrzysz na niego – powiedział Markiz bez cienia zażenowania. – A ja spoglądam na człowieka, który ograbia tych religijnych. Który z nas, jak sądzisz, ma więcej przewinień zapisanych w Księdze Przeznaczenia?

– Szlibyśmy zapewne łeb w łeb.

– Z łatwością byś wygrał – powiedział Markiz pewnie.

– Tak, jeśli napisana by była przez tych samych

hipokrytów, którzy napisali Biblię i nabożeństwa kościelne. Na szczęście nie mówią w imieniu Boga.

– A ty mówisz?

– Bóg nie potrzebuje mojej pomocy. Ja działałam w zastępstwie. Jestem środkiem tymczasowym, aż do chwili, kiedy On zrówna z ziemią wszystkie świątynie.

– Świątynie? Myślałem, że rabujesz tylko kościoły?

– Poetycki ozdobnik – odparł Dziadek Mróz. – Właściwie, to ograbiam wszystkie instytucje religijne, jakie napotkam na drodze – przyznał.

– Wiem, ale tu dochodzimy do poważnego problemu etycznego.

– Tak?

Markiz skinął głową.

– Nigdy nie powstrzymałem cię, chociaż grabiłeś kościoły, należące do moich światów. Nigdy nie tknąłem cię choćby palcem. Ale nadużyłeś mojej gościnności, wykorzystałeś ją na Aladynie. Nie zapłaciłeś. A jeden z moich najbardziej zaufanych pracowników nie żyje. Do diabła, widzę, że przekupiłeś nawet Egzekutora! – Wydał z siebie udawane teatralne westchnienie. – Co mam teraz z tobą zrobić?

– No cóż, zdaje mi się, że masz trzy wyjścia – odpowiedział tamten. – Po pierwsze, możesz mnie zabić. Poczulbyś się znacznie lepiej. Ale chyba nieuczciwe byłoby nie zawiadomić cię, że cały ładunek, złożony na statku Nighthawka, jest zabezpieczony kodami. Jeśli ich nie znasz, a będziesz próbował ruszyć choćby jedną maleńką cząstkę łupu, wysadziš wszystko w po-

wietrze. Po drugie, możesz mnie puścić, tylko że ja nie chcę nigdzie iść i zapewne nie skorzystałbym z tej sposobności.

Markiz przyglądał mu się bardziej ubawiony niż rozgniewany.

– A trzecie wyjście?

– Po trzecie możesz ruszyć głową i zaproponować, abyśmy zostali partnerami. Na Granicy są tysiące kościołów, a w Oligarchii miliony. Możemy umrzeć ze starości, zanim splądrujemy choćby dwa procent ich wszystkich.

– Dlaczego miałbym chcieć rabować kościoły? – spytał Markiz.

– Ponieważ jesteś człowiekiem bez żadnych skrupułów, a na tym można zarobić fortunę – odpowiedział Dziadek Mróz.

– Jestem już w posiadaniu jedenastu światów, a moje wpływy sięgają innych dwudziestu. To daje trzydzieści jeden światów pod moją i niczyją więcej kontrolą. Dlaczego miałbym mieć partnera?

– Ponieważ chcesz tego, czego chce każdy skorpumpowany człowiek.

– Czyli?

– Więcej – powiedział Dziadek Mróz.

– To prawda – przyznał Markiz. – Ale jeśli ograbianie kościołów nie uczyni mnie mniej zdemoralizowanym, to zawsze będę chciał więcej.

– Zawsze będziesz – zgodził się Dziadek Mróz. – To właśnie dlatego tacy jak my nigdy nie przechodzą na emeryturę.

- I rabujesz tylko kościoły?
- A kto inny wybaczałby ci winy i modlił się za twoją duszę?
- Czyżbym słyszał nutę cynizmu? – spytał Markiz z uśmiechem.
- Ależ skąd – powiedział szczerze Dziadek Mróz. – Na Ziemi (splądrowałem tam kilka kościołów, wliczając w to Notre Dame i Watykan) żyje pewien gatunek owadów: mrówki. Mieszkają w koloniach i są bardzo pracowite. Budują małe kopczyki, skomplikowane systemy korytarzy podziemnych, komory, w których przechowują larwy czy żywność. Zabiera im to dni, czasem tygodnie, budowanie tych kopców... a jednak w sekundę można je zniszczyć czubkiem buta. I wiesz, co mrówki wtedy robią?
- Atakują?
- Nie – odparł Dziadek Mróz. – Zaczynają odbudowywać swój kopiec.
- I powiadasz, że kościoły są jak te kopce mrówek?
- Tylko pod tym względem: nie chcą się mścić, kiedy już je splądrujesz. Naprawiają szkody pracowicie jak mrówki. Sprzeciwiałoby się ich filozofii winić mnie. Wolały myśleć, że jestem posłańcem bożym, który przybył tu, aby ukarać ich za grzechy. Miałyby więcej sensu, gdyby uważali mnie za wcielenie diabła, ale oni tak naprawdę nie chcą w niego wierzyć. Łatwiej jest winić za to Boga, a nie ich własne grzechy, z których powodu robię to, co robię. A kiedy nawiedza ich klęska, mam na myśli siebie, zabierają się do mozolnej pracy



jak mrówki, abym znów mógł ich kiedyś obrabować.

Nagle na twarzy Markiza pojawił się szeroki uśmiech.

– Podobasz mi się! – wykrzyknął.

– Dlaczego miałbym ci się nie spodobać? Naprawdę daję się lubić.

– Myślę, że się dogadamy.

– Zapewnij mi wolny przejazd, azyl, a ja dam ci dwadzieścia procent – powiedział Dziadek Mróz.

Markiz zepchnął Malloya z krzesła.

– Idź się przejść – powiedział. – Mamy zamiar pogadać o interesach.

Obrażony Malloy podniósł się i wyszedł.

Markiz zwrócił się do gościa.

– Dwadzieścia procent to suma, o której nie warto nawet rozmawiać – powiedział. – Wysłuchaj teraz mojej propozycji, przyjacielu. Ty mi powiesz, jakie światy zamierzasz nawiedzić. Ja zaopatrzę cię w tyle prochu, ile będziesz potrzebował, i zapewnię ci bezpieczny raj w każdym ze światów, które mi podlegają, za – powiedzmy – połowę?

– Myślałem, że pięćdziesiąt procent to suma, jakiej żądasz tylko wtedy, gdy coś wymuszasz, a nie możliwie najkorzystniejsza oferta dla twoich partnerów – odezwał się Dziadek Mróz. – Zgodzę się na to, co zaproponowałeś, za, powiedzmy, jedną czwartą?

Markiz obrócił się do Nighthawka.

– Naprawdę go lubię. – Odwrócił się do Dziadka Mrozą. – Naprawdę tak bardzo cię lubię, że pójdę na to za jedną trzecią.

– To kochaj mnie trochę mniej za... trzydzieści procent – odrzekł Dziadek Mróz z uśmiechem.

– A, do licha! Czemu nie? – odezwał się Markiz, wyciągnął swą ogromną dłoń do Dziadka Mrozą i uściśnął jego, o wiele mniejszą.

– Umowa stoi.

– Miło się z tobą robi interesy – powiedział Dziadek Mróz. – Myślę, że trzeba to oblać. Napiłbym się twojego najlepszego cygnijskiego koniaku.

– Zaraz przyniosę go z baru – powiedział Markiz, wstając.

Po chwili wrócił, niosąc butelkę i szklanki o dziwacznych kształtach na lśniącej tacy. Otworzył zamasyście butelkę i napełnił szklanki, nie przejmując się faktem, iż rozlewa część bezcennego płynu na tacę i stół.

– Za przyjaźń, partnerstwo i sukces – powiedział głośno.

– Za przyjaźń, partnerstwo i sukces – zawtórował Dziadek Mróz.

– I za śmierć – dodał Nighthawk.

– Śmierć? – powtórzył Markiz, zaciekawiony.

– W naszym biznesie jak inaczej wiedziałbyś, że odnosisz sukces? – zapytał Nighthawk.

– To prawda – zgodził się Markiz po chwili zastanowienia. – Za śmierć!

– Niech najpierw nawiedza naszych wrogów, a nas nigdy – wznosił toast Dziadek Mróz.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze, pomyślał Nighthawk, ten toast może się spełnić.



## Rozdział 15

Nighthawk siedział przy barze obok Jaszczura Malloya, gapiąc się jak urzeczony na Perłę z Marakai-bo. Przed nim stał nietknięty trunek, a zapomniane cygaro dawno już zgasło. Święty Toczek spoczywał w całkowitym bezruchu na kontuarze o cal od lewej dłoni swojego towarzysza.

Dziadek Mróz wszedł właśnie do kasyna i – spostrzegłszy Nighthawka – podszedł do niego. Spojrzał na niebieskie niemal nagie ciało, które poruszało się zmysłowo falującymi ruchami i na znudzoną minę, jaką w chwili wykonywania swojego tańca miała tancerka. Odwrócił się w stronę Nighthawka.

– Zamknij buzię – powiedział – nigdy nie wiadomo, co może do niej wlecieć.

– Cicho! – odpowiedział Nighthawk, nie spuszczać wzroku z tańczącej dziewczyny.

– Chcę ci tylko pomóc – odparł Dziadek Mróz, wzruszając ramionami. Pozdrowił Malloya, zaczął chwilę na swojego drinka, upił trochę i wyciągnął dłoń, aby pogłaskać Toczka. Stworzonko pozwoliło mu się dotknąć, ale odmówiło okazania jakichkolwiek reakcji na tę pieśczętę, nie zamruczało ani nie przysunęło się bliżej.

Wreszcie przedstawienie dobiegło końca i Melisanda znikła za sceną.

– Nigdy mi nie przeszkadzaj, kiedy na nią patrzę – powiedział w końcu Nighthawk, odwracając się do Dziadka Mroza.

– Nie zniknie, nawet jeśli odwrócisz się, aby powiedzieć „Jak się masz?” do przyjaciela – odpowiedział Dziadek Mróz. Wstał. – Chodź, przejdziemy do „gabinetu” w głębi sali, mam dosyć tego stołka barowego. Jestem starym człowiekiem, dokuczają mi bóle i łamanie w krzyżu.

Nighthawk i Malloy, wzięwszy swoje kieliszki, podążyli za nim. Toczek ćwierknął dwa razy, po czym zeskoczył na podłogę i dołączył do nich. Kiedy doszli do „gabinetu” i mieli właśnie siadać, zwierzątko usadowiło się na bucie Nighthawka.

– Mnóstwo czasu spędzasz, gapiąc się na nią – zauważył Dziadek Mróz.

– Co ci do tego?

– On się zakochał – powiedział Malloy z uśmiechem.

– A może jednak któryś z was ma mi coś ciekawego do powiedzenia? – zapytał w końcu zniecierpliwiony chłopak.

– Jeśli chodzi o ścisłość, to i owszem – odparł Dziadek Mróz. – Wiesz, nawet mając rzeczywiste dwadzieścia kilka lat, byłbyś jeszcze bardzo zielony, a tak się składa, że wiem, iż nie masz nawet tyłu.

– Do rzeczy.

– A więc rzecz w tym, mój młody przyjacielu, że tkwisz w sidłach pierwszej miłości. Na pewno nie będziesz chciał o tym słyszeć ale, zaufaj mi, wyjdiesz z tego.

– Nie chcę z tego wychodzić.

Malloy wyszczerzył się.

- Nigdy nie chcą.
- Słuchaj, wiem, że nie uwierzysz, ale dziewczyn takich jak ona jest na pęczki. Każde miasto handlowe ma ich setki.
- Nie ma drugiej takiej jak ona! – krzyknął Nighthawk.
- Ona to po prostu dwa „K”: kasa i kłopoty.
- Uważaj na to, co mówisz – powiedział Nighthawk groźnie. – Może i jesteś przyjacielem, ale nawet dla przyjaciół są granice tolerancji.
- Posłuchaj, co do ciebie mówi – poradził Malloy, rozdrażniając tylko Nighthawka. – Może o tym nie wiesz, ale są kobiety jeszcze bardziej od niej atrakcyjne.
- I mnóstwo takich, które są jeszcze mniej godne zaufania – dodał Dziadek Mróz.
- Co masz na myśli? – zapytał Nighthawk.
- Już widziałem takie kobiety i znam ten typ. Przyciąga je władza i siła, tak samo jak ciebie pociąga ta niebieskoskóra dziewczyna.
- A więc udowodnię, że jestem silniejszy od niego.
- Nie rozumiesz. Powiedziałem władza, a nie siła fizyczna. Jeśli nie Markiz, to będzie to jakiś milioner, polityk lub ktoś podobny. Ale nigdy taki outsider jak ty czy ja.
- Mylisz się – powiedział Nighthawk. – Mogę sprawić, że przestanie być obojętna.
- Jak? Zabijając jej protektora?
- O, zachwyciłoby ją to – odezwał się Malloy z

sardonicznym uśmiechem.

– Ja mogę chronić ją lepiej niż on.

– Przed przestępcami tak, przed kryzysami gospodarczymi, śmiem wątpić – Dziadek Mróz urwał. – Zostaw ją w spokoju, Jeffersonie. Wszystko, czym jest i czym może tylko być, to kłopoty. Uwierz mi, bo jestem bezstronny.

– Nie rozumiesz, ja ją kocham!

– Żyjesz zaledwie cztery miesiące, a już znalazłeś jedyną kobietę w całej galaktyce, jaką możesz pokochać? – zachichotał Malloy.

– Czy nie wydaje ci się to troszkę na wyrost, nawet jak dla ciebie? – dodał Dziadek Mróz.

– Ona jest wszystkim, czego pragnę.

– Wiem. Sugeruję tylko, że ty nie jesteś wszystkim, czego chce ona.

– A co wy o tym możecie wiedzieć? – wykrzyknął Nighthawk. – On jest odpychającą kreaturą, a ty pomarszczonym starcem. Kiedy kogokolwiek kochaliście?

– Myślisz, że siwe włosy i zmarszczki mogą powstrzymać przed zakochaniem się? – zapytał Dziadek Mróz z uśmiechem. – To, że nie podobasz się dwudziestoletnim pannom na wydaniu, nie znaczy, że one nie podobają się tobie. – Urwał. – Ale jeśli wiek uczyni cię choć trochę mądrzejszym, będziesz wiedział, że jest duża różnica między pożądaniem ich, co jest dopuszczalne, a kochaniem, co należy czynić roztropnie. Szczególnie, gdy masz tylu wrogów co ja, lub gdy będziesz ich miał, jeśli dożyjesz mego wieku.

– Przyszedłeś tu z hotelu tylko po to, aby wygłosić wykład na temat kobiet? – spytał Nighthawk.

– Nie, chociaż to oczywiste, że bardzo go potrzebujesz – powiedział Dziadek Mróz. Urwał i spojrzał na Malloya. – Myślę, że już czas omówić nasze następne posunięcie.

Nighthawk odwrócił się do Malloya.

– Idź i zamów sobie coś. Ja stawiam.

– Niech to diabli! – rzucił Malloy. – Mam już dosyć tego ciągłego spławiania mnie przez wszystkich.

– Mam do omówienia ważną sprawę.

– Myślisz, że to miejsce nie jest najeżone plu-skawami? Nie ograniczają się tylko do podsłuchu, mają też i wizję. No i nagrywają wszystko, co tylko Markiz zechciałby później przesłuchać.

– Idź już sobie.

– Ale z ciebie pieprzony przyjaciel, nie ma co – wymamrotał Malloy.

Nighthawk popatrzył na niego chłodno.

– Od tej pory już cię nie chronię. Nie mamy już żadnych długów wdzięczności wobec siebie.

– Wielkie rzeczy. Oddaje mi moje życie. Alleluja! – Malloy popatrzył na niego z wściekłością. – Jak długo należało do ciebie, ludzie zostawiali mnie w spokoju. Jeżeli rozejdzie się, że już do ciebie nie należę, to mam przed sobą trzy godziny życia, a i to w najlepszym razie.

– Idź już – powtórzył Nighthawk. – Rozbolała mnie głowa od tych twoich pokrętnych tłumaczeń.

– Ale wciąż jestem pod twoją opieką? – upewniał



się Malloy.

- Jeśli to cię uspokoi.
- Z pewnością.
- Świetnie, a teraz spadaj.
- Ale jeśli należę do ciebie, to nie powinieneś mieć przede mną żadnych tajemnic.

Nighthawk wyciągnął pistolet i przytknął go do czubka skórzastego nosa Malloya.

– Widzisz? – wykrzyknął Malloy. – Widzisz? Wiedziałem, że zamieniłeś mnie na tego futrzaka.

– Toczek zawsze milczy i nie daje niechcianych rad. To więcej, niż mogę powiedzieć o pewnym karłowatym hazardziście.

– W porządku, już idę, idę – powiedział Malloy – ale pewnego dnia pożałujesz, że nie byłeś dla mnie miłszy.

– Uratowałem ci życie. Jak bardziej jeszcze „miły” mogę dla ciebie być?

– Zobaczysz jeszcze – mruknął Malloy, oddalając się w kierunku baru.

– Wiesz, że on ma rację – odezwał się Dziadek Mróz.

– Mówisz mi najpierw, żeby ją rzucić, a teraz, że mam być miłszy dla niego?

– Nie – odparł Dziadek Mróz. – Mam na myśli to miejsce. Na pewno jest podsłuch.

– Chcesz pogadać na zewnątrz?

Dziadek Mróz rozważał to przez chwilę, a potem pokręcił głową.

– Nie, myślę, że wszystko, co mamy do powiedze-

nia, może być powiedziane przy Markizie.

– W porządku. Mów.

– Musimy poważnie pogadać o przyszłości, Jeffersonie – powiedział starszy mężczyzna.

– Myślałem, że taką rozmowę już odbyliśmy lecąc z Aladyna.

– To było wtedy. Teraz jest teraz.

– A co się zmieniło? – zapytał Nighthawk.

– Mam złe przeczucie – odparł Dziadek Mróz. – Markiz zbyt gorliwie wybaczył ci niewypełnienie twojego zadania.

– Przywiozłem cię, to nawet lepiej.

– Wiem, że masz jeszcze przed sobą całe życie, ale uwierz mi: wyjęci spod prawa żyją chwilą obecną. Mógł ostatecznie chcieć się ze mną zadawać, ale to, że nie zagrabił najpierw złota i obrazów Mority, nie ma żadnego sensu. Żaden gangster będący przy władzy tak nie postępuje. Mnie opłaca się z nim współpracować, ale jaki on ma w tym interes? Nie utrzyma się długo przy władzy, jeśli pozwoli, aby ludzie w ten sposób podrywali jego autorytet. Do diabła, to praktycznie zachęca jego popleczników do zrobienia głupiego kawału – zabrania łupu, a następnie do renegocjowania warunków umowy. Ja nigdy bym na to nie pozwolił, więc i on nie powinien.

– Ale zrobił to.

– Właśnie dlatego czuję się nieswojo.

– Co nim kierowało?

– Nie mogę tego wykombinować. Wiem tylko, że nie ma to nic wspólnego ze mną.

- Dlaczego nie? – spytał Nighthawk.
- Ponieważ plany, które zrobiłem przed spotkaniem go, nie zmieniły się ani na jotę.
- Jeśli więc nie ty, to kto?
- Ty, oczywiście – odparł Dziadek Mróz. – Właśnie ty sprzeciwiłeś się jego rozkazom i nawet jeśli nie zabiłeś jego szpiega, to także nie zrobiłeś nic, by go uratować. A więc muszę postawić pytanie: Dlaczego jeszcze żyjesz? Przecież on się ciebie nie boi. Ktoś taki jak Markiz może po prostu zdmuchnąć cię, od tak, jak się to robi z zapalką. Nie okazuje altruizmu, bo altruizm jest dla takich ludzi czymś w ogóle nieznanym. Nie wybaczył ci złamania rozkazu, ale zdecydował, że to zignoruje. Dlaczego? Dlaczego czteromiesięczny klon staje się jego zastępcą?

Nighthawk rozważał w myślach słowa Dziadka Mrozą.

- Nie wiem – przyznał w końcu.
- Ani ja – powiedział Dziadek Mróz. – Ale musi być jakiś powód. – Urwał. – Dlaczego się tu znalazłeś?
- Już ci mówiłem, to część misji.
- Dobra, to część misji. Kto cię tu przysłał?
- Marcus Dinnisen, adwokat Egzekutora na De-  
lurosie VIII – odpowiedział Nighthawk.
- Wysłał cię na Tundrę?
- Nie, wysłał mnie na Wewnętrzną Granicę. Tu przysłał mnie człowiek zwany Hernandezem.
- Jaki on ma związek z tobą?
- Opracował projekt stworzenia mnie.
- Interesujące.

– Naprawdę?

– I frustrujące – powiedział Dziadek Mróz. – Nie wiemy wystarczająco dużo. A nawet jeśli, to jeszcze nie potrafimy dostrzec tego, co istotne.

– To ty masz złe przeczucia – odrzekł Nighthawk.  
– Ciągłe nie mogę zrozumieć, dlaczego.

– Tu się coś dzieje. Coś, co sięga nawet do Solio H, a nawet może do Delurosa. Myślę, że lepiej byłoby, gdybyśmy się stąd wynieśli, póki sprawy nie przyjęły złego obrotu. Bo jednak coś tu śmierdzi.

Nighthawk rozejrzał się po sali, a jego wzrok spoczął na Malloyu, który siedział przy barze, i przypomniał sobie słowa małego człowieczka.

– Jesteś pewien, że chcesz mówić o tym wszystkim, wiedząc, że Markiz będzie prawdopodobnie podsłuchiwał?

– A jaką to robi różnicę? – odrzekł Dziadek Mróz.  
– Jeśli zechcesz polecieć ze mną, to będziemy daleko, nim zdąży nas zatrzymać. Jeśli zostaniesz, będzie miał pewność, że żadne moje argumenty nie zdołają przekonać cię, aby go opuścić.

– A jeśli ja bym został, a ty byś wyjechał, czy to by go nie obeszło? – zapytał Nighthawk.

– Zapewne, dlatego nic podobnego się nie stanie.

– Chyba nie nadażam.

– Malloy nie jest głupi – powiedział Dziadek Mróz.  
– Jedyne, co trzyma go przy życiu, to ty. Ja też planuję zdać się pod twoją opiekę.

– To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem – odparł Nighthawk. – Dlaczego miałbyś zrobić coś

takiego?

– Proponuję uczciwy handel – powiedział Dziadek Mróz. – Jesteś jedyną osobą na tym świecie, która może mnie i mój skarb ochronić przed Markizem. A ja jestem jedyną osobą na tym świecie, która była wobec ciebie uczciwa i starała się odwieźć cię od zrobienia strasznych głupstw i która pozostała przy tobie nawet wtedy, gdy je robiłeś. W galaktyce jest się bez przyjaciół i bardzo samotnym. Mój cel to zostać twoim przyjacielem, i zrobię wszystko, co powinien zrobić przyjaciel, ale moja cena jest wysoka: moje życie. Twoim zadaniem będzie je chronić. – Wyciągnął dłoń. – Zgoda?

– Chcesz wiele za swoją przyjaźń – powiedział Nighthawk, patrząc na dłoń starszego mężczyzny.

– Jeśli masz lepszą ofertę, to ją przyjmij.

Nighthawk patrzył jeszcze przez chwilę na Dziadka Mroza, a później wyciągnął do niego rękę.

– Świetnie – powiedział stary. – Teraz albo obaj zostajemy, albo obaj lecimy.

– Donikąd się nie wybieram – powiedział Nighthawk. – Nie bez niej.

– To może zabierzemy ją ze sobą?

– Porwać ją? Markiz wysłałby dwustu ludzi, zanim udałoby się nam opuścić system.

– Przeceniasz głębię jego uczuć do kogokolwiek poza nim samym – odparł Dziadek Mróz. – Nie stałby się tym, czym jest, gdyby wiązał się głębokim uczuciem i na trwałe z każdą tancerką, jaka mu się trafia. – Urwał znacząco. – Ale na pewno byłoby to niezłe upokorzenie i musiałby coś zrobić, chcąc odzyskać

honor. Nie, lepiej by było po prostu namówić wszystkich.

– Wszystkich?

– Nawet Markiza.

– Co by komukolwiek z tego przyszło? – spytał Nighthawk.

– Bardzo dużo. – DelurosVIII?

Dziadek Mróz skinał głową.

– Stolica rodzaju ludzkiego.

– Ale to o pół galaktyki stąd.

– Ale jest tam mnóstwo kościołów, no i Egzekutor.

– W jaki sposób przekonamy ich, by z nami polecieli?

– Znajdziemy coś, czego on pragnie – powiedział Dziadek Mróz. – Coś, czemu nie będzie się w stanie oprzeć.

– Na przykład?

– Nie mam pojęcia – odrzekł Dziadek Mróz – ale przemyślę tę sprawę.

– Będzie wiedział, że wymyślisz jakiś powód – zauważył Nighthawk – zapewne już wie.

– Jeśli powód jest dobry, to i tak poleci – odpowiedział Dziadek Mróz.

– A jeśli nie będzie dość dobry?

– Wtedy – powiedział starszy mężczyzna – będziesz musiał udowodnić swoją przyjaźń do mnie.

## Rozdział 16

Dziadek Mróz wszedł do kasyna, dostrzegł Nighthawka siedzącego samotnie przy stoliku, podszedł do niego i powiedział, żeby wkładał swój kombinezon.

– O co chodzi?

– Wyglądasz jak ktoś, komu przydałoby się trochę ruchu – powiedział starszy mężczyzna. – Spacer dobrze ci zrobi.

– Tu mi jest bardzo dobrze.

– Zrób, o co proszę.

Nighthawk popatrzył na niego z zaciekawieniem, później wzruszył ramionami, wszedł do śluzy powietrznej i wślizgnął w swój kombinezon. Następnie razem z Dziadkiem Mrozem wyszli na obludzone ulice. Na zewnątrz kilka robotów uprzętało śnieg. Gdzieś widać było mężczyzn, przemykających od jednego do drugiego budynku; gdyby nie to, miasto wyglądałoby na wymarłe.

– Jaka częstotliwość? – powiedział bezgłośnie Nighthawk, poruszając tylko wargami.

Dziadek Mróz zasygnalizował palcami, że 4748.

– W porządku – zasygnalizował Nighthawk, dostrajając. – Słyszysz mnie?

– Tak jak i wszyscy pozostali.

– Pozwól, niech to sprawdzę – powiedział Nighthawk. – Mam bardzo dobre radio. Mów coś, ale nic ważnego.

– Co za piękny poranek – odezwał się Dziadek Mróz. – Przypomina te, które pamiętam z chłopięcych

lat.

– Wystarczy – powiedział Nighthawk. – Nie jesteśmy przez nikogo namierzeni.

– Właściwie – ciągnął Dziadek Mróz – dorastałem na pięknej rolniczej planecie, pokrytej jak okiem sięgnąć falującymi łanami zmutowanej pszenicy. Nie cierpię śniegu.

– Jeśli wyciągnąłeś mnie tu, aby opowiadać mi o swoim dzieciństwie, wracam do środka – powiedział Nighthawk.

– W zasadzie wyciągnąłem cię tutaj, żeby porozmawiać o pułkowniku Hernandezie.

– O Hernandezie? – powtórzył Nighthawk. – Więc po co ta konspiracja? Trzy dni temu nie przeszkadzał ci podsłuch.

– To było wtedy. Dzisiaj to dzisiaj.

– W porządku – zgodził się Nighthawk. – Co ma pułkownik wspólnego z czymkolwiek?

– Więcej, niż możesz to sobie wyobrazić – odparł Dziadek Mróz. – Jak myślisz, dlaczego cię tu wysłał?

– Abym dowiedział się, kto zabił gubernatora Trelaine'a, i kogo należy oddać w ręce sprawiedliwości.

– Gówna prawda.

– Tak? A z czego to wnosisz, jeśli można wiedzieć?

– On doskonale wie, kto zabił Trelaine'a – odezwał się Dziadek Mróz, kiedy stąpali po oblodzonej powierzchni Klondike.

– Dobra, więc kto go zabił?

– Markiz, oczywiście.



– Tylko spekulujesz.  
– Nie spekuluję, dzieciaku. Mówię ci, że jesteś tu po to, aby zabić Markiza.

Nighthawk wpatrywał się w niego.

– Za chwilę zapewne powiesz mi, jak to wszystko wykombinowałeś.

– Zrobiłem jedynie to, co i ty byś zrobił, gdybyś miał więcej doświadczenia – odpowiedział Dziadek Mróz. – Dwa dni temu wpłaciłem pokaźną sumę, aby podłączyć mój komputer do Głównego Komputera na Delurosie VIII.

– I?

– I kazałem znaleźć wszystko, co się da, na temat Markiza Queensbury. Zajęło to sporo czasu, bo nie mogłem dostarczyć komputerowi ani hologramu, ani danych jego siatkówki. Z tego względu aż do wczorajszego wieczora szukaliśmy po omacku. Potem udało mi się zwinąć kufel z jego odciskami palców.

– I co powiedział Komputer Główny?

– Naprawdę nazywa się Alberto da Silva. Miał też parę innych imion, zanim został Markizem Queensbury.

– W porządku, miał parę innych imion i co z tego?

– Miał również inne zajęcia – odrzekł Dziadek Mróz. – Jego ostatnim była praca dla pułkownika Hernandeza jako niezależny cyngiel.

– Niezależny cyngiel?

– Zabijał wrogów Hernandeza, a ten w zamian przymykał oczy, kiedy on plądrował Solio II.

Nighthawk zmarszczył brwi.

– Ależ to nie ma żadnego sensu. Jeśli Hernandez wynajął go, aby zabił Trelaine’a, dlaczego chce teraz jego śmierci?

– W tym miejscu kończą się fakty i zaczyna moja hipoteza. Ale posłuchaj mnie przez chwilę, bo myślę, że to ma sens.

– Słucham uważnie.

Dziadek Mróz spojrział uważnie w oczy Nighthawka i powiedział:

– A co, jeśli ktoś widział, jak Markiz pociąga za spust? Jakaś znaczna persona, jeden z szacownych obywateli Solio II? Nie zapominaj, że – chociaż Trelaine został zamordowany w operze – był tam, aby pogodzić dwie skłócone frakcje swej partii. Oczywiście nasz obywatel podjął natychmiastowe kroki, aby ochronić swoją osobę. Wynajął prawdopodobnie ochroniarzy i na wypadek gdyby coś mu się przydarzyło, polecił swojemu komputerowi rozesłać prawdę o zamachu do każdego serwisu informacyjnego w sektorze.

– Dobra, kupuję to – powiedział Nighthawk. – I co dalej?

– Teraz, gdy nasz bohater czuje się już bezpieczny, podchodzi do Hernandeza i mówi: „To twój człowiek zabił Trelaine’a. Myślę, że chcesz przejąć władzę na Solio II”. Hernandez oczywiście zaprzecza, bo co też u diabła mógłby innego zrobić.

– Jak dotąd nieźle, no i co dalej?

– Dobra. Obywatel mówi do Hernandeza: „Udowodnij mi, że jesteś niewinny. Aresztuj Markiza, a

uwierzę, że mówisz prawdę. W przeciwnym razie będziesz wisiał tak samo jak on”. I może nawet daje mu termin, powiedzmy sześć standardowych miesięcy, rok lub coś w tym rodzaju. Teraz Hernandez nie może po prostu wezwać Markiza i zastrzelić go. Markiz cieszy się pewną reputacją. Jeśli zbyt łatwo będzie mu go ściągnąć, to znaczy, że wciąż jest podejrzany. A więc zamiast tego wynajmuje łowcę nagród. I nie po prostu pierwszego lepszego łowcę nagród, ale najlepszego, jaki kiedykolwiek się urodził.

– Na Granicy jest mnóstwo dobrych łowców – powiedział Nighthawk. – Dlaczego właśnie ja?

– Ponieważ mógł liczyć na to, że nie tyle sprowadzisz Markiza, co zabijesz go.

-Ale...

– Przypomnij sobie swoje spotkanie z Hernandezem. Założę się, że powiedział, abyś rozwalił Markiza, jak tylko go zobaczysz.

– Coś w tym rodzaju – przyznał Nighthawk niechętnie.

– Nie pojmujesz? On wyraźnie zażyczył sobie właśnie ciebie, bo w przeciwieństwie do twojego imiennika nie masz żadnego doświadczenia. Nie dostrzegasz i nie rozumiesz niuansów. Nigdy by ci się nie udało wykombinować, o co w tym wszystkim chodzi. Potrafisz tylko zabijać i na to właśnie liczył Hernandez.

– Jednak wcześniej czy później załapałbym, co jest grane – odparł Nighthawk. – I wtedy tak samo zagrażałbym pułkownikowi jak Markiz.

– On pewnie liczy na to, że ludzie Markiza zabiją cię, zanim zdążysz opuścić planetę. I jestem pewien, że zamienił swoje biuro w śmiertelną pułapkę na wypadek, gdyby jednak ludzie Markiza zawiedli. – Dziadek Mróz umilkł na dłuższą chwilę, po czym wzruszył ramionami. – Bez wątpienia przeznaczył ci śmierć na Solio. A jeśli nie...

Niedokończone słowa zawisły w powietrzu.

– A jeśli nie, to obmyślił to sobie w ten sposób, że „zwolnią” mnie ze służby na Delurosie.

– Jesteś wyrafinowaną maszyną do zabijania, dzieciaku – powiedział Dziadek Mróz. – I kiedy odwalisz swoją robotę, nie będziesz już nikomu potrzebny. Staniesz się jednocześnie zbyt niebezpieczny.

Nighthawk stał bez ruchu nic nie mówiąc. Przez chwilę rozważał słowa starszego mężczyzny.

– Tak, to ma sens – powiedział chłodno. W jego głosie nie można było wyczuć żadnych emocji.

– To są moje domysły – odezwał się Dziadek Mróz. – Może ludzie z Delurosa uścielą ci drogę płatkami róż i dadzą następne zlecenia. Może to nie Markiz pociągnął za spust. Może myślę się we wszystkim. – Uderzył się w brzuch. – Ale gdzieś tam w środku coś mi mówi, że prawda tak właśnie wygląda.

Nighthawk stłumił w sobie gniew za to, że został wykorzystany. Jego twarz przypominała maskę bez wyrazu.

– Bo tak to właśnie wygląda – powiedział wreszcie.

– A to prowokuje pytanie: co robimy?

– Jesteś prawdziwym myślicielem – odezwał się Nighthawk. – Co ci przychodzi do głowy?

– To samo, co przedtem: Wszyscy lecimy na Delurosa VIII. Ja rabuję parę kościołów, ty zabijasz prawdziwego Egzekutora, a Markiz... hm ciągle się nad tym zastanawiam...

– Mam pomysł.

– No, śmiało.

– A co, jeśli w wywiadzie Oligarchii znajduje się człowiek, który wie, że on był zabójcą. Ktoś, komu Hernandez zaufał. Czy Markiz nie chciałby właśnie jego zabić i pozbyć się tego, kto może na niego wskazać?

– Musiałby wierzyć, że ten ktoś nie zdążył jeszcze nikomu powiedzieć – odpowiedział Dziadek Mróz. – Nawet Markiz nie usiłowałby sprzątnąć całego biura wywiadowczego. A dlaczego w ogóle miałyby uwierzyć?

– Bo taki złotousty drań jak ty może przekonać go do wszystkiego – odpowiedział Nighthawk. – Dla przykładu: pierwszego dnia, kiedy tu przybyłem, zremisowałem walcząc z nim, niedługo zdołałem go pokonać i on o tym wie. Musisz go przekonać, że kiedy już zabiję oryginalnego Egzekutora, stanę się wolnym strzelcem i będę miał gdzieś poczynania jego czy Hernandezza. Wtedy podaj jakieś nazwisko z Delurosa VIII – prawdziwe czy zmyślane – i przekonaj go, że jeśli zabije tę osobę, zniknie ostatnie ogniwo łączące go z Hernandezem.

Dziadek Mróz pochylił głowę, rozważając pomysł Nighthawka. W końcu spojrział na niego.

– Wiesz, że to wcale niezłe. Zrobisz się naprawdę

przerażający, jeśli pozwolą ci pożyć ze dwadzieścia lat. Nie dziwota, że wciąż jeszcze opowiadają o Egzekutorze.

– Nie chcę o nim słyszeć – odezwał się Nighthawk z irytacją. – Jest po prostu zamrożonym starcem, który nigdy już się nie obudzi.

– On jest tobą, a ty nim, czy ci się to podoba, czy nie – powiedział Dziadek Mróz.

– Nie podoba mi się – odpowiedział Nighthawk – a jeśli jeszcze raz to powtórzysz, pożałujesz.

– Jak na czteromiesięcznego dzieciaka, masz już niezłe kompleksy.

– Pamiętaj, co powiedziałem.

– Będę pamiętał – odrzekł starszy człowiek. – Ale czasem jest mi bardzo ciężko być twoim przyjacielem.

– Jeszcze ciężiej być moim wrogiem.

– Miejmy nadzieję. – Dziadek Mróz skierował się w stronę kasyna. – Wracamy, czy masz jeszcze coś do powiedzenia, co nie powinno dotrzeć do uszu Markiza?

– Nie, myślę, że to już wszystko. – Nagle Nighthawk zatrzymał się. – Właściwie to jest jedna rzecz, którą należy rozważyć.

– Tak?

– Widzę, jak mamy dostać pozwolenie Markiza na wyjazd i jak zdołamy go przekonać, żeby jechał z nami, ale...

– Ale co?

– Jak już złupisz te twoje kościoły, a ja zabiję Egzekutora, co zrobimy z nim?

– No, to już w dużej mierze zależy od ciebie, nie

sądzisz? – odrzekł Dziadek Mróz.

– Tak – powiedział w zamyśleniu Nighthawk. – Tak, tak sądzę. Oczywiście, jeśli nie wróci, jeśli zostanie zabity podczas akcji...

– Nawet o niej nie myśl – powiedział Dziadek Mróz. – Zabijesz go, a ona ucieknie tak szybko, że nie zdążysz nawet odwrócić głowy.

– Będę miał tu wszelką władzę i potrafię zapewnić jej bezpieczeństwo. Zostanie.

– Nie ma mowy.

– Zobaczysz – powiedział Nighthawk. – Jestem młody, jeśli zostanie ze mną, będzie miała wszystko, co tylko zechce.

– Inni mogą jej to zapewnić znacznie szybciej – powiedział Dziadek Mróz. – Niektórzy już to zresztą zrobili. Ona należy do tych, co potrafią zwęszyć takich facetów z odległości dwóch tysięcy lat świetlnych.

– Czy ty w ogóle kiedykolwiek z nią rozmawiałeś? – domagał się Nighthawk odpowiedzi. – Co cię tak utwierdza w przekonaniu, że wszystko już o niej wiesz?

– Doświadczenie.

– Z nią nie miałeś żadnych doświadczeń, bo nie ma drugiej takiej jak ona.

– Niebieska skóra nie czyni jej wyjątkową.

– Nie chodzi o skórę – powiedział Nighthawk. – Ona jest doskonała.

– Synu, posłuchaj, co mówi mistrz. Nawet Bóg nie jest doskonały.

– Co ty wiesz o Bogu czy kobietach? – wykrzyk-

nał Nighthawk z irytacją. – Ciągłe tylko rabujesz Jego kościoły, a pomarszczony jesteś tak, że żadna kobieta nie spojrzałaby nawet na ciebie.

– Dziecko, gdybym był na sto procent pewien, że mnie nie rozwalisz, pokazałbym ci, jak szybko mogę mieć tę tancerkę u siebie w łóżku. – Westchnął. – Zostawmy to już. Zdecydowaliśmy, co zrobimy, tak?

– Tak.

– Więc zaczynamy przedstawienie. – Z tymi słowami odwrócił się i odszedł w stronę kasyna.



## Rozdział 17

– ”No więc gdzie on jest? – pytał Nighthawk, przechadzając się nerwowo tam i z powrotem po kabine kontrolnej swojego statku. Dziadek Mróz siedział w fotelu pasażerskim, podczas gdy Święty Toczek usadowił się na komputerze nawigacyjnym, mrużąc cichutko do siebie.

– Przyjdzie – zapewnił Dziadek Mróz.

– Jesteś pewien, że kupił tę twoją historyjkę?

– Jestem pewien.

– Więc dlaczego jeszcze go nie ma?

– Jest Markizem Queensbury i rządzi jedenastoma światami – odparł Dziadek Mróz. – Wolno mu się spóźnić dwadzieścia minut. Wie, że nie odlecisz bez niego.

Nighthawk zatrzymał się i spojrzał na starego.

– A co zrobimy, jeśli się nie pojawi? My już jesteśmy gotowi. Będzie cholernie głupio, jeśli okaże się, że trzeba zmienić zdanie, bo on nie przyszedł.

– Nie mam pojęcia, jak to się dzieje, że starzy ludzie, mający już przed sobą mało czasu, potrafią być cierpliwi, a tacy młodzi jak ty, przed którymi niemal setka lat życia, szaleją, kiedy muszą na kogoś chwilę poczekać.

– On wierzy, że ktoś z wywiadu może go rozpoznać i wskazać, tak?

– Tak. Wierzy w to.

– Gdybym to ja sądził, że ktoś może mnie wysadzić z siodła, to nie spóźniałbym się.

– I może właśnie dlatego on kieruje tym przedstawieniem, a nie ty – odrzekł Dziadek Mróz. – Masz coś przeciwko zmianie tematu?

– Mów sobie, co chcesz – odpowiedział z irytacją Nighthawk.

– Świetnie. Chętnie to uczynię. A ty martwisz się nie o to, o co powinieneś. Markiz przyjdzie, możesz być spokojny. Powinieneś się jednak zastanowić, w jaki sposób chcesz zabić Egzekutora.

– Bronią, nożem, gołymi rękami. Co to za różnica?

Dziadek Mróz potrząsnął głową.

– Chyba nie słuchasz, co do ciebie mówię. Jeśli zdołasz dotrzeć do lodówki, w której go trzymają, nie wątpię, że będziesz potrafił go zabić. Ale jedynie wielcy tego świata, ludzie bardzo bogaci mogą sobie pozwolić na, jak to się uczenie zwie, kriolityczną suspensję. Wprawdzie Egzekutor był zaledwie milionerem, kiedy zdecydował się na zamrożenie, ale leży obok miliardów, obok ludzi, którzy stworzyli imperia finansowe i mają wielką chęć jeszcze trochę nimi porządzić. Jednak do tego czasu muszą być absolutnie bezpieczni w swoim śnie. Kupili sobie to, płacąc olbrzymie sumy. Jak planujesz przejść obok tych wszystkich supernowoczesnych zabezpieczeń?

– Znajdę jakiś sposób.

– Czy pomyślałeś, że być może nie zdołasz przejść nawet przez odprawę na Dełurosie VIII? Jedyne, co musieliby zrobić, to zgłosić brak paszportu. Dasz im dysk identyfikacyjny, a on uruchomi setki

alarmów. Będziesz siedział w pudle do czasu, aż pojawi się ktoś, kto będzie mógł rozpoznać Jeffersona Nighthawka. A ten ktoś, wierz mi, przyjdzie ze spluwą.

– Dlaczego? – zapytał Nighthawk. – Nie będą wiedzieć, że przyleciałem, aby zabić Egzekutora.

– Nie muszą wcale wiedzieć, że przyleciałeś tam, aby go zabić – odparł Dziadek Mróz. – Wszystko, co potrzebują wiedzieć, to fakt, że stworzyli najgroźniejszego zabójcę galaktyki i kazali mu lecieć na Wewnętrzną Granicę, a on nagle sprzeciwił się ich rozkazom i wraca bez żadnego wcześniejszego ostrzeżenia. Kwestia utraty kontroli nad tobą przerazi ich bardziej niż to, że chcesz zabić Egzekutora.

– W porządku – powiedział Nighthawk – postaram się to przemyśleć. – Urwał. – A ty? Jesteś poszukiwany na kilkunastu planetach. Jak ty sobie poradzisz?

Dziadek Mróz uśmiechnął się.

– Ja nigdy nie wracam, więc to kwestia sporna.

– Ale nawet jeśli lecisz na nową planetę, muszą wiedzieć, kim jesteś i że jesteś poszukiwany.

– Przeważnie pozostaję w obrębie Granicy, a większość tamtejszych światów nie podpisało umowy o ekstradycję z Oligarchią. Do diabła, większość z nich nie ma w ogóle żadnych przepisów i praw.

– No dobrze, ale teraz wybierasz się do stolicy rasy ludzkiej – powiedział Nighthawk. – A więc jak ty zamierzasz przedostać się przez odprawę celną?

– Ile paszportów posiadasz? – zapytał Dziadek Mróz.

– Jeden.

– No tak. Ja mam ich piętnaście – odpowiedział starszy mężczyzna z triumfującym uśmiechem. – A z każdym z nich mógłbym spokojnie dostać się na Delurosa bez kłopotów z odprawą.

– Narzędzia pracy?

– Nawet prawdziwy Egzekutor musiał ich mieć wiele – powiedział Dziadek Mróz. – Nie ma sensu ogłaszać wszem i wobec, że przybywasz.

– Więc ja też będę ich potrzebował – powiedział Nighthawk. – Skąd je bierzesz?

– Falszerze są w całej galaktyce – odrzekł dziadek Mróz. – Po twojej robocie na Delurosie przedstawię cię kilku z nich.

– Komu? – zabrzmiał znajomy głos od strony wjazdu i zobaczyli Markiza Queensbury oraz Perłę z Marakaibo, którą obejmował ramieniem.

– A cóż ona tu robi? – zdziwił się Dziadek Mróz.

– Nigdy nie wyjeżdżam bez niezbędnych do życia rzeczy – przeczesał jej włosy palcami, które ześlizgły się w dół ku jej szyi i piersiom. Pocałował ją w ucho, a ona posłała szeroki uśmiech do Nighthawka.

– Jak się miewasz, Jeffersonie – odezwał się Markiz. – Co słychać?

Nighthawk zdał sobie nagle sprawę, że wpatruje się w niebieskoskórą dziewczynę. Nie miał pojęcia, jak zmienił się na twarzy, gdy Markiz pocałował Melisandę, ale zrozumiał, że napięcie, jakie zawisło w powietrzu, było niemal namacalne, gdyż Toczek przestał mruzczyć. Nagle jakby się ocknął.

– Spóźniłeś się – powiedział. – Chciałem lecieć już pół godziny temu.

– Twoja ofiara może zaczekać – odrzekł Markiz. – W tej chwili, zdaje się, nie ma poczucia czasu.

– Powinieneś był uprzedzić, że się spóźnisz – nie ustępował Nighthawk. – Tak nakazuje zwykła uprzejmość.

– To mój świat – powiedział Markiz. – I ja stawię tu prawa. – Spojrzał Nighthawkowi prosto w oczy. – A to znaczy, że zamierzałeś wylecieć za wcześnie.

Melisanda roześmiała się, nie spuszczać oczu z młodego człowieka.

– W porządku – powiedział Nighthawk. – A więc ruszajmy, jeśli teraz ci to odpowiada.

-Tak.

– Będzie nam ciasno. Nie wiedziałem, że będziemy mieli jeszcze jednego pasażera.

– Nie ma problemu – powiedział Markiz swobodnie. – Potrzeba będzie tylko trzech łóżek.

– Miałem na myśli tlen i żywność.

– Więc wylądujemy gdzieś po drodze i weźmiemy wszystko, czego nam trzeba.

– Na mostku jest miejsce dla trojga ludzi.

– To też nie stanowi problemu. Ona i ja będziemy dzielić kajutę kapitana. Ty możesz dzielić koję ze starym. – I zanim Nighthawk mógł zdobyć się na słowa protestu, dodał: – Zabierz ją na dół i pokaż jejabinę.

Kiedy go mijała, Nighthawk poczuł woń jej perfum. Było bardzo ciasno i musiała przeciskać się bokiem, idąc w stronę korytarza, który prowadził do ka-

jut. Wzięła głęboki wdech, a on nie mógł oprzeć się spojrzeniu w jej głęboko wycięty dekolt. Uśmiechnęła się i przeszła obok niego kocimi ruchami, a potem zwolniła nagle tak, że nie zdążył wyhamować i wpadł na nią.

– Trochę za daleko – odezwał się Nighthawk.

Odwróciła się i oparła o jego ramię, kiedy drzwi się rozsunęły.

– To właśnie tutaj – powiedział wchodząc, a ona podążyła za nim.

– To jest twoja kajuta?

– To była moja kajuta.

– Wygląda raczej na więzienie – powiedziała, rozglądając się wokół. – Jak miejsce, gdzie spędza się długie, samotne noce. – Odwróciła się w jego stronę. – Czy to prawda?

– Tutaj jest szafa ścienna – powiedział, polecając drzwiom, aby się otworzyły.

– A to co? – spytała.

– Co?

– To – powtórzyła, wskazując na Świętego Toczka, który przyszedł za nimi, a teraz odbił się od podłogi i usadowił na ramieniu Nighthawka. – Zauważyłam, że masz to przy sobie, kiedy tańczyłam. Najpierw myślałam, że to jakaś maskotka, ale później zdałam sobie sprawę, że to jest żywe. Czy to twój zwierzak?

– Coś w tym rodzaju.

– Niewiele robi – zauważyła. – Dlaczego go trzymasz?

– Kocha mnie i jest mi wierny – odpowiedział. –

To więcej, niż mogę powiedzieć o kimkolwiek, kogo znam.

– Niech spojrzę – powiedziała, wyciągając rękę w stronę Toczka.

Stworzonko zastygło w bezruchu i przestało mrużyć.

– To nie jest dobry pomysł – odezwał się Nighthawk, głaszcząc Toczka i wyczuwając jego nieufność. Zwierzątko natychmiast uspokoiło się pod jego dotykiem.

Cofnęła rękę i spojrzała na Toczka.

– A kto by chciał dotykać takiego brzydala?

Nastąpiła niezręczna cisza i Nighthawk jeszcze raz się odezwał.

– Za tamtymi drzwiami znajduje się łazienka. Jest wyposażona w suchy prysznic i toaletę chemiczną.

– Może przyjdiesz później i umyjesz mi plecy – powiedziała, zniżając głos i przeciągnawszy się, położyła na koi.

Nighthawk wyszedł z kajuty i powrócił do kabiny sterowniczej.

– Witaj z powrotem – powiedział Markiz, siedzący w fotelu kapitana. – Co cię zatrzymywało tak długo?

– To mój fotel.

– Już nie.

– Ten statek należy do mnie.

– A ty – do mnie – odpowiedział Markiz. – A teraz siadaj.

– Muszę ustawić kurs na Delurosa – powiedział

Nighthawk.

– Już to zrobiłem. Wskakujemy w prędkość świetlną za parę sekund. – Odwrócił się do Dziadka Mrozą. – No i cóż, czy już wybrałeś sobie kościoły na trasie?

– Pewnie – odrzekł tamten. – Ale teraz staram się ograniczyć moje plany do kilku najlepszych z nich.

– Rozumiem, że dobrze się przygotowałeś? Znasz ich rozkład?

– Studiowałem to przez całe moje dorosłe życie – odpowiedział starszy mężczyzna. – W kościołach Olimpusa jest wiele złota. Myślę, że w drodze powrotnej wezmę jakąś jego część ze sobą.

– Olimpus? Co to jest? Miasto?

Dziadek Mróz zachichotał.

– Kontynent.

– Kto by znał geografie tysięcy światów? – parsknął Markiz.

– Ten, kto chce się na nich wzbogacić – odparł Dziadek Mróz, gdy statek z nagłym szarpnięciem wszedł w prędkość światła.

– Celny cios – roześmiał się Markiz. Odwrócił się w stronę Nighthawka. – A ty, Jeffersonie? Też planujesz wzbogacić się na Delurosie?

– Nie – odrzekł Nighthawk. – Planuję stać się tam wolnym człowiekiem.

– Wolnym od czego?

– Od mnóstwa rzeczy.

– Na przykład?

– Od duchów.



– Ludzi, których zabiłeś? Nighthawk potrząsnął głową.

– Od człowieka, którym byłem... od człowieka, którym miałem się stać.

– Niewielka z tego korzyść – zauważył Markiz.

– Większa, niż możesz to sobie wyobrazić.

Markiz wzruszył ramionami.

– Jeśli to uczyni cię szczęśliwym. – Spojrzał w stronę korytarza w kierunku kajuty Melisandy. – W granicach rozsądku.

Nighthawk aż stęzał, na co Święty Toczek zareagował natychmiast. Przestał mrużyć, a odgłos, który zaczął wydawać, był bardzo piskliwy. Nighthawk podniósł go i kołysząc w ramionach uspokoił.

– Powinieneś się go pozbyć – powiedział Markiz.

– Lubię go.

– Nie widzę, żeby był w czymś pomocny. Marnuje tylko tlen i jeszcze bardziej ogranicza przestrzeń.

– Nie do tego stopnia co Melisanda.

– Ona posiada zalety, które znacznie przewyższają jej wady – odpowiedział Markiz.

Nighthawk zmusił się do zachowania spokoju i próbował przestać myśleć o niebieskoskórej kobiecie wyciągniętej na jego koi. W końcu Święty Toczek zaczął znów mrużyć do siebie cichutko. Burza przeszła bokiem.

– Będziesz musiał się nauczyć panować nad swoim gorącym, młodym temperamentem – powiedział Markiz, który bacznie mu się przyglądał. – I będziesz musiał przywyknąć do tego, kto tu teraz rządzi.

– Uczymy się tak szybko, jak to tylko możliwe – powiedział pośpiesznie Dziadek Mróz, zanim Nighthawk zdążył rzucić jakąś kąśliwą uwagę.

– To właśnie chciałem usłyszeć – powiedział z zadowoleniem Markiz.

Nagle w korytarzu ukazała się Melisanda.

– Jestem głodna – powiedziała. – Co mamy w karcie?

– Nie pytaj mnie – powiedział Nighthawk chłodno. – Zapytaj statku.

Wszedł do kuchni i zarządził, aby się uruchomiła. Nagle rozblęśla światłem, a w powietrzu pojawiły się trójwymiarowe wizerunki potraw.

– Czy to prawdziwy stek? – zapytała.

– Niestety, wszystko jest z soi – odparł Nighthawk. – Ale nie poczujesz różnicy.

– Dla mnie może być – powiedział Markiz. – Jeśli tylko wygląda jak stek i smakuje jak stek, to kogo obchodzi, czym to naprawdę jest?

A jeśli ktoś wygląda jak Egzekutor i myśli jak on – dodał w duchu Nighthawk – to nigdy go nie rozwścieczaj, zabierając mu jego statek, i nie obnoś się przed nim ze swoją kobietą.

– Na co masz ochotę, kochanie? – zapytał Markiz.

– Na nic.

– Jesteś pewna?

– Nie jem substytutów. – Urwała. – Poza tym to, na co mam ochotę, nie znajduje się w tym „menu”.

Przemierzyła korytarz i rzuciła Markizowi uwodzicielskie spojrzenie, wchodząc do kajuty.

– Możesz poczekać na niego w pokoju, w kabinie kontrolnej – odezwał się Dziadek Mróz, kiedy dotarła do końca korytarza.

Przemierzyła kuchnię i zatrzymała się o kilka kroków od Nighthawka.

– Są tylko trzy krzesła – zauważyła, patrząc na jego kolana.

Nighthawk poruszył się niespokojnie. Ona tymczasem odwróciła się i ocierając o niego powróciła do kuchni.

– Na Boga! Zabójczo wygląda, kiedy tak się porusza! – wykrzyknął Markiz. Wstał. – Myślę, że udamy się na chwilę do naszej kajuty. – Skierował się w stronę dawnej kabiny Nighthawka.

Nighthawk popatrzył na nich. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Ani drgnął. Toczek zeskoczył na podłogę i zaczął cichutko piszczeć. Nagle Nighthawk poczuł, że Dziadek Mróz kładzie mu dłoń na ramieniu.

– Nie zrób nic głupiego, synu – powiedział.

– Więc mam siedzieć spokojnie, kiedy on pieprzy się z nią obok, na mojej koi? – wyszeptał Nighthawk łamiącym się głosem.

– To jej wybór.

– Nie, to nie jest jej wybór! Zabiłby ją, gdyby powiedziała „nie”.

– Nie chcę pozbawiać cię złudzeń – odezwał się Dziadek Mróz – ale ona prawdopodobnie nie powiedziała „nie”, odkąd skończyła dwanaście lat.

– Zamknij się! – krzyknął Nighthawk. Toczek,

wciąż piszcząc, znalazł się na jego ramieniu.

– Nie jestem ci wrogiem – odezwał się Dziadek Mróz, zniżając głos. – Zapamiętaj to. Próbuje tylko ratować ci życie.

– Dobrze – powiedział Nighthawk po dłuższej przerwie. – Będziemy trzymać się planu. Będzie żył do czasu, aż obrabujesz swój kościół, a ja zabiję Egzekutora. Lecz potem... – wyciągnął rękę i pogłaskał Świętego Toczka, który drgnąwszy nerwowo parę razy, zaczął ocierać się o niego.

– Obawiam się, że nie docenisz swego przeciwnika.

– Poradzę sobie z nim.

– Jesteś bardzo pewny.

– Nie prosiłem o to, by być najlepszym zabójcą galaktyki – odparł Nighthawk. – Sami mnie takim zrobili. – Nagle z kabiny dobiegły ich ekstatyczne odgłosy rozkoszy. Twarz młodzieńca stała się jeszcze bardziej posepna. – Oni mieli ku temu powód, teraz ja zyskałem swój.

Nagle w kabinie rozległ się mechaniczny głos:

– Stan pogotowia! Zlokalizowano statek w odległości dziesięciu minut i trzech sekund z lewej burty. Podąża czwartym kursem.

Zaniepokojony Nighthawk rozkazał statkowi zmienić kurs. Głos umilkł, lecz po chwili odezwał się ponownie, podając nieco inne współrzędne.

– Co się stało?

– Ktoś siedzi nam na ogonie.

– Do licha! Kto to może być?

– Nie chce podać swoich danych. Komputer zdołał jednak ustalić numer rejestracyjny tego statku i ustalić częstotliwość sygnału, który gdzieś wysłał. Wkrótce powinniśmy wiedzieć, kto nas śledzi.

– Powiemy o tym Markizowi? – spytał Dziadek Mróz.

Z kabiny Nighthawka dobiegł następny stłumiony jęk.

– Może przy innej okazji – rozmyślił się.

Nighthawk siedział bez ruchu, zmuszając się do patrzenia w monitor. Chwilę później uśmiech rozjaśnił jego twarz.

– Jesteśmy w komplecie.

– Co masz na myśli? Wiesz, kto jest w tamtym statku?

– Jaszczur Malloy. Musiał śledzić nas od samego początku.

– Więc powiedz mu, żeby wracał.

– Nie bądź śmieszny. Nie zawróci tylko dlatego, że mu każe. Musi mieć jakiś powód, by za nami podążać.

– Ale jaki? – spytał Dziadek Mróz.

Przez statek przetoczył się finalny okrzyk seksualnego szału, osiągnął crescendo i zakończył jękiem rozkoszy.

– Chciałbym to wiedzieć – rzekł Nighthawk.

– Gdybyś przestał myśleć o tym, co dzieje się trzydzieści stóp od nas, i skupił się na problemie oddalonym o jednego parseka, to może znaleźlibyśmy jakieś rozwiązanie – powiedział Dziadek Mróz.

– Myślę o Malloyu.

- Z pewnością – zgryźliwie odparł stary człowiek.
  - I Markizie.
  - Sądzisz, że to on kazał Malloyowi nas śledzić?
  - Skąd, u diabła, mam wiedzieć?
  - Więc spytajmy go – zaproponował Dziadek Mróz. – Z tej ciszy wynika, że już skończyli. Dajmy mu tylko trochę czasu na włożenie spodni.
  - Może nic o Malloyu nie wiedzieć.
  - Wówczas będę naprawdę ciekaw, kto go wysłał.
- Nighthawk usiłował skupić się na Malloyu, Markizie i Egzekutorze, lecz wszystko krążyło wokół jednej myśli: Przy mnie nie było jej tak dobrze.
- Miał ochotę kogoś zabić, nie wiedział jednak, czy Markiza, Perłę z Marakaibo, czy może siebie.

## Rozdział 18

Nighthawk siedział w pomieszczeniu kuchni z filiżanką kawy, obok fotela sterowniczego. Statek, sterowany automatycznie, pokonywał bezmiar czarnej pustki. Dziadek Mróz spał w swojej połowie kajuty, a z korytarza dobiegało chrapanie Markiza.

Nagle z kajuty kapitańskiej wyszła Melisanda, nie mając na sobie nic poza ręcznikiem, którym była owinięta.

– Czy mogę usiąść?

Nighthawk wskazał puste krzesło stojące naprzeciw niego.

– A czy mogłabym dostać trochę kawy?

– Nie pytaj mnie – powiedział. – Skieruj to pytanie do kambuza.

Powtórzyła swoją prośbę, wymawiając ją jako rozkaz i w chwilę później filiżanka kawy została postawiona przed nią na stole.

– Dziękuję – powiedziała.

– Jeśli czekasz, aż usłyszysz „Proszę bardzo”, to masz pecha. Jedyne pulpity kontrolny odpowiada.

– Dlaczego?

– Bo tak mi się podobało to urządzać.

– Nie rzucaj się tak – powiedziała z uśmiechem. – Nie krytykuję cię.

– Nie rzucam się.

– A tak wygląda.

– Nieprawda.

– W porządku, niech ci będzie – powiedziała,

wzruszając ramionami. Ten ruch spowodował, że ręcznik rozluźnił się do tego stopnia, że opadł jej aż do talii. – Przepraszam – powiedziała z kocim uśmiechem.

– Zakryj się – rzucił Nighthawk.

– O co chodzi? – spytała niewinnie, wolno poprawiając ręcznik. – Nie ma tu nic, czego nie widziałeś, chyba że już nie pamiętasz.

– Nie zapomniałem.

– Chodź i pomóż mi – powiedziała, powtórnie owijając się ręcznikiem.

– Zrób to sama.

– Dobrze, ale nie mogę obiecać, że znowu się nie ześlizgnie.

Nighthawk skrzywił się, wstał i podszedł do niej.

– Tutaj – powiedziała, wskazując mu miejsce, które miał spać. Wręczyła mu ozdobną zapinkę, a on spał dwa końce ręcznika, udając, że nie dociera do niego oszałamiający zapach jej perfum.

– Już w porządku – obwieścił, wracając do swojego krzesła.

– Jesteś pewien? – zapytała, również się podnosząc. – Teraz jest przykrótko.

– No i co?

– A jeśli podniosę ramiona, o tak? – zademonstrowała.

– Po prostu siedź, a nic nie będzie.

– Nie mogę siedzieć przez całą podróż.

– Więc się ubierz.

– Nie chcę budzić Markiza – wyszczerzyła zęby w uśmiechu. – Myślę, że go zmęczyłam.



Nighthawk nie odpowiedział.

– To bardzo dobra kawa – odezwała się w końcu.

– Skąd wiesz? Nawet jej nie tknęłaś.

– Ale ogrzewa mi ręce. – Wyciągnęła obie dłonie i położyła na jego. – Widzisz, nikt nie lubi być dotykany zimnymi dłońmi.

– To na mnie nie działa.

– Może nie dotyczy to twoich dłoni, ale są z pewnością inne miejsca na twoim ciele, którym to by się na pewno nie spodobało, i to tak bardzo, że aż byś podskoczył. Następnym razem, kiedy będę miała zimne ręce, udowodnię ci to.

– Obejdzcie się.

– Ależ dlaczego? W końcu wszyscy tu jesteśmy przyjaciółmi, czyż nie?

– Powinnaś się chyba trzymać swojego przyjaciela, który zabrał cię tutaj – zasugerował dobitnie Nighthawk.

– Ale on śpi, słyszysz, jak chrapie?

– Co z tego?

– Potrzebny mu sen... ale ja już się wyspałam. Nudzi mi się tam leżeć i patrzeć, jak on śpi. – Nagle uśmiechnęła się. – Oczywiście jest nagi.

– Z pewnością dziko cię to podnieca.

– Cóż, wszystko zależy, to znaczy, no wiesz, co to za zabawa podniecać się samotnie. Mogłoby być interesująco, gdyby i on był. Chciałbyś, żebym ci opowiedziała, jak potrafię go podniecić?

– Daj mi spokój! – krzyknął, wstając z miejsca i podchodząc do fotela sterowniczego.

– Myślałam, że mnie lubisz.  
– Bo to prawda – powiedział miękko.  
– Wydawało mi się nawet, że mnie pragniesz.  
– Dlaczego przychodzisz do mnie, kiedy wszystkie kabiny są zajęte?

– Sądzisz, że musimy mieć kabinę? – spytała. – Jedyne, co się tam znajduje, to łóżko. – Wstała i zsunęła z siebie ręcznik. – Wszystko, czego potrzebujemy, jest tutaj. – Kpina zaboląła. – Marszczysz brwi. Nie podoba ci się to, co widzisz?

– Podoba mi się.

Zbliżyła się do niego powoli, starannie omijając Toczek, który spoczywał w pobliżu.

– Tak, widzę, że ci się podoba – odezwała się, patrząc na jego biodra. Chwytał jej rękę, pociągnął dziewczynę ku sobie, aż wylądowała mu na kolanach, i pocałował zachłannie.

– Ostrożnie – powiedziała. – Mogę się na coś nadziać.

– Na tym, zdaje się, polega ta zabawa.

– A co, jeśli Markiz obudzi się i wyjdzie wtedy na korytarz? – spytała.

– Będę musiał go zabić.

– Ale jak to zrobisz, jeśli ja będę się znajdować pomiędzy wami?

– Przestań już mówić.

– Może powinnam sprawdzić, czy jeszcze śpi.

– Zapomnij o tym.

– Nie – powiedziała wstając. – Naprawdę powinnam. Nie chcę znaleźć się w samym środku strzelani-

ny.

Zanim zdołał ją powstrzymać, skierowała się w stronę kambuza i owinęła ręcznikiem, następnie znikła w kabinie kapitańskiej. Wyłoniła się stamtąd parę sekund później i powiedziała bezgłośnie samymi tylko wargami: „Wygląda na to, że śpi”.

Kiedy ponownie zaczęła zbliżać się do Nighthawka, rozległ się zaspany głos Dziadka Mroź: – Co się tam u licha dzieje? – Po chwili on sam wyszedł z kabiny, zatrzymał się gwałtownie i ocenił sytuację, wpatrując się w Melisandę. – Ubierałaś się chyba w wielkim pośpiechu – zauważył sardonicznie.

– Przyszłam tylko napić się kawy – powiedziała.

– Kambuz, dwie kawy! – zaordynował starszy mężczyzna.

W chwilę później pojawiły się dwie filiżanki wypełnione czarnym płynem. Perła z Marakaibo odwróciła się do Nighthawka, wzruszając ramionami tak energicznie, że omal znów nie spadł jej ręcznik.

– To ile spałem? – zapytał Dziadek Mróz.

– Może cztery, a może jakieś pięć godzin – odpowiedział Nighthawk.

– Szkoda, że jeszcze nie pospałem z godzinę – powiedział. – Mógłbyś może zrobić jakieś postępy w obcowaniu z tą młodą damą.

– Nawet mowy nie ma. Jestem całkowicie oddana Markizowi.

– A ja jestem wcieleniem Ramzesa II – spointował Dziadek Mróz.

Odwróciła się w stronę Nighthawka.

- Masz zamiar pozwolić mu tak do mnie mówić?
- Jesteś całkowicie oddana Markizowi – odezwał się Nighthawk. – Niech więc on broni twojego honoru.
- Też mi bohater – parsknęła pogardliwie.
- Nagle Markiz wystawił głowę na korytarz i spojrział w stronę kambuza.
- Co się dzieje?
- Nic – odpowiedziała Melisanda. – Rozmawiamy tylko.
- Obudziliście mnie.
- Nie chcieliśmy, wracaj do łóżka.
- Chodź do mnie z powrotem. Nie lubię spać sam.
- Cokolwiek każesz.
- Właśnie to ci każę – odparł Markiz.
- Wstała, przyciskając do siebie ręcznik, i odwróciła się w stronę Nighthawka.
- Może później dokończymy naszą rozmowę.
- Może – odpowiedział niezobowiązująco.
- Rusz tyłek i chodź tu! – rozległ się z korytarza głos Markiza, wycofującego się już do kabiny. Po chwili dołączyła do niego.
- Jesteś za młody, aby umierać – odezwał się Dziadek Mróz. – Mam nadzieję, że nie działo się tu to, o czym myślę, że się chyba działo?
- Nie chcę o tym mówić.
- Pewnie, że nie – powiedział starszy mężczyzna.
- Ciekawe, ile zwierzątek udało jej się zamęczyć na śmierć, kiedy była dzieckiem?
- Zamknij się!

– Jak sobie chcesz. – Dziadek Mróz pociągnął łyk kawy. – Ile nam jeszcze zostało do Oligarchii?

Nighthawk spojrział na ekran.

– Jesteśmy tu już od pięciu godzin.

– A kiedy osiągniemy system Delurosa?

– Przy tej prędkości, myślę, że za jakieś trzydzieści godzin.

– Jeszcze trzydzieści godzin – zadumał się Dziadek Mróz. – Starczy jej czasu, by doprowadzić do zabójstwa.

– Nie chcę o niej rozmawiać – odezwał się groźnie Nighthawk.

– A co z naszym cieniem? Wciąż za nami podąża?

– Malloy? Tak, jest o jakieś parę milionów mil.

– Wydaje się, że to straszna odległość, dopóki nie uświadomisz sobie, ile to jest... jakieś... dziesięć sekund?

– Trochę mniej.

– Zdrzemnij się, a ja będę czuwał.

Nighthawk pokręcił głową.

– Długo nie spałeś – ciągnął tymczasem Dziadek Mróz. – Chcę, byś reagował szybko i pewnie, kiedy już tam wylądujemy. Musisz się choć trochę przespać.

– Jak mogę spać, wiedząc, że ona jest z nim w łóżku niecałe dwadzieścia stóp ode mnie? – zirytował się Nighthawk.

– A, więc o to chodzi. Myślisz, że jeśli zostaniesz tutaj, on nie będzie się z nią pieprzył?

– Nie pieprzą się, śpią – powiedział Nighthawk. – Przynajmniej on śpi.

- Ale i tak ci się to nie podoba, co?
- Nie, nie podoba mi się.
- Wiesz co? Mam propozycję.
- Tak?
- Nie spodoba ci się, ale jest najrozsądniejsza ze wszystkich rozwiązań.
- Słucham więc.
- Ta dziewczyna robi ci młyn w głowie, synu. Związała ci ręce. Myślisz tylko o niej. To niebezpieczne.
- Chcesz, żebym zabił Markiza?
- Nie możesz go zabić... jeszcze – powiedział starszy mężczyzna. – Musi najpierw wskazać zamachowca.
- Więc o co ci chodzi?
- Zabij ją.
- Oszalałeś? – wykrzyknął Nighthawk.
- Nie. Za każdym razem, kiedy Markiza nie ma w pobliżu, ona tylko czeka, żeby się z tobą drażnić. Nie zaprzeczaj, mam oczy. Jeśli pozwolisz jej żyć, to wreszcie sprowokuje bójkę pomiędzy tobą a Markizem, zanim będziesz na to gotów.
- No, ale skoro celem tej wyprawy jest zabicie go, to przecież w końcu będę ją miał.
- Nie jest tego warta, synu – powiedział starszy mężczyzna. – Pozwól, niech ja splądruję parę kościołów, ty zabij Egzekutora, a później skończmy z takim życiem, jakie prowadzimy, i wynieśmy się tam, gdzie ani dobrzy, ani źli faceci nas nie znajdą.
- Brzmi całkiem nieźle.
- W takim razie zgoda?

– Jak tylko zabiję Markiza – powiedział Nighthawk – zabiorę Melisandę z nami.

Stary człowiek westchnął, ale nic nie odpowiedział.

## Rozdział 19

Minęło już trzydzieści osiem godzin od wyruszenia z Tundry, a życie dla Nighthawka nie stało się ani trochę łatwiejsze. W chwilach wolnych od fantazjowania na temat Melisandy miał ją tuż przed sobą, przesyłającą po kryjomu uśmiezki, znajdującą powód, by co chwilę otrzeć się o niego, drażnić go swym dotykiem i zapachem.

Jednak z chwilą kiedy pojawiał się Markiz, jej zachowanie ulegało raptownej zmianie. Starła się nie opuszczać jego boku i ignorując obecność obu mężczyzn, pozwalała ręką Markiza na swobodną wędrówkę po jej ciele. Lecz Queensbury nie był zainteresowany nawigacją statku, toteż większość czasu spędzał w kabinie. Jak tylko Markiz zniknął z horyzontu, Melisanda zaczynała swą grę, drażniła młodzieńca z taką samą uporczywością, z jaką go wcześniej unikała.

Pewnego razu Nighthawk, delektując się rzadką chwilą samotności, wpatrywał się w monitor. Rozkazał wcześniej komputerowi powiększyć maksymalnie obraz, w nadziei znalezienia statku Malloya, ale zobaczył jedynie gwiazdy i czarną pustkę próżni.

W końcu ponowił próbę nawiązania z nim łączności radiowej, aby dowiedzieć się, dlaczego za nimi podąża, ale Malloy nie odpowiadał. Był tam cały czas, śledził ich, lecz nie reagował na żaden sygnał. Wprawdzie nie stanowił bezpośredniego zagrożenia, jednak Nighthawk nie lubił rzeczy, których nie rozumiał, a



powód, dla którego Jaszczur Malloy podążał za nimi, był dla niego niejasny.

– Jeśli ten mały krętacz bardzo cię denerwuje – powiedział Markiz, zjawiwszy się na mostku cicho niczym duch – zwolnijmy i rozwalmy go na kawałki.

– Kto powiedział, że mnie denerwuje – bronił się Nighthawk.

– To widać.

– Po prostu chciałbym wiedzieć, dlaczego tu jest.

– Widocznie został przez kogoś wysłany – odparł Markiz.

– Ale przez kogo i dlaczego?

– Nie mam najmniejszego pojęcia. – Wzruszył ramionami. Nagle uśmiechnął się promiennie. – Jeśli nie chcesz go rozwalić, pozwólmy się dogonić, a potem zagroźisz, że zamkniesz go w jednym pomieszczeniu ze Świętym Toczkiem. Zaraz zaczęłby gadać.

– To zwykły zwierzak, a nie broń – odparł Nighthawk, głaszcząc Toczka, który zaraz wskoczył mu na ramię.

– Jest po trosze i jednym, i drugim – rzekł Markiz. – Widziałem je wcześniej. Kiedyś znałem dwóch ludzi, do których się przyczepiły. – Spojrzał z podziwem na Toczka Nighthawka. – Jak się je rozzłości, potrafią w ciągu dziesięciu sekund wyciąć w pień salę pełną ludzi. Ja uważam go za doskonałą broń.

– A ja za przyjaciela.

– To dlatego, że nie myślisz przyszłościowo – rzekł Markiz. – Nie zdajesz sobie sprawy z jego możliwości.

– W przeciwieństwie do ciebie – ironizował Nighthawk.

– Żebyś wiedział – odparł Markiz. – To jedna z rzeczy, które nas różnią.

– Jeśli tak bardzo chcesz go mieć, leć na Aladyna.

– Byłem tam, jednak nigdy żadnego nie spotkałem.

– Jedź jeszcze raz.

– Strata czasu – powiedział Markiz. – Odwiedziłem tę planetę z dziesięć razy. – Urwał. – Ale chętnie odkupię twojego.

– Nie jest na sprzedaż.

– Jeszcze nie usłyszałeś mojej oferty.

– Nie posiadasz nic, czego pragnę – rzekł Nighthawk.

– Ja natomiast sądzę, że mam – uśmiechnął się Markiz. – Co powiesz na Melisandę?

Niebieskoskóra dziewczyna wyszła z kabiny i dołączyła do Markiza.

– Ją?

– Za Toczka.

– Umowa stoi – rzekł Nighthawk.

– Czy ja nie mam prawa głosu? – zachnęła się Melisanda.

– Obawiam się, że nie, moja droga – odparł Markiz.

– Nie traktuj mnie w ten sposób. Nie jestem twoją własnością! – zaprotestowała.

– Każdy do kogoś należy – stwierdził Markiz. –

Lecz tylko najmądrzejsi z nas o tym wiedzą. – Urwał. – Jestem pewien, że pan Nighthawk dobrze się tobą opiekuje.

– A może ja nie chcę, by pan Nighthawk opiekował się mną.

– To już mnie nie interesuje. Jestem przekonany, że pan Nighthawk okaże ci tyle samo zrozumienia.

– Czyli żadnego.

– Proszę cię, nie komplikuj sytuacji – rzekł Markiz. – Dostarczyłaś mi niezwykłych wrażeń i z prawdziwą przykrością cię oddaję – uśmiechnął się przepaszająco. – Lecz zrozum, galaktyka jest pełna kobiet, podczas gdy Święty Toczek to prawdziwa rzadkość. Na moim miejscu postąpiłabyś podobnie.

– Nigdy nie byłam na twoim miejscu – powiedziała gorzko.

– Cóż, takie jest życie. – Markiz wyciągnął rękę w stronę Toczka, który nagle zeszywniał i zaczął cichutko mruzczyć.

– Chyba nie chce, byś go dotykał – stwierdził Nighthawk.

– Więc wyjaśnij mu, że zawarliśmy umowę.

– Nie znam jego języka.

Święty Toczek wydobył z siebie cieniutki gwizd.

– Niech natychmiast przestanie! – zażądał Markiz. – Wiem, co dalej nastąpi.

Nighthawk zdjął zwierzaka z ramienia, przytulił do piersi i delikatnie pogłaskał.

– Pamiętaj o umowie – rzekł Markiz, wycofując się wolno. – Czekam, aż wypełnisz swoją część.

– Myślisz, że tego nie chcę? – rozzłościł się Nighthawk. – Ale najwidoczniej nie lubi ciebie i nic na to nie poradzę. Obcy z Aladyna powiedział mi, że wybierają one jedną osobę i na zawsze pozostają przy niej.

– To fatalnie – rzekł Markiz. – Nie wykorzystałeś swojej szansy. – Spojrzał na Perłę z Marakaibo. – Zdaje się kochanie, że jesteśmy skazani na wieczną miłość. – Melisanda odwzajemniła jego spojrzenie, nie mówiąc jednak ani słowa. – Wracaj do kabiny. Zaraz dołączę do ciebie.

Dziewczyna stała, wciąż patrząc na niego w milczeniu.

– Marsz! – powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu. Odeszła do kabiny, nie oglądając się za siebie.

– Moja oferta jest ważna do końca tej podróży – oznajmił Markiz. – Jak tylko nauczysz Toczka, by mnie akceptował, jest twoja. Może ja będę musiał dać podobną lekcję Melisandzie – zaśmiał się. – Pójdę się nią nacieszyć, póki mam okazję. – Uśmiechnął się ponownie i zniknął w kabinie.

Pisk Świętego Toczka przywołał Nighthawka do porządku. Uświadomił sobie, że trzymał go mocno, wbijając palce w jego sierść. Puścił zwierzaka i ten stoczył się lekko po jego nodze.

– Mogę się przyłączyć? – spytał Dziadek Mróz, wychylając głowę z kabiny.

– Czemu nie? – powiedział Nighthawk bez entuzjazmu. – Słyszałeś wszystko?

– Tak. Ciężko utrzymać cokolwiek w tajemnicy

na tym statku. – Urwał. – Dialog niczym z opery mydlanej.

– Co mam zrobić, żeby Toczek go polubił?

– Obawiam się, że to niemożliwe – odparł starszy mężczyzna. – One wybierają jedną osobę i są wobec niej dużo bardziej lojalne niż człowiek.

– Nie jesteś za bardzo pomocny.

– Kiedyś chciałem, ale mnie nie słuchałeś.

– Ponieważ mówisz o rzeczach, o których nie chcę słyszeć.

– Nikt nie chce słyszeć prawdy – zgodził się Dziadek Mróz.

– I niech tak zostanie.

– Jak sobie życzysz – wzruszył ramionami Dziadek Mróz. – Spojrzał na ekran. – Malloy ciągle za nami podąża?

– Tak. Próbowiałem nawiązać z nim kontakt, ale nie odpowiada.

– Jeśli założymy, że Markiz mówi prawdę, a to niebezpieczna supozycja, to dla kogo on pracuje?

– Nie wiem.

– Więc zastanów się nad tym chwilę.

– Zastanawiam się – odparł młodzieniec – i nic mi nie przychodzi do głowy.

– Wiesz co, ci, którzy cię stworzyli, powinni byli skrócić twój fizyczny trening, a wydłużyć intelektualny, jeśli w ogóle taki miałeś.

– O czym ty mówisz?

– Rusz łepetyną, synu – rzekł Dziadek Mróz. – Co robi Malloy?

- Śledzi nasz statek.
- Dlaczego?
- Nie mam pojęcia – odpowiedział Nighthawk, czując się jak odpytywany uczeń.
- A co wiesz?
- O co ci chodzi? – zdziwił się młodzieniec.
- Założmy przez chwilę, że Markiz mówi prawdę, że nie ma nic wspólnego z Malloyem. O czym to świadczy?

Nighthawk spojrzał na niego bezradnie.

- Posłuchaj – wyjaśniał cierpliwie Dziadek Mróz.
- Jeśli nie wysłaliśmy go my ani Markiz, to kto nam zostaje?

Nighthawk otworzył szeroko oczy.

- Melisanda?
- Tak jest.
- Ale dlaczego?
- Tego nie wiem – przyznał starszy mężczyzna. – Lecz na pewno nie jest zwykłą tancerką.

Nighthawk nie odpowiedział. Siedział bez ruchu, zagubiony w myślach. W końcu spojrzał w górę, odchrząknął i przemówił.

- Może jego pracodawca chce wiedzieć, gdzie jest Markiz?

– Czy ty wysyłałbyś kogoś takiego jak Malloy przeciwko Markizowi Queensbury? – zripostował Dziadek Mróz. – Do tego typu zadania nadaje się ktoś taki jak ty, zdolny wygrzebać się z ewentualnych kłopotów.

- Więc dlaczego nas śledzi?

– Mam pewną hipotezę, lecz jeszcze za wcześnie, by ją ujawnić. Obserwujemy bieg wydarzeń.

– Jak długo mamy czekać?

Dziadek Mróz wzruszył ramionami.

– Wszystko się wyjaśni, nim dotrzemy do Deluro-sa. – Wyciągnął dziwnie wyglądającą talię kart. – Może partyjkę jaboba?

Nighthawk pokręcił głową.

– Nie znam zasad.

– Są proste – wyjaśnił z uśmiechem starszy człowiek. – Tylko że szansę na wygraną są bardzo małe.

– Więc dlaczego tylu ludzi w nią gra?

– Ponieważ ma proste zasady – powiedział Dziadek Mróz. – Wydaje się, że łatwo w nią wygrać. – Urwał. – Czyżbyś nie zauważył, że większość ludzi nie cierpi na nadmiar inteligencji?

– Istotnie – przyznał młodzieniec.

Zapadła cisza, przerywana tylko odgłosem tasowania kart. Po chwili z kabiny wynurzył się Markiz.

– Ty jeszcze tutaj? – zwrócił się do Dziadka Mro-  
żą.

– Właśnie to miałem na myśli – szepnął starszy człowiek Nighthawkowi. – Odwracając się w stronę Markiza powiedział: – Podróżujemy trzyosobowym statkiem z prędkością równą sześćdziesięciokrotnej prędkości światła. Gdzie, u diabła, myślałeś, że będę?

– W kabinie, kiblu lub kuchni. Skąd mam wiedzieć?

Dziadek Mróz roześmiał się głośno.

– Lepiej popracuj nad swoją muskulaturą –

zwrócił się do młodzieńca. – To jasne, że ona nie zadaje się z nim dla jego intelektu.

– Uważaj, co mówisz, staruchu – powiedział złowrogim tonem Markiz. – Chcę połowę twego łupu, ale nie jest dla mnie niezbędna. Nie zapominaj o tym.

– Przepraszam z całego serca – powiedział Dziadek Mróz, schylając się nisko, a uśmiezek zniknął z jego twarzy.

Markiz patrzył na niego w milczeniu przez dłuższą chwilę.

– Stary głupiec – powiedział wreszcie, a następnie zamówił drinka.

– No i cóż, Nighthawk? Czy nadalnosisz się z zamiarem zabicia Egzekutora?

– Po to tu jestem.

– To tak, jakbyś miał zabić własnego ojca, czyż nie?

– Niezupełnie.

– Aha, zapomniałem – powiedział Markiz. – Ty nie masz ojca.

– Nawet gdybym miał, to i tak nie żyłby od kilku stuleci.

– Chyba bardziej przypomina to bratobójstwo? Może jesteś Kain, a on Abel.

– Skoro tak uważasz.

– Nic nie uważam. Po prostu próbuję wczuć się w rolę.

– Opowiem ci, jak będzie po wszystkim – powiedział Nighthawk i westchnął głęboko. – Myślę, że będzie to po prostu jak odpoczynek po złych wspomnie-



niach.

– Myślałem, że nigdy go nie widziałeś – powiedział Markiz. – Jak możesz go więc pamiętać?

– Może źle się wyraziłem – odrzekł Nighthawk. – Jest wzorcem, z którym zawsze mnie porównywano. Jego dokonania wiązały się z oczekiwaniami wobec mnie. – Urwał i zamyślił się. – Większość młodych mężczyzn musi po prostu zapomnieć o oczekiwaniach, jakie ktoś w nich pokładał. Ja muszę swoje całkowicie wyeliminować.

– Jeżeli jest choć w połowie taki, jak o nim mówią, to możesz mieć kłopoty, chcąc go zabić.

– Jest starym, chorym człowiekiem, który nie może jeść ani oddychać bez pomocy – powiedział Nighthawk. – Poza tym nie mam zamiaru go budzić.

Z kabiny wyłoniła się Melisanda. Podeszła do Markiza i przejechała palcami po jego zmierzwionych włosach.

– Chcę się napić.

– Zamów więc coś.

– Nie podoba mi się ta kuchnia – odparła. – Źle tu mieszają drinki.

– A co ja, do diabła, mam niby zrobić? – zapytał Markiz.

Kiwnęła w stronę Nighthawka.

– Niech on mi przygotuje.

– Nie jestem barmanem – odpowiedział.

– Chwileczkę – powiedział Markiz. – Ja mogę jej tak odpowiadać, ty nie.

– A czemuż to? – zapytał Nighthawk. – Czy nagle

awansowała na mojego przełożonego?

– Nie – odpowiedział Markiz – ale ja tu wydaję rozkazy, a więc jeśli będę w pobliżu, nie wolno ci odmawiać, chyba że ja również czegoś nie pochwalam.

– Ależ hierarchia – parsknął Dziadek Mróz.

– Ty trzymaj się od tego z daleka, stary – powiedział Markiz. Odwrócił się do Nighthawka. – Zrób jej drinka.

– Powiedziałem już, że nie jestem barmanem. Sam jej zrób.

– Rozkazuję ci.

– Zabijam dla ciebie niebezpiecznych ludzi i to jest moja praca, w tym jestem dobry – powiedział Nighthawk. – Nie będę mieszał drinków Melisandzie dlatego tylko, że zachciało ci się popisać przed nią swoją władzą. Chcesz zmiksować drinka, sam go sobie zmiksuj.

Markiz podniósł się. Ramieniem odsunął Melisandę, aż znalazła się za jego plecami.

– Rozkazuję ci to zrobić po raz ostatni!

– Pieprz się! – opowiedział Nighthawk, siedząc wygodnie w fotelu.

– Nie będę prosił ponownie – warknął Markiz złowieszczo.

– Po pierwsze wcale mnie nie poprosiłeś – odezwał się Nighthawk. – A poza tym co masz zamiar teraz zrobić: zwolnić mnie i odesłać do domu?

– To nie jest zły pomysł.

– Oczywiście, że nie, ale nie ty go wymyśliłeś.

– Chyba nie macie zamiaru bić się tutaj, co? –

włączył się do sprzeczki Dziadek Mróz. – Zabłąkana kula mogłaby przebić osłonę i wtedy wszyscy szybko schodzimy z tego świata.

– No więc masz cholerne szczęście, że nigdy nie chybiam – warknął Markiz.

Nagle Święty Toczek, zdenerwowany narastającą w pomieszczeniu złością, zaczął wydobywać z siebie dźwięk przypominający buczenie.

– Wyłącz to paskudztwo, bo wszystkich nas wykończy! – krzyknął Markiz.

– Nie zrobiłbym tego nawet, gdybym wiedział jak – odpowiedział Nighthawk, wstając z fotela. – Którego z nas najpierw zastrzelisz, no i – jak myślisz – co robi w tym czasie drugi?

– Pokonałem cię wcześniej, pokonam cię i teraz – odparł Markiz.

Wyciągnął pistolet laserowy i wypalił. Strumień światła niemal rozdarł Toczka na pół. Stworzonko zdołało zaskrzeczeć, a w chwilę później spłonęło. Ale wtedy Nighthawk miał już w dłoni swoją własną broń i wypalił z niej. Kula trafiła Markiza prosto między oczy i olbrzym padł martwy na podłogę. Dziadek Mróz ukląkł przy nim badając ranę.

– Diabelne szczęście, że kula nie poszła rykoszetem i nie trafiła w osłonę – odezwał się. – Każdy z was mógł wykończyć nas wszystkich jednym niecelnym strzałem.

– No więc co miałem zrobić? Walczyć z nim na pięści?

– Nie – odparł Dziadek Mróz, wciągając głęboko

powietrze. – Ale ostatecznie mogłeś przygotować pani tego cholernego drinka. Miał informacje, jakich potrzebujesz, zapomniałeś?

– Do diabła z tym! – wydusił z siebie Nighthawk.  
– Potrzebowałem tych informacji, aby móc dostarczyć zamachowca i zebrać wystarczającą sumę pieniędzy, by opłacić utrzymanie przy życiu Egzekutora do czasu, gdy wynalezione zostanie lekarstwo na chorobę, która go niszczy. – Urwał. – Cóż, skoro to ja mam go zniszczyć, na mnie nie wynaleziono jeszcze szczepionki, w takim razie informacje Markiza nie są już potrzebne.

– A co z nią? – spytał starszy mężczyzna.

– Teraz jest moja – odparł Nighthawk, odwracając się, aby spojrzeć na Melisandę. I wtedy spostrzegł, że ma przystawioną do głowy lufę pistoletu Markiza.

– Sama zdecyduje, do kogo będę należeć – odezwała się chłodno. – Jeśli zrobisz choć mały krok w moim kierunku, to znajdziesz się martwy na podłodze obok niego. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Naprawdę to zrobię.

Nighthawk schował swą broń do kabury i usiadł na fotelu.

– Nie chciałbym ci powtarzać „A nie mówiłem?” – zaczął Dziadek Mróz z ironicznym uśmiechem – ale...

## Rozdział 20

– No więc – odezwał się Dziadek Mróz po długiej, pełnej napięcia ciszy. – Musimy podjąć jakąś decyzję.

– Ja już podjęłam – powiedziała Melisanda.

– Nie masz pojęcia, o czym mówię – odparł Dziadek Mróz, nie wysilając się, aby ukryć pogardę w swoim głosie. – A teraz odłóż broń. Gwarantuję, że Nighthawk nie rzuci się na ciebie w mojej obecności i tego tu trupa na podłodze.

Popatrzyła na Nighthawka przez dłuższą chwilę, po czym położyła broń na stole.

– W porządku – kontynuował Dziadek Mróz – pierwszą rzeczą, jaką należy zrobić, jest...

– Pozbycie się resztek Toczka – wtrącił Nighthawk.

– Zapomnij o tym – odezwał się starszy mężczyzna. – Mamy ważniejsze sprawy na głowie.

– Jak możesz wytrzymać ten smród?

Dziadek Mróz wciągnął mocno powietrze, wykrzywił się, tym samym wyrażając zgodę. Nighthawk podniósł z podłogi małe, zwęglone ciało Świętego Toczka i podczas gdy Dziadek Mróz oraz Melisanda starali się nie oddychać, przeniósł je przez kambuz i wyrzucił w przestrzeń. Wracając włączył małego robota porządkowego, który uprzątnął oraz odświeżył miejsce, gdzie widniały świeże plamy krwi małego Toczka.

– Znacznie lepiej – zgodził się Dziadek Mróz, kiedy Nighthawk powrócił na swoje miejsce.

– W porządku – odezwał się Nighthawk. – A teraz

jakie decyzje radzisz nam podjąć?

– No więc co do pierwszej, to właściwie mamy ją z głowy – powiedział starszy mężczyzna.

– O czym ty mówisz?

– Musimy zmienić kurs. Nie możemy lecieć na Delurosa.

– Dlaczego? – domagał się odpowiedzi Nighthawk.

– Ponieważ Deluros ma najlepszy system bezpieczeństwa w galaktyce – odpowiedział Dziadek Mróz. – Prawdę mówiąc powinniśmy jak najszybciej wynieść się z obszaru Oligarchii, póki jeszcze mamy tę szansę.

– Dlaczego trzeba w ogóle liczyć się z owym systemem bezpieczeństwa teraz? – zapytał Nighthawk. – Nie myślałeś o tym, kiedy planowaliśmy robotę.

– Kiedy planowaliśmy robotę, nie mieliśmy trupa na pokładzie – odpowiedział Dziadek Mróz. – Nie ma mowy, żeby udało się to ukryć przed nimi, tam na Delurosie.

– No to zrobimy z nim to samo, co z Toczkiem – zdecydował Nighthawk.

Dziadek Mróz odwrócił się do Melisandy.

– Chcesz sama mu powiedzieć, czy ja mam to zrobić?

– Powiedzieć mu, ale co? – spytała zaskoczona, nie wiedząc, o czym mówi.

– Chryste! – mruknął Dziadek Mróz. – Zastanawiam się, czy któreś z was ma wystarczająco dużo rozumu, aby umieć się podpisać.

– Do rzeczy – odezwał się Nighthawk, zirytowany.

Starszy mężczyzna odwrócił się i spojrzał mu w twarz.

– Nie możemy wyrzucić ciała Markiza, ponieważ ten oślizły mały drań Malloy wciąż za nami leci, i jeśli wyrzucimy trupa w przestrzeń, on natychmiast weźmie go na pokład. Skończy się szantażem, by wrócić na Jukon czy Tundrę, albo weźmie za nas nagrodę w Oligarchii.

– Malloy! – wykrzyknął Nighthawk. – Cholera, zapomniałem o nim.

– Tak, za to chwała Bogu, że ja nie zapomniałem o tej szumowinie, co ściga mnie po całej galaktyce.

– W porządku – odezwał się Nighthawk, próbując zapanować nad wzburzeniem. – Nie możemy lecieć na Delurosa, dopóki nie pozbedziemy się ciała, a nie możemy tego zrobić, póki tropi nas Malloy. Pozostają w takim razie dwa wyjścia. Lądujemy na planecie wystarczająco oddalonej, aby wyrzucić ciało, albo zabieramy jeż powrotem na Granicę.

– Masz tylko jedno wyjście, synu – odezwał się Dziadek Mróz. – Musisz wracać na Granicę i tam wyrzucić ciało.

– Ale tu są setki tysięcy planet – zaprotestował Nighthawk.

– Jeśli nie chcesz, by ci przeszukano statek, wyląduj w jednym z orbitalnych hangarów – powiedział starszy mężczyzna. – Ale gwarantuję, że dokładnie cię zeskanują, gdybyś chciał wylądować na samej planecie, i nie ukryjesz ciała przed tym typem skanera, którego używają. A jeśli nie możesz pozbyć się ciała z po-

wodu obecności Malloya, to zapewniam cię, że nie zrobisz tego ani w hangarze, ani w stacji kosmicznej.

– Ale ja muszę dotrzeć na Delurosa! – krzyknął Nighthawk.

– To jest siedziba rządu ludzkiego – powiedział Dziadek Mróz. – Przestrzegają tam znacznie bardziej wymogów bezpieczeństwa niż gdziekolwiek indziej w całej Oligarchii. Zeskanują cię z dziesięć razy, zanim nawet zbliżysz się do systemu i wylądujesz na orbicie wokół Delurosa. A w momencie, kiedy namierzą trupa, będzie już czekało na ciebie z parę setek policjantów. – Urwał. – Jeślibyś go zabił gołymi rękami, ostatecznie moglibyśmy jeszcze spróbować im wmówić, że się poślizgnął i upadając uderzył głową o coś twardego; gdybyś go zabił pistoletem dźwiękowym, można byłoby zwalić winę na Świętego Toczka – gdybyś go wcześniej nie wyrzucił – ale będzie cholernie trudno ich przekonać o naszej niewinności i powiedzieć im, że postrzelił się sam równiutko między oczy, kiedy czyścił swoją broń, czy nawet twoją broń, kiedy już zbadają kulę. Teraz rozumiesz, o co mi chodzi?

– Tak, ale wciąż chcę...

– Zapomnij o tym! – krzyknął Dziadek Mróz. – Trzeba zachować priorytety; najważniejsze teraz to wrócić na Granicę i pozbyć się Markiza. W przeciwnym razie nigdy nie uda ci się dotrzeć nawet na odległość pięciuset mil od powierzchni Delurosa VIII. Takie są fakty.

Nighthawk nie odzywał się przez jakiś czas. W końcu zaczął wpatrywać się w Perłę z Marakaibo.



– Chwileczkę – powiedział, a głęboka zmarszczka przecięła mu czoło.

– O co chodzi? – spytał Dziadek Mróz.

– Kilka godzin temu pojawił się problem, o którym zapomnieliśmy w ferworze walki.

– Chyba nie nadażani za tobą.

– Malloy też nie, chociaż podąża za nami właśnie z jej powodu. Może powinniśmy spytać dlaczego?

– To wszystko głupie oskarżenia – powiedziała Melisanda ze złością. – Malloy jest twoim przyjacielem, a nie moim.

– A po co niby miałby za mną lecieć?

– A skąd do cholery miałabym wiedzieć?

– Tego nie wie nikt – odezwał się Dziadek Mróz. – Nie ma żadnego powodu – urwał. – A jaki powód ma, aby lecieć za tobą?

– Nawet go nie znam – zaprotestowała. – Widziałam go w kasynie. Spędzał większość czasu w waszym towarzystwie.

– Chwileczkę – powiedział Dziadek Mróz. – A może jednak powiesz nam, dla kogo pracujesz, zanim dołączysz do Markiza?

– Gównu ci powiem!

– To ty tak sądzisz, panienko.

– Zostaw ją – powiedział Nighthawk.

– Do diabła, synu. Wiem, że się na nią napaliłeś, ale mamy tu paskudną sytuację. Zabiłeś jednego z najniebezpieczniejszych ludzi Granicy, na ogonie siedzi nam potencjalny wróg, a być może mamy i drugiego tu z nami na pokładzie. Więc przestań wreszcie

myśleć rozporkiem, czas zacząć kierować się rozumem. Mamy kłopoty i nie mogę sam nas z nich wyciągnąć.

– Damy sobie radę, tylko przestań ją dręczyć.

– Do diabła!

– Słyszałeś, co powiedziałem.

– W porządku – powiedział starszy mężczyzna, wzdychając ciężko. – Nie możemy zostać w Oligarchii. Nie możemy pozbyć się trupa. Według mnie nie możemy wracać na Wewnętrzną Granicę. Zbyt wiele osób widziało, jak odlatywaliśmy z Markizem, domyśla się, że go zabiłeś. Bóg mi świadkiem, że ja nie mógłbym tego zrobić.

– No więc, co? – odezwał się Nighthawk. – On był tylko oszustem, trochę większym od innych. Chyba żaden rząd nie wyznaczy za mnie nagrody?

– Nie rozumiesz – powiedział Dziadek Mróz. – Tam, w laboratoriach, nie mogli nauczyć cię wszystkiego w ciągu trzech miesięcy.

– Czego nie rozumiem?

– Ci sami ludzie, którzy będą podekscytowani śmiercią Markiza, tym, że mogą podzielić łupy i wspiąć się o szczybel wyżej – ci sami będą chcieli dobrać ci się do tyłka. Bo jeśli mogłeś zabić Markiza, możesz także zabić ich. A skoro nie będą mieli pewności, czy twój obecny pracodawca nie wskaże ich właśnie jako następnych w kolejce, to jesteś napiętnowany. – Stary człowiek zamilkł na chwilę i odkaszlnął. – Więc sugeruję, byśmy trzymali się z dala od Wewnętrznej Granicy.

- Gdzie w takim razie lecimy?
- Na Obrzeże, na Zewnętrzną Granicę, na Spiralne Ramię – a przynajmniej na tę jego część, która nie należy oficjalnie do Oligarchii.
- To cholernie daleko – powiedział Nighthawk.
- Oczywiście – potwierdził Dziadek Mróz. – O to przecież chodzi.
- Nie chcę lecieć na Obrzeże ani na Zewnętrzną Granicę – odezwała się Melisanda. – Ja nikogo nie zabiłam.
- Świetnie – powiedział Dziadek Mróz. – Wysadzimy cię na pierwszej tlenowej planecie, a dalej dasz sobie radę. Na przykład Malloy zabierze cię na stopa przelatując tam.
- Niech cię szlag, jeśli to zrobię! – powiedział Nighthawk.
- Ona wcale cię nie chce, synu – powiedział starszy mężczyzna. – Teraz to, co czujesz do niej, wydaje ci się druzgocące, ale w galaktyce są tryliony kobiet. Uwierz mi: Jesteś jeszcze młody, znajdziesz sobie inną.
- Nighthawk spojrzał w oczy Melisandzie.
- Ale ty jesteś jedyną, której chcę.
- To już twój problem – odpowiedziała. – Ja mam swoje własne, najważniejszym z nich jest powrót na Tundrę.
- Jestem silniejszy od niego – powiedział Nighthawk. – Mogę lepiej cię chronić, niż on to robił.
- Ale ja ciebie nie chcę.
- Pojadę na Tundrę i przejmę po nim wszystko.

Będę tak bogaty jak on. Bogatszy. Będę mógł kupić ci wszystko, co zechcesz.

– Chcę Markiza – odpowiedziała. – Kup mi właśnie to.

– Przecież on nic cię nie obchodził. Tylko jego pieniądze i władza trzymały cię przy nim.

– Byłam z nim wyłącznie dla niego samego.

– Gówno prawda!

– Zależało mi na nim, ponieważ tylko Markiz wiedział, jak mnie zadowolić. Ale to coś, co nie mogło przyjść ci do głowy, prawda? – dodała z okrutnym uśmiechem.

– Jestem może naiwny, ale nie jestem głupi – odpowiedział Nighthawk. – Wiem, że wtedy ci się podobało.

– Różne potrawy mogą mi smakować, ale może być tylko ta jedna, którą chciałoby się zjeść ponownie.

– Nie mógł zrobić nic, czego i ja bym nie potrafił. Nauczę się wszystkiego.

– Ale nie ze mną.

– Uda nam się, zobaczysz.

– Głupi, głupi kłon – powiedziała, nie robiąc nic, aby ukryć swą pogardę. – Wyhodowany w probówce, wykarmiony chemicznym pokarmem. Wyuczona plama protoplazmy. Laboratoryjny wytwór, który chodzi i mówi jak człowiek – urwała. – Założę się, że prawdziwy Egzekutor wiedział, jak zadowolić kobietę. Sprowadź jego, a wtedy może zostanie.

Wycelował w nią z taką prędkością, że nie zdążyła nawet chwycić swojej broni. Po prostu siedziała

oszołomiona szybkością jego manewru.

– Nigdy więcej tego nie mów – wyszeptał tak cicho, że ledwo dosłyszała jego słowa.

Zarówno Melisanda jak i Dziadek Mróz widzieli Nighthawka w wielu sytuacjach. Widzieli go rozgniewanego, widzieli go, kiedy zdecydowany był na najgorsze, kilka minut wcześniej widzieli, jak zabija człowieka, ale nigdy nie odczuli przed nim fizycznego strachu. Nigdy – aż do tej chwili.

## Rozdział 21

Nighthawk umieścił ciało Markiza w luku bagażowym pod pokładem, zatapiając je wcześniej w szybko schnącym plastiku, gdyż nie wiedział, jak długo pozostanie jeszcze na statku. Powrócił następnie na mostek, gdzie wyznaczył kurs na Obrzeże, i powędrował do kuchni. Ponieważ nie pamiętał składników Mętnej Kokoty, zadowolili się piwem.

– Podróż na Obrzeże zajmie nam dziesięć, może jedenaście dni – oznajmił. – Nigdy tam nie byłem, więc nie wiem, które światy mogą być przyjaźnie do nas nastawione. Na szczęście dane w moim komputerze są aktualne.

– Ja nie chcę tam lecieć – zaprotestowała Melisanda. – Nikogo nie zabiłam i nikt nie chce mnie zabić. Chciałabym wrócić na Wewnętrzną Granicę.

– To niemożliwe, moja droga – rzekł Dziadek Mróz.

– Zatem jestem więźniem? – zapytała.

– Bynajmniej – powiedział Nighthawk. – Jesteś gościem. Wciąż nie tracę nadziei, że zechcesz być kimś więcej niż gościem.

– Idź do diabła z taką gościnnością – wybuchnęła. – Trzymacie mnie tu siłą. Chcę wracać do domu.

– A gdzie on teraz jest, kiedy Markiz nie żyje? – spytał Dziadek Mróz.

– Żebyś wiedział, że na Tundrze – odpowiedziała buńczucznie.

– Bzdura, moja droga. Nikt nie mieszka na Tun-

drze czy Jukonie, jeśli nie ma w tym interesu. Nie powiesz mi, że chcesz tam wrócić, by tańczyć naga przed tłumem facetów.

– Nie twój interes, co tam będę robić.

– Czyli masz tam jakieś zadanie do wykonania? – nie ustępował.

– Prosiłem, żebyś jej nie drażnił – przerwał mu Nighthawk.

Stary wzruszył ramionami.

– W porządku. Zatem o czym będziemy rozmawiać?

Przez chwilę na statku panowało kłopotliwe milczenie, które przerwał młodzieniec, zamawiając kolejne piwo.

– Ja się też napiję – rzekł Dziadek Mróz.

– A ty? – Nighthawk zwrócił się do dziewczyny, która pokręciła głową. – Może coś zjesz?

– Nie.

– Musisz coś chcieć! – nalegał młodzieniec.

– Chcę wracać.

– Nie mogę lecieć na Tundrę.

– Dlaczego?

– Jeszcze nie jestem przygotowany do konfrontacji z ludźmi Markiza, którzy, jak tylko się rozniesie, że go zabiłem, wyruszą po mój skalp. Na Obrzeżu będę na razie bezpieczny.

– Tam również są łowcy nagród – zauważyła.

– Lecz nie będzie ceny na moją głowę – odparował Nighthawk. – A słyszałaś, żeby jakiś łowca zabijał za darmo?

- Tak – rzekła – ty.
- Nie jestem typowym łowcą nagród – poprawił ją. – Poza tym, zabiłem Markiza z twojego powodu.
- Nie prosiłam o to – odparła. – Zabiłeś go, a teraz zabierasz mnie na drugi koniec galaktyki. I jeszcze zastanawiasz się, dlaczego cię nie znoszę.
- Nighthawk spojrzał na nią uważnie.
- Polubiłabyś mnie, gdybym zabrał cię z powrotem?
- Nie – powiedziała z figlarnym uśmiechem. – Ale mniej bym cię nienawidziła.
- Przez chwilę rozważał tę możliwość.
- Nie możesz tego uczynić, synu – cicho powiedział Dziadek Mróz – jeśli chcesz dożyć późnego wieku.
- Wiem – odpowiedział młodzieniec. Zwrócił się w stronę Melisandy. – Lecisz z nami na Obrzeże. Zobaczysz, nie będzie źle.
- Dziewczyna spojrzała na niego zimno, wstała i bez słowa poszła do swojej kabiny.
- Chcesz rady? – spytał Dziadek Mróz.
- Nie – odparł krótko Nighthawk.
- I tak ci jej udzielenie. Jeśli masz zamiar dotrzymać jej towarzystwa w kabinie, przeszukaj ją, zanim pójdziecie do łóżka.
- Nie chcę jej zniewolić. Kocham ją i chciałbym, żeby odwzajemniła to uczucie.
- Jesteś od niedawna w temacie, więc nie do końca rozumiesz, na czym polega miłość – rzekł starszy mężczyzna. – Ona nigdy nie kochała i nie pokocha nikogo prócz siebie samej.



- Zamknij się.
- Jak sobie życzysz.

Po chwili milczenia Nighthawk wstał i rzuciwszy zdawkowe „muszę się zdrzemnąć”, udał się do kabiny załogi, gdzie zapadł w głęboki, niespokojny sen...

...który został przerwany donośnym wyciem syreny alarmowej.

Nighthawk poderwał się gwałtownie, uderzając się przy tym solidnie o niski sufit pomieszczenia. Wciąż lekko oszołomiony pobiegł na mostek, na którym Dziadek Mróz miotał się na wszystkie strony, usiłując znaleźć wyłącznik.

– Stop – krzyknął Nighthawk. Syrena momentalnie zamilkła.

- Reaguje wyłącznie na mój głos.
- Więc dlatego nie mogłem jej wyłączyć.
- Co się stało? – spytał młodzieniec, rozglądając się dokoła. – Wszystkie systemy działają poprawnie.
- Otworzyła służbę powietrzną i luk bagażowy. Usiłowałem ją powstrzymać – rzekł Dziadek Mróz – lecz najwyraźniej połowa urządzeń zabezpieczających tego statku reaguje tylko na twój głos.

– Ona? – powtórzył Nighthawk. Rzucił się do ekranu. – Maksymalne powiększenie. – Z trudem dostrzegł dwie maleńkie figurki: ubraną w skafander kosmiczny Melisandę i okryte plastikowym pokrowcem zwłoki Markiza. – Co ona, do jasnej cholery, wyprawia? – zamruczał Nighthawk. – Przecież to nie ma najmniejszego sensu.

- Owszem, jest jak najbardziej logiczne – rzekł

Dziadek Mróz na widok statku Malloya, który zawisł nieruchomo w przestrzeni, czekając, aż dziewczyna zbliży się do niego. Chwilę później zniknęła w otwartym włazie pojazdu, który następnie oddalił się w kierunku Wewnętrznej Granicy.

– Jak tylko komputer przeanalizuje ich kurs, ruszymy za nimi – powiedział Nighthawk, odrywając w końcu wzrok od monitora.

– A co dalej? – spytał Dziadek Mróz. – Ten statek nie ma żadnego uzbrojenia, nie możesz zapuścić się w sam środek terytorium Markiza, licząc wyłącznie na szczęśliwy traf.

– Może ona tam nie leci?

– Gdzie, twoim zdaniem, ma się udać z jego ciałem?

– Do miejsca, w którym wypłacą jej nagrodę.

– Nie ma żadnej nagrody za Markiza, nie był ścigany listem gończym. W przeciwnym razie już dawno by nie żył. – Urwał. – Spójrz prawdzie w oczy, synu. Malloy i twoja przyjaciółka są współnikami, ewentualnie mają tego samego zwierzchnika. Mówiłem ci wcześniej, że to z jej powodu podążał za nami. Jeśli postanowisz ich ścigać, to skończy się to rozwaleniem kogoś w pył, nie sądzę jednak, by to był Malloy.

– W porządku – powiedział gorzko Nighthawk. – Wygląda na to, że znasz odpowiedź na każde pytanie. Dla kogo zatem pracują?

– Nie znam wszystkich odpowiedzi, po prostu łączę fakty w logiczną całość. Trzeba zastanowić się, kto przede wszystkim skorzysta na śmierci Markiza.

– Sam powiedziałaś, że nie ma za niego nagrody.  
– Za ciebie także – odparł Dziadek Mróz. – A śmiało możemy założyć, że znalazłby się ktoś, pragnący szczerze twej śmierci.

Na parę minut zaległa cisza.

– Nie mam pojęcia – powiedział Nighthawk.

– Sądzę, że niewielu czteromiesięczniaków wpadłoby na to – rzekł Dziadek Mróz. – Musisz jednak szybko dorosnąć, by przeżyć w tym brutalnym świecie.

– Oszczędź mi wstępu i przejdź do konkretów – rozzłościł się młodzieniec.

– W porządku – zgodził się Dziadek Mróz. – Kto wysłał ciebie do Markiza?

– Pułkownik Hernandez, jak jeszcze byłem na Solio II.

– Rozumiesz już?

– Co mam rozumieć? – zapytał Nighthawk. – Powiedział mi tylko, że Markiz wie, kim jest zabójca Trelaine'a.

– Owszem, Markiz znał jego nazwisko – rzekł Dziadek Mróz. – Hernandez również.

– Co ty wygadujesz?

Starszy człowiek usiadł wygodnie w fotelu, po czym zapalił cygaro.

– Przedstawię ci moją hipotezę co do tej sprawy – powiedział w końcu.

– Zamieniam się w słuch.

– Założmy, że jestem Hernandezem. Od lat dowodzę siłami bezpieczeństwa planety, w których skład wchodzi elitarne jednostki wojskowe. Mój szef, guber-

nator, jest tyranem jak wszyscy inni zarządcy planet, jednak nieco zbyt, jak na mój gust, łagodnym. Nadażasz za mną?

– Bez problemu – odparł Nighthawk.

– Wydaje mi się, że byłbym znacznie lepszym gubernatorem niż Trelaine. Co muszę zrobić?

– Zabić go.

Dziadek Mróz pokręcił głową.

– Nie mogę sobie na to pozwolić. Istnieje niebezpieczeństwo, że ktoś mnie zobaczy. Nie oznacza to bynajmniej, że ów plan jest niewykonalny. Muszę tylko skontaktować się z działającym na moim terytorium kryminalistą – z takim, który myśli przyszłościowo – i namówić go, by zrobił to za mnie. Może mu zapłacić albo daruję wcześniejsze przestępstwa i obiecuję większą swobodę działania w przyszłości. Nie interesuje mnie, czy Markiz robi to osobiście, czy wynajmie kogoś, musi dopilnować, by Trelaine'a nie było pośród żywych.

– Lecz nie zostałeś gubernatorem.

– Wiem – odparł z uśmiechem Dziadek Mróz. – Źle przewidziałem rozwój wypadków. Pamiętasz, tego dnia Trelaine udał się do opery, by pogodzić dwie zwaśnione frakcje. Mogło być tak, że żadna z nich nie czuła się na tyle silna, by przejąć władzę, lecz wspólnie mogły zapobiec przejęciu władzy przeze mnie. Ponadto okazało się, że muszę udowodnić, iż nie mam nic wspólnego z zabójstwem. – Przerwał, by zaciągnąć się cygarem. – Nie mogę pojmać Markiza, gdyż podczas procesu wszystko wyszłoby na jaw, musi on jednak

zginać. I tu pojawiaasz się ty.

– Najlepszy zabójca w całej galaktyce.

– To nie jest najważniejsze. Nalegałem, by to był klon, ponieważ z chwilą dotarcia na Granicę miałby zaledwie trzy miesiące życia. Potrzebowałem osoby, która potrafiłaby zabić Markiza oraz jednocześnie byłaby zbyt naiwna i niewinna, by skojarzyć ze sobą pewne oczywiste fakty. Ponadto cała sytuacja musiała zostać tak ukartowana, by ta osoba zmuszona została do zabicia Markiza, a nie jego pojmania.

– Interesująca hipoteza – przyznał Nighthawk, choć rola, jaką w niej odgrywał, nie przypadła mu zbyt do gustu. – Nie widzę w niej jednak miejsca dla Melisandy i Malloya.

– Melisanda jest szpiegiem Hernandeza – wyjaśnił Dziadek Mróz. – Rozkochanie ciebie nie było jej zadaniem. Miała zostać kochanką Markiza i powiadomić Hernandeza, jeśli Markiz zapragnąłby nagle mówić, lub – co jest bardziej prawdopodobne – szantażować pułkownika.

– A jaka jest rola Malloya?

– Nie sędzę, by pracował bezpośrednio dla Hernandeza. Pojawił się przypadkowo. Przecież gdyby nie ty, zginąłby z rąk Markiza albo zamarzył podczas ucieczki. Moim zdaniem Hernandez mógł go wynająć za pośrednictwem Melisandy po tym, jak się zaprzyjaźniliście. – Dziadek Mróz wypuścił kłęb dymu i spojrział na młodzieńca. – Co o tym sądzisz?

– Chyba masz rację – przyznał Nighthawk po długim namyśle.

– Chyba?

Rozzłoszczony młodzieniec walnął pięścią w poręcz fotela.

– Dobra. Masz całkowitą rację. Od początku do końca. Zadowolony?

– Dziękuję – odparł Dziadek Mróz. – Zakładam, że obieramy teraz kurs na Obrzeże.

– Jeszcze się nie zdecydowałem.

– Myślałem, że ustaliliśmy, jaką to zdradliwą wywłoką jest Perła z Marakaibo.

– Wiem.

– Więc o co chodzi?

– Nie ma osób idealnych.

– Trzymajcie mnie, bo oszaleję! – wykrzyknął Dziadek Mróz. – Nie mówimy o kobiecie zbliżonej do ideału. Nie dość, że pracuje dla twojego wroga, to na dodatek najchętniej widziałaby cię martwym. Co się z tobą dzieje do diabła!

– Nie kochałeś się z nią – rzekł młodzieniec. – Nawet nie wyobrażasz sobie, z czego każesz mi zrezygnować.

– Z szybkiej śmierci – odparował Dziadek Mróz. Wstał, by przespacerować się i ochłonać nieco, lecz po chwili, zorientowawszy się, że nie ma na to miejsca, usiadł ponownie. – Gdybyś wcześniej poszedł do łóżka z inną kobietą, wiedziałbyś, że Melisanda nie jest niezastąpiona. I pamiętaj, ona robiła to wszystko z obowiązku. Teraz, po tym jak znamy prawdę, nie będzie się z tobą więcej kochać.

– Lecz ona o tym nie wie.

– Opuściła statek z ciałem Markiza – powiedział sardonicznie starszy człowiek. – Dała wystarczający dowód na to, po której jest stronie. I dobrze o tym wie.

– Pragnę jej.

– A ja pragnę być królem planety Deluros VIII – odparł Dziadek Mróz. – Obaj skazani jesteśmy na rozczarowanie.

– Mów za siebie – powiedział Nighthawk.

## Rozdział 22

Dziadek Mróz popijał piwo, próbując trzymać nerwy na wodzy.

– Niech to szlag, synu, czy mógłbyś choć raz ruszyć głową?

– O czym ty mówisz? – zapytał Nighthawk.

– Wiem, że to trudne, ale spróbuj jeszcze raz wszystko przemyśleć. Chcesz polecieć za tą dziewczyną, zgadza się?

– Zgadza.

– I wiesz, że towarzyszy teraz Malloyowi i pracuje dla pułkownika Hernandeza?

– Do czego zmierzasz?

– Pozwól, że ci wyjaśnię. Jak sądzisz, dokąd teraz lecą?

– Prawdopodobnie na Solio II.

– Czyli jeśli polecisz za nimi, to w końcu trafisz tam, mam rację?

– No i co z tego?

– Ile Hernandez dłużny jest twoim twórcom?

– Nie jestem pewien – odpowiedział Nighthawk – coś około pięciu milionów kredytów.

– Ale nie powiedziałeś swoim ludziom na Deluro-sie, że wykonałeś zadanie i zabiłeś Markiza – zazna-czył Dziadek Mróz. – Więc jak, twoim zdaniem, naj-prawdopodobniej postąpi Hernandez, jeśli wylądujesz na Solio?

Nighthawk nie odzywał się, analizując w myślach różne możliwości. Wreszcie skrzywił się.



– Zabije mnie własnoręcznie lub każe to zrobić komuś innemu i zaoszczędzi kupę forsy.

– Właśnie – powiedział Dziadek Mróz. – Zabiłeś już człowieka, na którego śmierci mu zależało. Teraz pozostaje mu już tylko ciebie zabić, wyrzucić twoje ciało na jakąkolwiek planetę Granicy oprócz, rzecz jasna, Solio, a następnie donieść twoim ludziom na Delurosie, że powiedziałaś mu o jakimś interesującym tropie, którym zamierzasz podążyć, a potem powie im, że dowiedział się o zasadzce, w którą wpadłeś, i że nie żyjesz. – Stary człowiek dopił piwo. – Pamiętaj, że Hernandez jest odpowiedzialny za bezpieczeństwo całej planety – ciągnął. – Ma pewnie z dziesięć razy więcej ludzi pod bronią niż Markiz. No i są zapewne bardziej od tamtych zdyscyplinowani. Jeśli tam polecisz, nie będziesz miał żadnych szans.

– W porządku – odezwał się gniewnie Nighthawk.  
– Wyłożyłeś swoje racje.

– A więc lecimy na Obrzeże, tak?

– Nie.

– Ale przecież wytłumaczyłem ci, że lecieć na Solio to samobójstwo – powiedział Dziadek Mróz.

– Ostrzegłeś, na co się porywam.

– A więc o co chodzi?

– Chcę jej.

– Nie ma w tym nic złego – odezwał się Dziadek Mróz. – Poprzestań tylko na samym chceniu.

– Kocham ją, nie zostawię jej.

– Jesteś głupcem!

– Nikt nie mówi, że masz lecieć ze mną – powie-

dział Nighthawk. – Mogę cię wysadzić na pierwszej zamieszkannej planecie, jaką napotkamy.

– A skąd pewność, że znajde tam jakiś kościół? – odparł Dziadek Mróz. – Potrzebujesz stróża, synu. To właśnie ja.

– W takim razie lecisz ze mną?

– Kiedy tylko będziemy gotowi.

– Ja już jestem gotowy.

– Do diabła, jesteś – odezwał się Dziadek Mróz. – Jak tylko Hernandez porozmawia z Perłą z Marakaibo – aby to uczynić, nie musi czekać, aż wyląduje ona na Solio – dowie się, że ty zabiłeś Markiza i że prawdopodobnie przylecisz po dziewczynę. Pierwsze, co zrobi, to ustali cenę za twoją głowę.

– Ale przecież zabiłem człowieka, którego chciał widzieć martwym.

– Zgadza się, ale teraz kiedy nie ma żadnego dowodu łączącego go z zabójstwem Trelaine'a, najłatwiejszym sposobem na zaoszczędzenie Bóg wie ilu kredytów, które jest winien twoim twórcom na Delurosie, jest zabicie ciebie. Tak, zrobi to, zanim zdążysz wytłumaczyć, dlaczego sądzisz, iż Markiz był zabójcą Trelaine'a lub że był przynajmniej powiązany z tym zabójstwem. Każę rozesłać za tobą listy gończe do każdego świata Granicy i jeśli nie zabiją cię jego ludzie, zrobią to łowcy nagród. Do diabła, jak tylko powie twoim ludziom na Delurosie, że ich nielegalny klon przebywa poza terytorium i że zabija ludzi na własną rękę, zapewne jeszcze podwoją nagrodę.

– Więc co sugerujesz?

– Troszeczkę ich zmylimy – odpowiedział starszy mężczyzna.

– Pamiętasz? Mówiłem ci o fałszywych paszportach i innych papierach. To jest to, czego nam trzeba. On oczekuje, że wślizgniesz się niepostrzeżenie na jego planetę i wylądujesz w odludnym miejscu, a później przyjdiesz po niego pod osłoną nocy. Myślę, że w tym przypadku lepiej wejść drzwiami niż oknem. A najlepiej głównym wejściem. Przedstawisz się dopiero, jak miniesz dziewięćdziesiąt dziewięć procent jego zabezpieczeń.

– Ile czasu to zabierze? – spytał Nighthawk, poważnie rozpatrując tę sugestię.

– To zależy. Jak daleko znajdujemy się od Purpurowej Chmury, Terrazane i Antaresa III?

– Nie mam pojęcia – odparł Nighthawk.

– Ja też nie, ale po to jest komputer nawigacyjny.

W chwilę później zostali poinformowani, iż najbliższej z tych światów znajduje się Purpurowa Chmura i że dotrą do niej za siedemnaście godzin.

– Kurs na Purpurową Chmurę – powiedział starszy mężczyzna, zamawiając kolejne piwo.

– Czy tam mieszka jeden z twoich fałszerzy?

– Raczej jeden z moich specjalistów do spraw wyposażenia – poprawił go z uśmiechem.

– Wyposażenia?

– Zobaczysz – zapewnił go Dziadek Mróz.

## Rozdział 23

Purpurowa Chmura nie zaliczała się do wspaniałych światów, mimo że niezaprzeczenie leżała w granicach Oligarchii. W początkowym stadium eksploracji galaktyki przez człowieka była przede wszystkim planetą rolniczą, dostarczającą żywność piętnastu okolicznym światom górniczym. Wkrótce odkryto planety o glebie znacznie bardziej urodzajnej i Purpurowa Chmura odeszła w zapomnienie.

Ponad dwa tysiąclecia panował tam spokój, który skończył się wraz z odkryciem pokładów złota w jednym z górskich pasm. Nie starczyło go jednak na długo, lecz gorączka złota pozostawiła po sobie parę miasteczek. Dwa z nich przetrwały. W jednym mieszkali pracownicy potężnych korporacji, które przejęły opustoszałe ziemie, uprawiając na nich przeróżne hybrydy roślinne, drugie zaś służyło jako stacja paliwowa dla udających się w kierunku Wewnętrznej Granicy.

Nighthawk wylądował w pobliżu drugiego z miast planety, noszącego nazwę Tomahawk. Wysiadłszy, skierowali się do autobusu powietrznego, po drodze mijając rzędy reklam i listów gończych.

– Znam to miejsce – powiedział Dziadek Mróz, gdy wysiedli przed małą restauracją. – Mają tu doskonałe jedzenie.

– Wspaniale – ucieszył się Nighthawk, podążając za nim do środka. – Bo to nasze jedzenie już mi bokiem wylazi.

Starszy człowiek znalazł odpowiedni stół i

usiadł ciężko.

– Menu było nawet interesujące, najgorzej, że wszystkie posiłki robione były z soi. Tutaj dostaniesz prawdziwe mięso. Jakies paręset mil stąd hodują zmutowany gatunek bizona – powinieneś zobaczyć, potężne czerwone sztuki, każda o wadze trzech ton. Są przepyszne.

– Jak się nazywają? – spytał Nighthawk.

– Czerwone bizona – odparł Dziadek Mróz. – Zamów sobie polędwicę. Jest niezrównana.

Po złożeniu zamówienia Nighthawk spojrzął na swego towarzysza.

– Gdzie mieszka twój specjalista?

– Niedaleko stąd.

– Jesteś pewien, że tu nadal przebywa?

– Na sto procent. A poza tym ona.

– Jak ci się udało ją znaleźć na tej zapyziałej planecie?

– Kiedyś pracowałem z paroma osobami, które miały lepiej podrobione paszporty niż mój. Zapytałem, kto je zrobił. Cała filozofia.

– Jeśli jest tak dobra, jak mówisz, to dlaczego współpracujesz z innymi fałszerzami? – spytał Nighthawk podczas jedzenia.

– Doskonały stek – taki jak robiono dawniej – stwierdził Dziadek Mróz, wtapiając zęby w soczyste mięso. – Ponieważ nigdy nie wiesz, kiedy będziesz potrzebował zmienić nazwisko, a możesz nie mieć czasu, by pędzić przez pół galaktyki po nowe papiery. Ponadto, nie ma więcej jak dziesięciu, może dwunastu naj-

lepszycy specjaliści w całym kosmosie.

– Było ich kiedyś więcej?

– Tak.

– Co się im przytrafiło?

– Ludzie tacy jak ty – powiedział Dziadek Mróz. – To jest bardzo dochodowy interes i często jeden fałszerz wynajmował przeciwko drugiemu profesjonalnego mordercę. Wielu zabójców z tego żyło.

– Jak ci smakowało? – spytał starszy człowiek po skończonym posiłku. – Nie rozczarowałaś się przypadkiem?

– Bynajmniej – odparł młodzieniec, wycierając usta rękawem. – Będę robił tu postój za każdym razem, kiedy zawitam w te strony.

– Wiesz, co ci powiem – rzekł Dziadek Mróz – nim stąd odlecimy, kupimy parędziesiąt zamrożonych steków. Co ty na to?

– Doskonały pomysł – zgodził się Nighthawk.

– Pozwól, że ja zapłacę – zaproponował Dziadek Mróz, przyciskając do sensora swój kciuk. – Nie posiadasz konta w Oligarchii, a wieki by trwało, gdybyśmy kazali im ściągać z twego rachunku na Granicy.

Równo dwadzieścia sekund zajęła komputerowi weryfikacja odcisku jego kciuka i zbadanie stanu konta.

– Co teraz? – spytał Nighthawk, gdy wyszli z restauracji.

– Odwiedzę mego dostawcę i postaram się wytargować dobrą cenę za potrzebne nam rzeczy – powiedział Dziadek Mróz. – Lepiej, żebyś mi nie towarzyszył,

może nie wpuścić nas obu.

– Nie ma sprawy – zgodził się młodzieniec. – Będę w barze naprzeciwko.

– W porządku – powiedział starszy człowiek. – Spotkamy się za dwadzieścia minut.

Nighthawk skinął głową i wolno odszedł w stronę tawerny. W jej mrocznym wnętrzu przebywali zarówno ludzie jak i obcy, w takich samych proporcjach. Młodzieniec rozejrzał się po wnętrzu, dojrzał wolny stolik i skierował się w jego stronę. Usiadł i dokładniej przyjrzał się wystrojowi. Pomimo że była to Oligarchia, miejsce owo wydawało się prymitywne nawet według standardów Granicy. Meble, wykonane z lokalnego, twardego drewna, nie unosiły się w powietrzu ani nie dopasowywały się do kształtu ciała. Proste oświetlenie było także nieruchome, skierowane w jeden punkt i nie dostosowywało swego natężenia do czułości źrenic. Surowy bar został wykonany z tego samego drewna co meble, nie błyszczał, nie lśnił ani nie iskrzył się światełkami. Nie miał także w swym wyposażeniu komputera.

Od stolika do stolika krążył mały, trójnożny obcy z planety Moletoi II, który zbierał zamówienia i roznosił drinki, zaś za barem siedział człowiek i z przyklepionym do twarzy wyrazem znudzenia inkasował pieniądze.

– Co pan sobie życzy? – spytał mały Moletojanin, używając aparatu translacyjnego.

– Jedną Mętą Kokotę.

– Chętnie bym spełnił pańskie zamówienie, lecz

to jest tawerna, nie burdel – powiedział. – Z przykrością muszę pana poinformować, że dostarczenie panu prostytutki jest poza zasięgiem mych możliwości.

– To jest nazwa napoju alkoholowego.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– Nie słyszałem nigdy o nim.

– Pewnie zapisalibyśmy całą książkę nazwami rzeczy, o których nie słyszałeś – rzekł Nighthawk. – Przekaż barmanowi moje zamówienie, on już będzie wiedział, jak go przygotować.

– Czy pragnie pan zamówić coś jeszcze, na wypadek gdyby barman też o nim nie słyszał?

– Po prostu zrób, co ci powiedziałem.

Moletojanin uklonił się i oddalił chybotliwym krokiem. Chwilę później barman zaczął przyrządzać Nighthawkowi drink. Kiedy skończył, mały Moletojanin usłużnie przyniósł zamówiony napój.

– Barman słyszał o nim, proszę pana.

– Dlaczego nie jestem zdziwiony? – powiedział Nighthawk sardonicznie.

– Nie wiem, dlaczego nie jest pan zdziwiony. Mogę się jedynie domyślać, że napój ten jest przez ludzi lubiany.

Młodzieniec spojrział chłodno na obcego i zajął się drinkiem. Moletojanin, widząc, że jego obecność jest już niepożądana, odszedł, by obsługiwać innych gości.

Nighthawk sączył powoli napój, myśląc, że barman być może o Mętnej Kokocie słyszał, ale wcześniej chyba nic takiego nie przyrządzał, kiedy do tawerny



wszedł Dziadek Mróz.

– Wiąż czynna zawodowo? – spytał Nighthawk.

– Tak jak ci mówiłem – powiedział Dziadek Mróz, ciężko opadając na krzesło.

– Co ci powiedziała?

– Dostarczy nam wszystko, czego potrzebujemy.

– Na kiedy?

– Na jutro.

– Jest tylko mały problem – rzekł starszy człowiek. – Nie przejmuj się, to nic takiego, czego nie można by załatwić do wieczora, najpóźniej jutrzejszego ranka.

– Co się stało?

– Jej ekspert od komputerowych transakcji powiedział, że policja zabezpieczyła wszystkie moje konta w Oligarchii.

– Co to oznacza?

– To, że za każdym razem kiedy przelewam jakąś kwotę, jest uruchamiany alarm i policja może się dowiedzieć, komu płaciłem.

– Czyli wiedzą już, że przebywasz na Purpurowej Chmurze – zauważył Nighthawk. – Płaciłeś za obiad, pamiętasz?

– Tak.

– Więc w czym problem?

– Wszystko w porządku, jeśli dowiedzą się, że zapłaciłem za obiad czy kupiłem stos uranowy, ponieważ to nie doprowadzi ich do mojej przyjaciółki, która nie chciałaby, aby rząd wtykał nos w jej interesy.

– Rozumiem – powiedział Nighthawk. – Powie-

działeś, że jakoś możemy ominąć ten problem. W jaki sposób?

– Nie domyślasz się? – uśmiechnął się Dziadek Mróz. – Po prostu obrabujemy parę kościołów.

– To nie moja działka.

– Tym razem zrobisz wyjątek – odparł stary. – Potrzebujemy pieniędzy, których nie można wyśledzić. Złoto z Barbara II jest zbyt świeże.

– Nie musielibyśmy nic robić, gdybyś nie pozwolił uciec Melisandzie – powiedział Nighthawk.

– Zostawmy przeszłość w spokoju, synu.

– Przeszłość! – wybuchnął chłopak. – To było dopiero wczoraj. – Spojrzał na starszego człowieka. – Ten hałas musiał cię obudzić. Jeśli nie mogłeś sam jej zatrzymać, dlaczego nie poszedłeś po mnie?

– Krzyżyk na drogę złym ludziom – rzekł sentencjonalnie Dziadek Mróz. – Ta dziewczyna jeszcze by cię zabiła.

– Właśnie z powodu owej dziewczyny siedzimy tu, starając się o nowe nazwiska.

– I ich nie dostaniemy, jeśli nie oporzędzimy paru kościołów – powiedział stary ponuro.

– Założmy, że się zgodzę – rzekł Nighthawk. – Czy twój fałszerz przyjmie zapłatę w świecznikach?

– Oczywiście, że nie. Będziemy musieli pójść wpierw do pasera.

– Kobieta, którą kocham, leci właśnie na Solio II, a ja mam rabować kościoły i lazić po paserach? – rozłościł się młodzieniec.

– Znasz jakiś szybszy sposób? – zapytał zaczep-

nie Dziadek Mróz.

– Żebyś wiedział! – warknął Nighthawk.

Wyciągnął błyskawicznie pistolet i strzałem w tył głowy zabił mężczyznę, który w towarzystwie trzech kompanów stał przy barze. Nim ciało upadło, wszyscy goście rzucili się na ziemię w poszukiwaniu schronienia.

– Oszalałeś? – krzyknął Dziadek Mróz.

– Jest nagroda za tego gościa, obojętnie: żywego czy martwego – odparł Nighthawk. – Widziałem jego twarz na liście gończym w pobliżu portu kosmicznego.

Powstał i zbliżył się do kompanów zabitego.

– Wszyscy jesteście ścigani – oznajmił. – Lecz nie interesujecie mnie. Wystarczą mi pieniądze za waszego kumpla. Jeśli chcecie żyć, to broń na podłogę i wynocha.

– Kim, u diabła, jesteś? – spytał jeden z nich.

– Człowiekiem, który daruje wam życie.

– Tak? Mam gdzieś twoją darowiznę! – To mówiąc sięgnął po broń, lecz nim ją dobył, padł trafiony między oczy. W mgnieniu oka Nighthawk wykonał obrót, by zmierzyć się z dwójką pozostałych. Jeden z nich trzymał dłoń na miotaczu, nie zdążył jednak wystrzelić. Drugiemu Nighthawk pozwolił oddać strzał, po czym rozwalil mu głowę.

– Idioci – mruknął. – Powinni byli mnie posłuchać.

– Masz ich za idiotów? – powiedział oburzony Dziadek Mróz. – A co powiesz o człowieku, który zabił ich bez żadnego powodu?

– Bez powodu? Razem wzięci przedstawiają wartość około pięćdziesięciu tysięcy kredytów.

– I z chwilą kiedy je odbierzesz, ludzie z Delurosa dowiedzą się, że tu jesteś.

– Kogo to obchodzi? – odparł Nighthawk. – Nie będziemy na nich czekać. Jak tylko dostanę pieniądze, idiemy do fałszerza i odlatujemy.

Dziadek Mróz spojrzał na cztery ciała, leżące na podłodze.

– Temu pierwszemu nie dałeś kompletnie żadnej szansy – powiedział.

– Był zabójcą z wyznaczoną ceną za swoją głowę.

– I człowiekiem.

– Przeszkodą, która odgradzała mnie od Melisandy – rzekł Nighthawk. – Następnie zamierzam usunąć w podobny sposób.

Spojrząwszy w oczy młodzieńca Dziadek Mróz zdał sobie sprawę, że to nie były słowa rzucone na wiatr.

## Rozdział 24

Nagrodę odebrali następnego ranka – piętnaście tysięcy kredytów za pierwszego zabitego przez Nighthawka i po dziesięć od sztuki za pozostałych trzech. Dziadek Mróz natychmiast zamienił kredyty na dolary Marii Teresy i funty londyńskie. Przekonał Nighthawka, że z chwilą kiedy znajdą się na Granicy, gdzie ludzie niezbyt wierzą w długowieczność Oligarchii, a jeszcze mniej jej waluty, pieniądze, na które zamienił kredyty, będą o wiele więcej warte. Nighthawk, znający wszelkie rodzaje walut na Tundrze i w innych światach Granicy, nie oponował.

Gdy zakończyli transakcje walutowe, poszli do miejsca, gdzie pracował fałszerz: lokalu znajdującego się zaraz nad sklepem z bronią. Nie było tam windy powietrznej ani nawet zwyczajnej. Po prostu kilka stopni wiodących na piętro. Drzwi – gładkie, drewniane – nie miały żadnej plakietki ani numeru. Lecz gdy się do nich zbliżyli, umieszczane nad wejściem czujniki szybko ich zeskanowały, i drzwi otworzyły się, wpuszczając mężczyzn do foyer. W salonie stała, wpatrując się w nich, mała gibka kobieta o kasztanowatych włosach, które – co rzucało się w oczy – już dawno nie były czesane.

– Przynieśliście pieniądze?

– Tak, mamy je – odpowiedział Dziadek Mróz.

– Oczywiście nie ma mowy o kredytach – odezwała się, uprzedzając go. – Wymiana po kursie z Siriusa V, według dzisiejszych notowań z godziny dziewiątej

Czasu Standardowego.

Urwała i popatrzyła na niego, jakby spodziewając się sprzeciwu.

– Świetnie, jeśli o mnie chodzi.

Podeszła do Nighthawka i przez chwilę studiowała jego twarz.

– A więc to jest twój młody przyjaciel.

– Coś nie tak? – spytał Dziadek Mróz.

– Nie, jeśli macie pieniądze.

– Oto one – powiedział, wyciągając zwitek z kieszeni.

– Połóż na stole – poleciała, podchodząc do biurka; otworzyła jedną z szuflad i sięgnęła do niej. Wyjęła dużą kopertę, którą pokazała mężczyznom. – To – odezwała się wyjmując małą kostkę – jest twój paszport. Nazywasz się Jacob Kleinschmidt i jesteś górnikiem z kopalni platyny w Alpha Bednares IV.

Dziadek Mróz studiował kostkę przez chwilę.

– Czy nie powinien być płaski i okrągły?

– W sektorze Altair są już inne, a stamtąd właśnie pochodzisz. – Sięgnęła do koperty i wyjęła z niej więcej przedmiotów. Żaden z nich nie miał więcej niż cal wielkości. Większość z nich była z tytanu. – Twoje świadectwo chrztu. Zapis twojej działalności zawodowej. Twój ostatni formularz podatkowy, świadectwo zdrowia. Trzy wizy in blanco ważne na obszarze większości światów Oligarchii. – Odwróciła się do Nighthawka. – Czy kiedykolwiek byłeś w systemie Deneb?

– Nie, proszę pani, jestem z...

– Nie chcę wiedzieć, skąd pochodzisz – przerwała.  
– A jeśli używasz swojego prawdziwego imienia, nie chcę go znać. – Urwała. – Wiesz – odezwała się po chwili, wpatrując w jego twarz – właściwie nie musisz być z systemu Deneb. Jesteś dostatecznie młody, aby być na wycieczce związanej z dziedziną studiów. Jesteś z Arystotelesa.

– Z Arystotelesa? – powtórzył.

– Planeta uniwersytecka. Rozumiem, że masz zamiar dotrzeć do szefa urzędu bezpieczeństwa jednego ze światów Granicy.

– Tak, on jest...

– Nie chcę wiedzieć, kim i gdzie on jest. Wystarczy mi jego zawód. – Zamyśliła się. – Nie możesz studiować ochrony, nie ma takich studiów. Niech no pomyśle... tak, będziesz studiował szyfry. To przynajmniej związane z ochroną i bezpieczeństwem, no i powinno uzasadnić prośby o możliwość rozmowy z tym, na kogo polujesz.

– Czy będzie pani potrzebny mój hologram? – zapytał Nighthawk.

– Już został zrobiony. Przy wejściu, kiedy czekaliście, aż drzwi się otworzą – odpowiedziała. – Twój paszport właśnie się robi.

– Świetnie.

– To potrwa tylko chwilę.

Wyszła z pokoju.

– Czy ona ma jakieś imię? – zapytał Nighthawk. – Dziwnie się czuję, ciągle mówiąc do niej tylko „proszę pani”.

– Na pewno ma – odparł Dziadek Mróz. – Ale nigdy nie uznała za konieczne wyjawić mi go.

– To bez sensu – odezwał się Nighthawk. – Przecież jeśli nawet by cię złapali i musiałbyś powiedzieć, skąd masz paszport, wystarczy, że podasz adres, i wyjdzie na to samo.

– Jeśli nie zauważyłeś, to powiem ci: na tej ulicy nikt nie ma adresu. A budynek wygląda tak samo jak pozostałe trzy czy cztery, które tu stoją. Jeśli policjanci, szukając jej, nie będą operować nazwiskiem, to kiedy się zjawia, będzie miała jakieś pół godziny, aby ukryć wszystkie obciążające ją dowody.

– Dokładnie będzie to cała godzina – powiedziała kobieta, powracając do pokoju. Podeszła do Nighthawka i wręczyła mu kopertę. – Wszystko znajdziesz w środku. Nazywasz się Vincent Landis, jesteś studentem z Arystotelesa. Główny kierunek twoich studiów to szyfry, a dodatkowo zajmujesz się też siecią informacyjną. Masz dwadzieścia jeden lat i pochodzisz z Silverblue, z Obręczy. Twoi rodzice są farmerami.

– Zrozumiałem – powiedział Nighthawk. Odwrócił się w stronę Dziadka Mrozą. – Wszystko już załatwione?

Starszy mężczyzna roześmiał się.

– Jeszcze chwilę – odwrócił się do kobiety. – Czy masz to, o czym rozmawialiśmy wczoraj wieczorem?

– Pistolet? – spytała. – Tak, ale jak już ci mówiłam, to będzie słono kosztować.

– Cena nie gra roli – powiedział Dziadek Mróz. – Nie uda mu się przejść przez punkty kontrolne z tym,



co nosi przy sobie teraz.

– O czym ty mówisz? Dobrze mi z bronią, którą mam – zaproponował Nighthawk.

– Pewnie – odpowiedział Dziadek Mróz. – Ale ona odpada.

Nighthawk najwyraźniej się zdenerwował.

– Ale to jedyna broń, na której byłem szkolony! – zaprotestował.

– Synu, spróbujesz tylko przedostać się z tym w pobliże pułkownika – powiedział Dziadek Mróz, skrupulatnie unikając podania nazwiska Hernandeza – a uruchomisz każdy alarm, jaki tylko znajduje się na tej planecie.

– Jaka więc broń macie dla mnie?

– Czy możemy ją obejrzeć? – zwrócił się Dziadek Mróz do kobiety.

Ta podeszła do biurka, otworzyła inną szufladę i wyjęła z niej małą, przenośną walizeczkę. Dziadek Mróz otworzył ją.

– Cudeńko – powiedział, patrząc na mały pistolet. – Po prostu cudzeńko.

– Wygląda jak jeden z moich pistoletów – odezwał się Nighthawk. – Co w nim takiego szczególnego?

– Jest wykonany z molekularnie zmienionej ceramiki – wyjaśniła kobieta. – Proszę mi wierzyć: nie wykryje go żaden system ochronny, jaki stworzono.

– Przy takim wyglądzie?! – zawołał Nighthawk sarkastycznie.

– Oczywiście, że nie. – Szybko i sprawnie przełamała pistolet na cztery części. – Ten kawałek z cyn-

głem może uchodzić za sprzączkę – wyjaśniła, dokonując krótkiej prezentacji. – Te dwie części będą grały rolę wkładek ortopedycznych. No i pomajstrowałam przy strukturze molekularnej ostatniej części. Wystarczy przytknąć do niej zapalną, a rozszerza się i traci swoją fizyczną integralność. Można jej używać jako tasiemki albo paska, albo czegokolwiek, na co się tylko ma ochotę. Kiedy zechcesz złożyć pistolet, po prostu należy przytknąć to do metalowej powierzchni, a natychmiast powróci do swojej właściwej postaci.

– Nie widzę żadnych pocisków – zauważył Nighthawk.

Uśmiechnęła się.

– To właśnie cały urok tej broni. Nawet jeśli będą mieli podejrzenia co do natury tych przedmiotów, nawet jeśli skonfiskują broń w całości, nigdy nie znajdą pocisków do niej, a w konsekwencji będą musieli ją zwrócić i wypuścić jej właściciela.

– No więc, gdzie amunicja?

– W twojej kieszeni.

– W mojej kieszeni? – powtórzył.

– Jest na monety – odpowiedziała. – Ta jest zaprojektowana na dolary Marii Teresy w złotych monetach.

– Cholera, niech mnie diabli! – wykrzyknął Nighthawk.

– Świetnie pomyślane – odezwał się Dziadek Mróz. – Jednak może się to okazać dość kosztowne w czasie wojny.

Zignorowała kpinki starego człowieka.

– Myślę, że zanim jej użyjesz, powinieneś najpierw poćwiczyć strzelanie. Nie jest wyważona jak zwyczajna broń ręczna. Na odległość powyżej trzydziestu jardów będziesz musiał celować nisko, około cala na jard.

– Aż tak daleko od celu nie będę.

– W porządku, nasz interes zrobiony – odprowadziła ich do drzwi. – Twoja twarz wydaje się znajoma – powiedziała do Nighthawka, kiedy spojrzała na niego przy wyjściu. – Jednak jestem pewna, że nigdy się nie spotkaliśmy.

– Nie chcesz, żebym ci powiedział dlaczego? – odezwał się.

– Nie, nie chcę.

– Kiedy mi się powiesz, powiem ci.

– Wolałabym nie – odrzekła. – To tylko przypomniałoby mi o klientach, którym się nie powiodło.

– Skąd wiesz, że było ich aż tak wielu?

– Tożsamość to nietrwała rzecz – odpowiedziała. – Moi klienci, którym się udało, wracają po inną.

Drzwi się otworzyły.

– Idź – powiedziała kobieta – i powodzenia.

– A co ze mną? – zapytał Dziadek Mróz z uśmiechem.

– Ty nie potrzebujesz szczęścia, starcze – odezwała się. – Nigdy nie będziesz w połowie takim mężczyzną jak twój młody towarzysz, ale właśnie ty należysz do tych, którzy przetrwają. Wiem, że na pewno cię jeszcze zobaczę.

Szli w stronę statku. Dziadek Mróz rozkoszował

się słowami wypowiedzianymi przez kobietę. Nighthawk natomiast zbyt był zajęty planowaniem akcji na Solio, aby martwić się, że nie został zaliczony w poczet tych, którzy przetrwają.

## Rozdział 25

Minęły dwie godziny, jak opuścili Purpurową Chmurę. Kierowali się w stronę Wewnętrznej Granicy, gdy adwokat z Delurosa wreszcie ich namierzył.

– Tu Marcus Dinnisen z Hubbs, Wilkinson, Raitth&Jiminez do Jeffersona Nighthawka.

Nighthawk jednak zignorował sygnał.

– Proszę się zgłosić.

– Wcześniej czy później będziesz musiał z nim porozmawiać – powiedział Dziadek Mróz.

– Do diabła, wiem, że jesteś na tym statku, Jefferson! – powiedział rozzłoszczony głos Dinnisena. – Zgłoś się, bo nie zerwę kontaktu, dopóki tego nie zrobisz.

– Dobrze – powiedział Nighthawk po jeszcze jednej długiej pauzie. – Jak mnie znalazłeś i czego chcesz?

– Znalezienie cię było łatwe – odpowiedział Dinnisen. – Przedstawiłeś rachunek na czterdzieści pięć tysięcy kredytów.

– Cholernie szybko się o tym dowiedzieliście.

– Jesteśmy poważną firmą prawną – odparł Dinnisen. – Mamy stosunki handlowe w całej Oligarchii.

– No więc dobrze, więc wiesz już, że zabawiłem się w łowcę nagród – powiedział Nighthawk. – Co z tego?

– Co z tego? – powtórzył Dinnisen zdziwiony. – A co do diabła wyrabiasz na tej Purpurowej Chmurze?

– Zabijam złych facetów, tak jak to mi polecili-

ście, ty i Kinoshita.

– Niech cię... Jefferson. Zostałeś wysłany na Solio II, aby wykonać misję specjalną. Jeśli nie jest wykonana, masz natychmiast powrócić na Delurosa.

– To, o czym mówisz, nie interesuje mnie – powiedział Nighthawk.

– O czym ty u diabła mówisz? – jęknął Dinnisen.

– Słyszałeś, mam pewną sprawę do załatwienia. Daj mi spokój.

– Jedyna sprawa, jaką masz do załatwienia, to praca dla zespołu, który cię stworzył.

– Proszę bardzo, możecie tak sobie dalej myśleć.

– Słuchaj – odezwał się pojednawczo Dinnisen – przestańmy, zanim obaj powiemy coś, czego będziemy żałować. Dlaczego po prostu nie przedyskutujemy tego, kiedy... wrócisz na naszego Delurosa?

– Nie ma mowy.

– Myślę, że to naprawdę dobry pomysł – perswadował Dinnisen.

– Tak sądzisz, co? A ja sądzę, że równałoby się to samobójstwu.

– O czym ty mówisz?

– Kiedy tylko będziecie mnie mieli, dobierzecie mi się do dupy. Już wy wiecie jak. Zostanie ze mnie tylko naczynie wypełnione protoplazmą.

– Po co zaraz tak melodramatycznie, Jeffersonie? – odezwał się Dinnisen, próbując panować nad sobą. – Nie mamy kadzi z protoplazmą, jak ci zresztą doskonale wiadomo. Chcemy tylko porozmawiać.

– Wszystkiego, co macie mi do powiedzenia, mo-

gę równie dobrze wysłuchać tutaj.

– Nie jesteśmy twoimi wrogami – ciągnął Dinnisen. – Stworzyliśmy cię przecież. Jesteś dla nas jak rodzina.

– Ja natomiast nie żywię do was żadnych uczuć rodzinnych.

– Robisz trudności. Zmieniłeś się od czasu, gdy widziałem cię po raz ostatni. Co się stało, synu?

– Nie jestem twoim synem, a co do tego, co mi się przytrafiło, powiem ci: galaktyka. Jestem tu i nie zamierzam wracać.

– Nikt nie chce, żebyś siedział cały czas na Delurosie. Będę z tobą całkowicie szczerzy. Reprezentujesz niesamowitą inwestycję czasu, pieniędzy i techniki. Ponieważ przeżyłeś, oznacza to, że potrafiłeś przetrwać pomiędzy szumowinami, żyjącymi na Wewnętrznej Granicy. W związku z tym mamy dla ciebie wiele lukratywnych propozycji.

– Większość, jak to powiedziałeś, szumowin, z którymi miałem do czynienia, spojrzaloby z pogardą na prawników. A już szczególnie na ciebie.

– Dlaczego mówisz takie rzeczy? Chcemy cię tylko zbadać, aby stwierdzić, czy dobrze się trzymasz. Jeden dzień, czy to tak wiele?

– Mam robotę do zrobienia.

– Zleconą przez nas?

– Moją robotę.

– Nie masz żadnej swojej roboty – wybuchnął Dinnisen. – Na Boga! Nie masz jeszcze sześciu miesięcy!

– Błąd – powiedział Nighthawk zimno. – Jestem Egzekutorem i byłem już starym człowiekiem, kiedy twój pradziadek nie miał jeszcze sześciu miesięcy. – Przerwał połączenie. – No i? – zapytał odwracając się do Dziadka Mroza.

– Przeszkadza ci, kiedy mówię do ciebie „synu”? – zapytał stary.

– Nie. Przeszkadza mi, kiedy on tak do mnie mówi. – Urwał, a po chwili uśmiechnął się szeroko. – Do diabła! Przeszkadza mi nawet, kiedy mówi do mnie po imieniu.

– Cóż, mam nadzieję, że rozmowa z nim sprawiła ci przyjemność, bo będzie cię drogo kosztować.

– Pieniądze?

– Wszystko z wyjątkiem pieniędzy – odparł Dziadek Mróz. – Założę się, że właśnie skontaktował się z Hernandezem, aby ostrzec go, że jesteś poza rezerwatem.

– Dlaczego?

– Ponieważ on i jego ludzie stworzyli perfekcyjną maszynę do zabijania, a ta teraz nagle zaczyna pracować dla swoich własnych celów. Nie wiedzą jeszcze, co to za cele, ale zawiadomią tego, który zlecił im cię stworzyć. – Nagle Dziadek Mróz uśmiechnął się. – A już on, możesz postawić na to swoją głowę, będzie wiedział, co to jest.

– Mam nadzieję – powiedział Nighthawk. – Jest odpowiedzialny za wszystko: Trelaine'a, mnie, Markiza, Melisandę, Malloya. Chcę spojrzeć mu w oczy, gdy będę go zabijał.



- Jest świetnie chroniony – zauważył Dziadek Mróz. – To może być bardzo krótkie spojrzenie.
- Wystarczy – powiedział Nighthawk.

## Rozdział 26

Sprzedali statek, jak tylko dotarli na Wewnętrzna Granicę, a stamtąd, już na pokładzie nowego, ruszyli prosto ku Solio II.

– Wiesz co – odezwał się Nighthawk, kiedy byli jeszcze w połowie drogi do Solio – wiem dlaczego ja tam wracam, ale za cholere nie mogę pojąć, po co to tobie.

Dziadek Mróz wzruszył ramionami.

– Dlaczego? To taki sam świat jak inne i też ma kościoły.

– Ma również najlepsze siły bezpieczeństwa. Możemy ich wystrychnąć na dudka na jakiś czas, ale na dłuższą metę to się nie uda. Wywęszą, w czym rzecz. Jeśli nie zanim, to zaraz po tym jak zabiję Hernandezza. W każdym razie każdy, kogo ze mną zobaczą, znajdzie się na samej górze ich czarnej listy.

– Chciałbyś, żebym się wyniósł? – spytał Dziadek Mróz.

– Nie, zapytałem, dlaczego jeszcze tego nie zrobiłeś.

Starszy mężczyzna odchylił się na swoim fotelu, przez chwilę patrzył w sufit, po czym ciężko odetchnął.

– Myślę, że to przede wszystkim ciekawość.

– Ciekaw jesteś, czy miałeś rację z tym wynajęciem Markiza przez Hernandezza? – spytał zaskoczony Nighthawk.

Dziadek Mróz pokręcił głową.

– Nie, co do tego jestem całkowicie pewien. A jeśli

nie było to zupełnie tak, to w każdym razie jakoś podobnie. Ci faceci karmią się kłamstwem i podstępem tak, jak my dwa dni temu czerwonymi bizonami.

– No więc co cię najbardziej ciekawi?

– Ty.

– Ja?

– Tak – powiedział Dziadek Mróz. – Chcę zobaczyć, czy jesteś tak dobry, jak mi się wydaje.

– Domyślam się, że to komplement?

– Zależy. Nie sądzę, żeby udało ci się zabrać dziewczynę i zwać z tej planety, ale ciekaw jestem, jak blisko będziesz.

– Zapomniałeś o zabiciu Hernandeza.

– To też.

– Dostanie się do niego będzie najtrudniejszym zadaniem – powiedział Nighthawk w zamyśleniu. – Jak już go zabiję, wszystko powinno się udać.

– A pomyślałeś, jak się do niego dostać?

Nighthawk zapalił małe, cienkie cygaro.

– Niezupełnie. Wymyślę jakąś historyjkę, która mi w tym pomoże.

– Niech ci się nie wydaje, że jesteś jedynym człowiekiem, który chce go zabić. Z pewnością niewiele jest historyjek, jakich nie słyszałby już wcześniej.

– Jeśli więc zajdzie potrzeba, drogę w obie strony utoruję sobie strzelaniem – odpowiedział Nighthawk, wzruszając ramionami.

– Tak po prostu? – spytał starszy mężczyzna, strzelając palcami.

– Dlaczego nie? Przecież z Markizem mi się uda-

ło.

– A jeśli trafisz na kogoś lepszego niż on?

– Nikt, kto byłby od niego lepszy, na pewno nie pracowałby za marne grosze dla służby bezpieczeństwa. Ktoś taki osiadłby gdzieś na Wewnętrznej Granicy i pewnie kontrolował teraz z tuzin albo i więcej światów.

– No więc przynajmniej przyjmij to do wiadomości, że do broni, którą masz przy sobie, nie ma tłumika. Pierwszy strzał i masz na karku wszystkich znajdujących się w odległości pięciuset jardów.

– Będzie tylko jeden strzał – powiedział Nighthawk. – Tyle mi zwykle wystarcza.

– Jeden, pięć czy tuzin, wszystko jedno. To przecież hałas.

– Hernandez nosi pistolet laserowy. Do czasu, gdy huknie strzał, będę już miał jego broń, a ta jest cicha, jeśli nie liczyć delikatnego brzęczenia. Skoro nie będzie słychać powtarzających się wystrzałów, wszyscy wezmą ten pierwszy za coś innego.

– Pobożne życzenie.

– Właściwie mam to gdzieś. Jeśli pracują dla Hernandeza lub tknęli Melisandę, to chcę ich zabić.

– Cóż, ja na przykład czułbym się o wiele bezpieczniej, gdybyś miał jakiś inny pomysł na podejście Hernandeza niż głupia bajeczka, a w razie gdyby nie zadziałała, torowanie sobie drogi strzelaniną – powiedział Dziadek Mróz.

– Powiedz jedno słowo, a gotowy jestem wysadzić cię na jakiejś zamieszkannej planecie.

– Ale ja nie chcę wysiadać, synu – odparł starszy mężczyzna. – Chcę po prostu, żebyś nieco zwolnił i pomyślał rozsądnie, co zrobić, aby przeżyć tę niebezpieczną przygodę.

Nighthawk spojrział na Solio II, niebieskozielony świat, obracający się na ekranie.

– Ona tam teraz jest – odezwał się. – Im wolniej się zbliżam, tym dłużej nie będziemy razem.

– Synu – odezwał się Dziadek Mróz – wolałbym nie podejmować tego tematu, ale ona wcale nie chce być z tobą.

Rysy twarzy młodego mężczyzny ściągnęły się.

– To zechce – powiedział niewzruszonym głosem.

## Rozdział 27

Wylądowali w małym porcie kosmicznym około dziesięciu mil od głównego miasta Solio II, również o nazwie Solio. W przeciwieństwie do wielu światów Granicy, Solio II było na tyle duże i ruchliwe, że posiadało swój własny oddział celny, więc dokumenty mężczyzn, po tym jak zaprowadzono ich do oddzielnych kabin, zostały dokładnie sprawdzone.

– Proszę włożyć pański paszport – polecił komputer celny. Nighthawk zrobił to.

– Dziękuję, proszę usiąść.

Młodzieniec usiadł naprzeciw ekranu holograficznego.

– Imię i nazwisko?

– Vince Landis.

– W pańskim paszporcie jest Vincent Landis.

– Vince to skrót od Vincent.

– Sprawdzanie... Potwierdzone. Planeta ojczyzna?

– Silverblue.

– W pańskim paszporcie jest stwierdzone, że mieszka pan na Arystotelesie.

– Mieszkam teraz, bo tam studiuje, lecz jest to tylko tymczasowy adres. Na stałe mieszkam z rodzicami na Silverblue.

– Sprawdzanie... Przyjęte. Wiek?

– Dwadzieścia jeden lat.

– Cel wizyty?

– Badania naukowe.

– Jaka jest dziedzina pańskich studiów?

– Robię specjalizację w dziedzinie szyfrów. Tematem mojej pracy doktorskiej będzie wykorzystanie szyfrów w systemie bezpieczeństwa na Wewnętrznej Granicy. Zamierzam odwiedzić kilka światów Granicy i przeprowadzić rozmowy z pracownikami służb bezpieczeństwa na temat użycia szyfrów w ich codziennej pracy.

– Gdzie pan się zatrzyma?

– Nie mam pojęcia. Może mógłbym tutaj otrzymać jakieś propozycje hoteli?

– Dołączę cennik wszystkich hoteli i pokoiów do wynajęcia do pańskiego paszportu – brzmiała odpowiedź. – Czy ma pan do zadeklarowania jakąś broń?

– Jestem studentem – powiedział Nighthawk z uśmiechem. – Po co mi broń?

– Brak odpowiedzi na pytanie.

– Nie, nie mam żadnej broni.

– Czy cierpi pan obecnie na jakąś chorobę?

– Nie.

Maszyna zwróciła mu paszport wraz z listą hoteli i trzydziestodniową wizą.

– Odprawa zakończona, panie Vincencie Landis. Witamy na Solio II – ogłosiła.

– Dziękuję.

Nighthawk wstał i wyszedł z kabiny. Na zewnątrz czekał już na niego Dziadek Mróz.

– Jak poszło? – zapytał stary.

– Bez problemu. A u ciebie?

– Również.

– No więc, wynośmy się stąd – powiedział Ni-

ghthawk, kierując się w stronę wyjścia.

Dołączyli do tłumu, który cisnął się ku drzwiom i wsiedli do pojazdu, mającego ich przewieźć z portu do miasta. Kiedy dojechali na ulicę pełną hoteli, wysiedli.

– Co teraz? – spytał Dziadek Mróz.

Nighthawk przyglądał się uważnie okolicy.

– Próbuję zapamiętać, gdzie znajduje się Wydział Bezpieczeństwa. – W końcu wzruszył ramionami. – To zresztą nic nie zmienia. Później go znajdziemy. A teraz chodź, poszukajmy jakiegoś pokoju.

Zarejestrowali się w jednym z licznych hoteli i pół godziny później spotkali na obiedzie.

– No i co? Udało ci się go zlokalizować? – zapytał Dziadek Mróz.

– Wydział Bezpieczeństwa? Tak, jest o pół mili stąd.

– I aż roi się od uzbrojonych ludzi?

– Teraz tak. Ale zobaczymy, jak to będzie wyglądać po zmierzchu.

Zjedli obiad w hotelowej restauracji, Dziadek Mróz narzekał cały czas, że w porównaniu z mięsem czerwonego bizona, to jedzenie smakuje jak trociny. Zaczekali, aż się ściemniło, następnie wyszli i skierowali się w stronę olbrzymiego budynku, gdzie mieściło się biuro Hernandeza.

– Jestem zdenerwowany – odezwał się Dziadek Mróz.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Może dlatego, że jak dotąd wszystko szło tak gładko? Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że ktoś



nas obserwuje i już gotowi się do ataku.

– Raczej by się nie obłowił – powiedział Nighthawk. – Mam przy sobie trzydzieści dolarów Marii Teresy.

– Chcesz przez to powiedzieć, że zmontowałeś swoją broń?

– Pomyślałem, że lepiej zrobić to w pokoju hotelowym niż przed budynkiem Wydziału Bezpieczeństwa – odparł Nighthawk z lekką drwiną.

Dziadek Mróz nie przestawał oglądać się na wszystkie strony. Wreszcie Nighthawk przystanął i odwrócił się w jego stronę.

– Słuchaj, jeśli wolałbyś obrabować jakiś kościół, to...

– Nie mam ochoty rabować żadnego kościoła.

– Do diaska! Widać po tobie, że jak najprędzej powinieneś zająć czymś ręce – zauważył Nighthawk. – Sprawiasz, że nawet i mnie zaczyna się udzielać twoje zdenerwowanie.

– Przepraszam – powiedział Dziadek Mróz, wpychając ręce do kieszeni.

– W porządku – odparł Nighthawk uspokajająco, klepiąc przyjaciela po ramieniu. – Chodźmy.

Minęli dwa następne bloki, aż zatrzymali się przed wysokim budynkiem.

– To tu? – zapytał starszy mężczyzna.

– Tak.

– Jak wejdziemy? Od frontu, od tyłu?

– Głównym wejściem – odpowiedział Nighthawk.

– Przecież jestem studentem z Arystotelesa. Jutro po

prostu tam wejść i umówię się na spotkanie.

Mieli już odejść, gdy nagle okno na trzecim piętrze otworzyło się i wychyliła się przez nie jakaś wytwornie ubrana postać. Była to Melisanda dosłownie obwieszona złotem.

– To ona – wyszeptał Nighthawk.

– Wiedziałem, że te dokumenty były zbyt dobre – mruknął Dziadek Mróz.

– O czym ty mówisz?

– Już wiedzą, że tu jesteśmy, synu. A w każdym razie oczekują nas lada dzień. Spójrz tylko na nią; ubrana w złoto. Cała lśni i wychyla się przez balustradę balkonu. Służy im jako przynęta.

– Na mnie?

– A kogóż innego?

– I wydaje im się, że wpadnę do budynku i strzelaniem utworzę sobie drogę na trzecie piętro, ponieważ ona tam stoi?

– Tak – odpowiedział Dziadek Mróz. – Jak to głupio z ich strony, prawda?

– Jasne.

– No więc, co robimy? – zapytał starszy mężczyzna. – Wracamy do hotelu?

– Wracaj, jeśli chcesz.

– A ty?

– Ja? – powtórzył Nighthawk. – Mam zamiar wpaść do hotelu i strzelaniem utworować sobie drogę na trzecie piętro.

– Myślałem, że właśnie ci to wyjaśniłem: na to tylko czekają.

– Oczekują człowieka – odparł Nighthawk, poprawiając swój pistolet ceramiczny i wpychając go na powrót do kieszeni. – Ale przyjdzie do nich Egzekutor. – Odwrócił się i zaczął wspinać po ozdobnych schodach, wiodących do głównego wejścia.

## Rozdział 28

Nighthawk wszedł do budynku i nie uruchomiwszy żadnego alarmu przemknął obok skanera. Po chwili wahania Dziadek Mróz poszedł w ślad za nim, trzymając się jednak w pewnej odległości.

W holu głównym za biurkiem siedział młody mężczyzna. Znużony podniósł na Nighthawka swą ponurą twarz.

– Czym mogę służyć?

– Nazywam się Landis. Vince Landis. Jestem absolwentem z Arystotelesa. Chciałbym umówić się na spotkanie z pułkownikiem Hernandezem.

– Pan w sprawie zatrudnienia?

– Już powiedziałem, chciałbym się umówić na spotkanie.

– W związku z jaką sprawą?

– Nie wydaje mi się, że to cię powinno obchodzić – powiedział Nighthawk.

– Bycie niegrzecznym niczego nie ułatwi – odezwał się beznamietnie mężczyzna. – Muszę znać powód pańskiej prośby.

– Ukończyłem wydział szyfrów i telekomunikacji – powiedział młodzieniec. – Chcę z nim porozmawiać o ich zastosowaniu.

– Przekażę pułkownikowi pańską prośbę, panie Landis. Pod jakim adresem można pana znaleźć?

– Poczekam tutaj.

– Może potrwać kilka dni, a nawet tygodni, zanim uda się ustalić termin spotkania – odezwał się męż-

czynna. – Jeśli w ogóle pułkownik zechce się z panem spotkać.

– Nie mam czasu na czekanie przez kilka dni czy tygodni – odpowiedział Nighthawk. – Opuzczani Solio za parę godzin. Muszę widzieć się z nim natychmiast.

– W takim razie nie ma o czym mówić.

– Proszę się z nim połączyć i niech on zadecyduje.

– Pan mi tu rozkazuje? – młody człowiek podniósł się z krzesła.

– Nie, próbuję tylko ocalić ci życie – odparł Nighthawk. – A teraz połącz się z nim!

– Nic podobnego nie zrobię!

Nighthawk wyciągnął pistolet i wypalił z bliska. Mężczyzna wpadł za biurko, a Nighthawk nie spojrzawszy nawet na niego szukał najbliższej windy powietrznej.

– Nie idź tędy – usłyszał głos za plecami, a gdy się odwrócił, zobaczył, że ma przed sobą Dziadka Mrozą. – Ktoś na pewno obserwuje to pomieszczenie na monitorze – ciągnął tymczasem stary. – Już wiedzą, że zabiłeś tego młodzika. Jeśli wsiądziesz teraz do windy, to wyświadczysz im nielichą przysługę samemu się zamykając, a oni już dopilnują, żebyś nie wyszedł do momentu, kiedy będą mieli pod bronią tyłu ludzi, że nawet ty nie dasz im rady. Na twoim miejscu poszukałbym raczej schodów. W razie gdyby deptali ci po piętach, będziesz miał znacznie więcej przestrzeni na jakiegokolwiek posunięcie.

– Brzmi rozsądnie – powiedział Nighthawk, kieru-

jąc się w stronę kręconych schodów, które wiodły na wyższy poziom budynku. – Trzymaj się z dala, kiedy zaczniesz się strzelanina.

– Kiepski ze mnie bohater, synu – odpowiedział Dziadek Mróz. – Jak zaczniesz się na dobre, będziesz zdany tylko na siebie.

– Ten układ mi odpowiada.

– Tak mi się właśnie zdawało – odparł drwiąco Dziadek Mróz.

Trzymając broń w dłoni, Nighthawk rozpoczął wspinaczkę, bacznie nasłuchując jakichkolwiek hałasów na górze bądź na dole schodów. Dotarł bez problemów na drugie piętro. Gdy miał pokonać kolejną kondygnację, drzwi za nim otwarły się nagle i dwa cienkie snopy światła strzeliły prosto w poręcz. Nighthawk odwrócił się błyskawicznie i posłał trzy strzały w miejsce, skąd strzelano do niego. Dwóch mężczyzn, każdy z laserem w dłoni, upadło na podłogę.

– Dobra robota – usłyszał głos Dziadka Mrozą za sobą, nieco niżej.

– Dzięki – odpowiedział Nighthawk.

– Bądź ostrożny, po raz drugi nie będą już tak niezdarni.

Nighthawk zlustrował schody. Zakręcały tak, że jego głowa byłaby łatwym celem dla każdego, kto znalazłby się na trzecim piętrze.

– Racja – powiedział.

Cofnął się i przez chwilę rozważał możliwości. Następnie obrócił się i podszedł bezszelestnie do pomieszczenia, gdzie wcześniej ukrywali się dwaj męż-

czyżni. Zobaczył tam ogromne okno. Otworzył je i wyjrzał. Ściany budynku były gładkie jak lustro, wspinaaczka po nich nie wydawała się możliwa. Cofnął się na korytarz i podniósł broń, leżącą przy mężczyznach. Teraz, gdy jego obecność została wykryta, im więcej miał broni, tym lepiej dla niego.

Podszedł do schodów i zawahał się. Musi być jeszcze inne wejście na trzecie piętro oprócz schodów i windy. Może winda służbowa? Właśnie miał zacząć jej szukać, gdy wtem drzwi na końcu korytarza otwarły się. Wszedł przez nie jakiś człowiek, zobaczył go i zaczął krzyczeć. Nighthawk natychmiast uciszył go jednym strzałem z pistoletu laserowego.

Musiała być jakaś winda służbowa, ale nie miał czasu jej szukać. Poza tym gdyby zszedł niżej, odciąłby sobie drogę ucieczki. A więc z powrotem w stronę schodów. Schylony, zaczął je pokonywać z ceramicznym pistoletem w jednej ręce i laserem w drugiej; nie za szybko, aby nie stać się łatwym celem, ani niezbyt wolno, aby Hernandez nie miał szans na zwołanie większej ilości posiłków. Gdy pokonał już prawie połowę drogi i dotarł do miejsca, z którego jego głowa była widoczna, oceniwszy spojrzeniem kąt strzału, wypalił raz jeszcze, trzymając pistolet w gotowości, a śmiertelna wiązka przeszła przez piętro powyżej. Dało się słyszeć okrzyki zaskoczenia, wycie z bólu i wiedział już, że trafił przynajmniej jednego z ludzi, którzy tam na niego czekali. Problem w tym, że nie wiedział, ilu zostało ani jak byli rozstawieni.

Usłyszał kroki tuż za sobą i odwrócił się, oczeku-

jąc widoku Dziadka Mrozą. Ale był to umundurowany strażnik, który właśnie składał się do strzału. Nighthawk rzucił się na podłogę i staczając o parę stopni na dół, zdołał do niego wystrzelić. Kiedy odzyskał równowagę na tyle, aby spojrzeć w tamtym kierunku, strażnik już nie żył.

Strzelił w górę, ostrzegawczo, aby ktoś się nie wychylił. Wiedział jednak, że tak uwięziony nie może stać ani chwili dłużej. Miał właśnie schodzić na drugie piętro w poszukiwaniu innego sposobu dostania się do Hernandeza, gdy nagle usłyszał dobiegający z góry głos Melisandy.

– Jefferson!

Wahał się tylko przez chwilę. Następnie, upchnąwszy w kieszeni pistolet ceramiczny, wziął w obie ręce pistolety laserowe, dosłownie zmiotł śmiertcionośną bronią wszystko, co tylko znajdowało się na trzecim piętrze, i pognął w górę schodów, które właśnie zaczynały się palić. Dwóch mężczyzn próbowało go zatrzymać i kiedy dotarł na ostatni stopień, obaj byli już martwi. Dwa inne ciała leżały tam, gdzie przez podłogę dosięgły ich wiązki laserowe.

Rozglądał się w poszukiwaniu Melisandy, ale nigdzie nie mógł jej dostrzec. Korytarz ciągnął się jakieś sześćdziesiąt stóp w każdą stronę od końca schodów. Ruszył w lewo, trzymając broń gotową do strzału.

Nagle jakiś człowiek zaatakował go od tyłu, skacząc mu na plecy. Nighthawk rozciągnął się jak długi, a oba pistolety wypadły mu z dłoni. Próbował się podnieść, ale ciężkie ramię przygniotło mu kark. Udało



mu się przekręcić nieco na bok. Zobaczył olbrzymiego mężczyznę, o wzroście ponad sześciu stóp – górę mięśni bez grama tłuszczu.

Nighthawk wił się i skręcał, próbując się uwolnić, ale mężczyzna ani drgnął. Młodzieniec też nie dawał za wygraną, udało mu się wyswobodzić jedną rękę, którą z wysiłkiem, cal po calu przesunął w kierunku miejsca, którego szukał: krocza swojego przeciwnika. Chwyciwszy jądra olbrzyma, ścisnął je z całej siły. Ten zawył z bólu, a Nighthawk wciąż nie puszczał, coraz mocniej ściskając i skręcając genitalia olbrzyma. Ten pisnął cienko i wyrwał się z uścisku, jednocześnie puszczając wolno Nighthawka.

Czerwony na twarzy, dyszący ciężko mężczyzna podniósł się i wyciągnął zza pasa paskudnie wyglądający nóż. Nighthawk dostrzegł swoje pistolety, ale leżały za daleko. Mężczyzna pochylił się do przodu, trzymając nóż jak ktoś, kto potrafi posługiwać się tą bronią, i parł do przodu.

Mając za plecami balustradę, młodzieniec zdał sobie sprawę, że człowiek ten zaraz go dosięgnie. Podniósł się na jedno kolano, szukał dróg ucieczki, ale nie znalazł żadnej. Nagle chwycił jeden z tłących się prętów balustrady, wyciągnął go i zamachnął się w stronę głowy olbrzyma, robiąc to jednym, płynnym ruchem. Pręt rozplątał głowę przeciwnika z obrzydliwym chrupnięciem. Mężczyzna padł do przodu, a Nighthawk zgiał się wpół, pozwalając cielsku przewalić się nad sobą i spaść poza balustradę. Zanim uderzyło o podłogę dwa piętra niżej, zdążył już podnieść broń i

ponownie ruszył korytarzem.

Nagle usłyszał za sobą jakiś dźwięk i ujrzał Melisandę prawie na drugim końcu korytarza, przytrzymywaną przez dwóch mężczyzn w mundurach. Udało im się ją obezwładnić i z powrotem wepchnąć do pokoju, z którego próbowała się wydostać.

Ruszył w tamtym kierunku. Rozległ się strzał i Nighthawk poczuł, jak miotacz wypala mu dziurę w ramieniu. Siła odrzutu określiła go i zdażył jeszcze zauważyć mężczyznę, wycofującego się do pokoju obok miejsca, przy którym stał, gdy zobaczył Melisandę. Wystrzelił z lasera, ale za późno. Korytarz był już pusty. Kiedy znów się odwrócił, by ruszyć na pomoc Melisandzie, szum pistoletu dźwiękowego naparł na niego z taką mocą, że potknął się i osunął na jedno kolano, a z uszu i nosa pociekła mu krew. Strzelił ze swojej broni. Mężczyzna trzymający pistolet dźwiękowy upadł, ale zaraz potem inny pocisk wystrzelony z tyłu wrył się głęboko w lewe udo Nighthawka. Odwrócił się w tamtą stronę i tym razem jednym strzałem spalił głowę napastnika. Wrzask i cisza.

Wydało mu się, że w każdym pokoju czai się snajper. Kilkanaście drzwi otwarło się i zamknęło po chwili wystarczająco dłużej, aby oddać strzał w kierunku Nighthawka. Laser wypalił dziurę w jego lewej stopie, inny spalił mu połowę ucha. Strzelił w odwecie i trafił obu mężczyzn. Kula strzaskała mu prawe kolano. Upadł na podłogę, ale zdażył jeszcze stopić swoim laserem snajpera. Następna kula trafiła go w plecy, później dwie kolejne. Kiedy próbował dźwignąć się na

nogi, poczuł, że nie daje rady; z powodu kolana lub też kuli w kręgosłupie. Nie wiedział. Dowłókł się do drzwi, przyłożył do nich laser i próbował wypalić dziurę, aby dostać się do środka, gdzie mógłby na chwilę zniknąć z linii ognia. Ale drzwi wykonane z superstopu tytanu tylko rozgrzały się do czerwoności. Pocisk przeszył mu dłoń i poczuł, jak rozdziera mu kości. Wypuścił broń. Odruchowo chwycił lewą ręką swą zranioną prawą dłoń, wypuszczając przy tym drugi pistolet. Imploder molekularny unieszkodliwił oba lasery i Nighthawk, całkiem bezbronny, znalazł się na podłodze korytarza z kilkunastoma poważnymi ranami na ciele. Unieruchomiony. Drzwi na końcu korytarza otworzyły się i wyszedł z nich James Hernandez. Podeszedł do Nighthawka i spojrzał na niego.

– Powinieneś był trzymać się z dala – powiedział.

– Nie... mogłem – wychrypiał Nighthawk, zachłystując się krwią.

– Dlaczego? Zabiłeś Markiza, ocaliłeś swojego... progenitora, a przynajmniej przysporzyłeś mu kilka kolejnych lat życia. Musiałeś wiedzieć, że zabiję cię, jak tylko tu wrócisz.

Nighthawk nie mógł wydobyć z siebie głosu. Pokiwał tylko głową.

– W takim razie dlaczego? – spytał Hernandez, a w jego głosie pobrzmiwało szczere zdumienie. – Przecież za moją głowę nie ma nagrody.

Próbował wyszeptać: „Melisanda”, ale nie mógł.

– Dla niej – wychrypiał.

– Ach tak – uśmiechnął się Hernandez. – Nie

przypuszczałem, że ktoś mógłby być na tyle młody lub na tyle głupi. – Odwrócił się i odezwał się do kogoś, kto pozostawał poza zasięgiem wzroku chłopaka. – Chodź pożegnać się z młodym bohaterem, który postanowił wyrwać cię z moich szponów.

A ona nagle pojawiła się tuż obok.

– Jesteś głupcem – powiedziała.

Wił się z bólu.

– Wiem – odpowiedział.

– A teraz umrzesz.

– Każdy umrze – odrzekł, wyrzucając z siebie krew.

– Mogłeś chociaż zostać w Oligarchii – powiedziała Melisanda ze złością.

– Pewnie – wychrypiał, czując, że powoli zapada w ciemność.

– W takim razie dlaczego tego nie zrobiłeś?

Poruszył wargami, ale nie usłyszeli ani słowa.

– Tak, to doprawdy bardzo wzruszające – odezwał się Hernandez. – Ale myślę, że już czas to skończyć. Masz jakieś ostatnie życzenie?

Usta znów poruszyły się niemo.

– Uklęknij przy nim i powiedz mi, co on mówi – rozkazał.

– Dlaczego ja? – zapytała Melisanda.

– Bo to ty z nim spałaś. Kto bardziej nadawałby się do wysłuchania jego ostatnich słów?

Przez moment patrzyła na Hernandeza, a potem uklękła przy Nighthawku i pochyliła się nad nim tak, że jej ucho znalazło się tuż przy jego ustach.

Nagle dał się słyszeć wystrzał i dziewczyna o niebieskiej skórze szarpnęła się, a później opadła na podłogę. W jej piersi widniał otwór wielkości monety.

– Oszczędziłem ci kłopotu – powiedział Nighthawk, gdy Hernandez odrzucił jednym kopnięciem pistolet ceramiczny i wymierzył swoją broń prosto w głowę młodego mężczyzny.

## Epilog

Nazajutrz rano pochowano Nighthawka w beziemiennym grobie obok Perły z Marakaibo. Dziadek Mróz przeszedł przez ogromny cmentarz, nie patrząc ani w prawo, ani w lewo, ignorując obecność kilkunastu uzbrojonych mężczyzn, którzy śledzili każdy jego ruch. Kiedy dotarł do grobu, zatrzymał się, splótł z namaszczeniem dłonie i pochylił głowę.

– Wydawało mi się, że ujrzę cię raczej na pogrzebie – odezwał się Hernandez, przyłączając się do niego.

– Nienawidzę nabożeństw.

– Ale lubisz kościoły.

– Ten tu jest bardzo mały – powiedział Dziadek Mróz. – Niewiele można z niego ukraść, może oprócz tego krzyża za ołtarzem.

– Skąd o nim wiesz? – zapytał Hernandez. – Nikt cię tam nie widział.

Starszy mężczyzna uśmiechnął się.

– Gdyby tak łatwo było mnie namierzyć podczas wykonywania roboty, to jak pan myśli, jak długo pozostałbym w branży?

– To kwestia sporna – powiedział Hernandez. – Ale od dzisiejszego ranka jesteś z niej wyłączony.

– Proszę się uciszyć i okazać szacunek należny zmarłym – odezwał się Dziadek Mróz.

– Kiedy będziesz się modlił, nie zapomnij wspomnieć i o sobie, bo wkrótce – niezależnie od tego, gdzie znajduje się teraz twój przyjaciel – dołączysz do niego.

– Proszę nie żartować – odezwał się Dziadek

Mróz, ignorując pogrózkę. – Czy naprawdę wydaje się panu, że przyszedłbym tu bez ochrony?

Hernandez rozejrzał się po cmentarzu.

– Nie widzę żadnej ochrony – powiedział.

– I nie zobaczy pan – zaśmiał się Dziadek Mróz – chyba że padnę tu ukatrupiony.

– Co sobie wyobrażasz?

– To nie jest odpowiednie miejsce do dyskusowania o nędznych sprawach doczesnych.

– A zatem jakie jest odpowiednie ku temu miejsce?

– Ma pan jakiś godziwy napitek u siebie w biurze?

– Tak – odparł Hernandez.

– W takim razie biuro się nada.

Obaj mężczyźni odwrócili się i przemierzywszy cmentarz skierowali ku imponującemu budynkowi kwatery głównej służb bezpieczeństwa, gdzie wsiedli do windy powietrznej, która zabrała ich na trzecie piętro.

– Dziś jakoś łatwiej się tu dostać – zauważył Dziadek Mróz. – Ilu pańskich ludzi udało mu się wykończyć, zanim pan go zabił?

– Wystarczająco wielu – odpowiedział Hernandez ponuro.

Opuścili windę i weszli na poziom trzeci.

– Szybko uprzątnął pan cały ten bałagan – zauważył Dziadek Mróz.

– Lepiej to wygląda, niż jest w istocie – odparł Hernandez. – Konstrukcja schodów została uszkodzo-

na. Powyżej trzeciego piętra wszyscy muszą korzystać z windy.

– Cóż, z reguły wszystko wygląda lepiej z wierzchu. Strach pomyśleć, ile instytucji by upadło, gdyby nie ten fakt.

– Oszczędź mi tych ciekawych kazań.

Dotarli do biura Hernandeza, gdzie pułkownik poddał się rutynowej kontroli siatkówki i linii papilarnych. Drzwi uchyliły się.

– Co wolisz? – zapytał Hernandez.

– Wszystko jedno, byleby było mokre.

Hernandez napełnił dwa kieliszki, wręczył jeden z nich starszemu mężczyźnie, który usadowił się w skórzanym fotelu, a on zajął miejsce za swoim biurkiem.

– W porządku, stary – odezwał się – co masz na mnie?

– Wynajął pan Markiza Queensbury, aby zabił gubernatora Trelaine'a – odpowiedział Dziadek Mróz. – A później zajął się pan sprawą wyhodowania młodego Nighthawka, żeby zabił Markiza, co pomogłoby panu ukryć swój udział.

– Dlaczego miałbym to zrobić? – zapytał pułkownik, zapalając cienkie, antareańskie cygaro.

– O, z mnóstwa powodów – odparł starszy mężczyzna. – Według mnie chciał pan zostać gubernatorem. Wynajął pan Markiza, żeby zamordował Trelaine'a... ale później zaczął pana szantażować. Był nieco zbyt chciwy i w końcu zrozumiał pan, że trzeba go zabić lub cała ta sprawa wyjdzie na jaw.

– Nie mógłbyś być dalszy od prawdy.



Dziadek Mróz wzruszył ramionami.

– Powód nic tu nie zmienia. Natomiast liczy się fakt, że wynajął pan Markiza, aby pociągnął za cyniel, i Markiz przyznał się do tego, zanim zginął z rąk Nighthawka.

– Bzdury, dlaczego miałyby się przyznać?

– Może chciał w ten sposób ocalić swe życie?

– Nonsens – powiedział pułkownik. Zauważył, że zgasło mu cygaro, przypalił je więc ponownie. – Markiz był tak samo zuchwały jak młody Nighthawk.

– Być może więc chciał się pochwalić – odrzekł Dziadek Mróz. – Zresztą, jakie to ma znaczenie. Dysponuję nagraniem tej rozmowy; w trzech kopiach umieszczonych w trzech różnych światach Oligarchii. Jeśli nie skontaktuję się raz na miesiąc z każdym z nich, nagrania zostaną przekazane...

– Oligarchii? – przerwał Hernandez. – Jakoś nie drżą mi łydki.

–...prasie na Solio II i paru wybranym politykom. Hernandez wpił w niego wzrok.

– Myślę, że blefujesz.

– Ale czy zaryzykowałby pan swoją głowę, żeby się przekonać? Wszystko, czego żądam, to abyście pozwolili mi odlecieć na Obrzeże, żebym mógł tam w spokoju plądrować kościoły. Proszę mnie puścić, a nigdy już pan o mnie nie usłyszy. Jeśli zginę, spotka pana ten sam los za nie więcej niż rok.

Hernandez wychylił swego drinka jednym haustem, następnie ostrożnie postawił kieliszek na brzegu biurka.

– Chcesz znać całą prawdę?

– Chciałbym – odrzekł starszy mężczyzna, wyglądając przez okno na cmentarz – ale i bez tego jakoś przeżyję. To zależy, czy będzie mi pan chciał powiedzieć.

– Trelaine był tyranem, ale miękkim. Pozwalał Markizowi plądrować system Solio, gdyż nie miał tyle odwagi, by się temu przeciwstawić. – Urwał. – Markiz pracował kiedyś dla mnie jako, nazwijmy to, wolny strzelec. Byliśmy w zażyłych stosunkach. Wreszcie udało mi się go przekonać, że jeśli zabiłby Trelaine'a, to na jego miejscu ustawiłbym jakąś marionetkę, która pozwalałaby mu plądrować Solio na jeszcze większą skalę.

– Siebie?

– Gdybym zapewnił sobie dostateczne poparcie, a jeśli nie, to kogoś, kto byłby podatny na moje sugestie. Siła Markiza trzymałaby nas przy władzy, a w zamian za to my przymykałibyśmy oko na jego poczynania. Taki przynajmniej plan mu przedstawiłem. – Urwał. – Oczywiście, gdy już doszedłbym do władzy, Markiz i jego poplecznicy zostaliby wydalenii poza system.

– Markiz mógł podejrzewać, że chodzi tu o podwójny kant – zauważył Dziadek Mróz.

– Do tego czasu nie miałyby to żadnego znaczenia – odpowiedział pułkownik. – Ja trzymałbym wszystko w garści, zaś on mógłby równie dobrze łupić inne światy.

– A więc zabił Trelaine'a...

Hernandez skinał głową.

– Ale był sprytniejszy, niż mi się zdawało. Miał swoją własną marionetkę. Wziął mnie przez zaskoczenie. Nowy gubernator płaszczył się przed nim bardziej nawet niż Trelaine. Dlatego właśnie skontaktowałem się z Delurosem w sprawie Egzekutora. Do diabła! Jestem patriotą!

– Patriotą czy mordercą, to już niech osądzą potomni – odezwał się Dziadek Mróz. Zapadło znaczące milczenie. – Czy też zostawimy to prasie? Pański wybór, pułkowniku.

Hernandez wpatrywał się w niego przez chwilę.

– W porządku – powiedział wreszcie. – Zgadzam się.

– Świetnie – powiedział starszy mężczyzna. – Szkoda, że zmarnował pan taki talent, tego obiecującego młodego człowieka.

– Nighthawka? W naszych planach nie było dla niego miejsca – powiedział Hernandez. – A poza tym, nie musimy już płacić ciężkich pieniędzy tym z Delurosa. Oficjalna wersja brzmi: zginął przed ukończeniem swej misji.

– To znaczy, że będą musieli zrobić jeszcze jednego – powiedział Dziadek Mróz. – Kto wie? Może tym razem zrobią to jak należy?

– A co było nie tak z tym poprzednim? – spytał z zaciekawieniem Hernandez. – Okazał się na tyle dobry, że zdołał zabić Markiza i wykosić połowę moich ludzi.

– Ach, miał wystarczająco dużo umiejętności fizycznych – powiedział Dziadek Mróz. – Co do tego do-

łożyli wszelkich starań. Nauczyli go zabijać, jak tylko się urodził. Jeżeli można w jego przypadku mówić o jakichkolwiek „narodzinach”. – Dopił swojego drinka. – Ale koniec końców nie mogli mu przecież dać serca prawdziwego Egzekutora. Był za miękki.

– Za miękki? – powtórzył zdumiony Hernandez. – Pomyśl, jak on zabijał!

– To nie ma znaczenia – odezwał się stary. – Miał jeden słaby punkt, gorszy niż drżąca ręka czy niecelność. Ten biedny sukinsyn przejmował się. A jedyną rzeczą, jakiej nie wolno robić w tym fachu, to dać się ponieść uczuciom, zaangażować się. – Urwał. – Prawdziwy Egzekutor wybrał, kim chce zostać. Tragedią Jeffersona Nighthawka było to, że nie pozwolono mu dokonać wyboru.

– Zdaje mi się, że pod koniec jakby stwardniał – zauważył Hernandez.

– Czyżby?

Pułkownik skinął głową.

– Jego ostatnie słowa. Wiedział, że zabiłbym ją, jeśli on nie zrobiłby tego wcześniej. Nie była już potrzebna i wiedziała zbyt wiele.

– Cóż – odrzekł Dziadek Mróz – napiję się jeszcze, a później już sobie pójdę.

Hernandez nalał im jeszcze po jednym. Starszy mężczyzna wzniosł swój kieliszek.

– Za utraconą niewinność.

– Czyją? – zapytał Hernandez.

– Wszystkich – odpowiedział Dziadek Mróz.